BIBLJOTEKA FILMOWA ROJU

OPOWIEŚCI, KTÓRE FILMOWANO PRZEWAŻNIE OZDOBIONE FOTOSAMI

Szmielow. Kelner	1.95
Zarzycka. Dzikuska	1.45
A. Puszkin. Miłostki carskiego huzara	—.95
Prosper Merimee. Niedźwiedzie gody	—.95
Laurids Bruun. Białe noce, wyd. 3	—.95
M. H. Dupuy-Mazuel. Gracz w szachy 2 t. à	—.95
Wiel. B. Johnson. Kiedy mężczyźni szaleją (wyczerp.)	—.—
Belmont. Przeznaczenie	5.—
Benoit. Atlantyda	1.95
Sauvage. Czarna Wenus. Pamiętniki Józefiny Baker. 30 ilustracyj	2.50
E. M. Hull. Szeik	—.95
— Syn szeika (w przyg.)	—.—
A. Daudet. Spowiedź królowej (Królowie na wygnaniu)	1.95
— Skandal małżeński	5.—
Czechow. Naga narzeczona	—.95
Ernest Pascal. Córka szatana (wyczerp.)	—.95
Becher-Stowe. Chata wuja Toma	1.95
John Willard. Karuzela udręczeń	—.95
Norbert Jackues. W spelunkach Rio de Janeiro	1.95
Angel. Na arenie cyrkowej	1.95

BIBLJOTEKA FILMOWA ROJU

LEO BELMONT

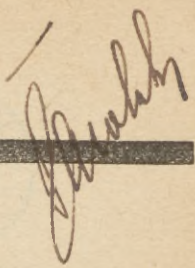

NIEPOTRZEBNY CZŁOWIEK

POWIEŚĆ FILMOWA

Warszawa 1928

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

83924

Drukarnia Wł. Łazarskiego
Warszawa, Złota 7/9.

GENIALNEMU ARTYŚCIE

EMILOWI JANNINGSOWI

którego gra fascynująca a obejmująca najszerszą skalę:
od przedziwnego komizmu poprzez tkliwość głęboką—
do najwyższych akcentów tragizmu
natchnęła mnie
do przełożenia walorów genjalnie zrealizowanego
przez
WIKTORA FLEMINGA
obrazu „Niepotrzebny człowiek" na język powieści psychologicznej—
dzieło niniejsze z pietyzmem wdzięczności
poświęcam.

Leo Belmont

PROLOG.

Zagadkowa plama wilgotna, przypominająca kształtem Księstwo Monaco, ale dwadzieściakroć większa, niż jego symbol na dużej mapie szkolnej, zarysowała się na prześcieradle między dwoma pośladkami dziecięcemi, odsłoniętemi proroczo na najpiękniejszą wiosenną pogodę.

August Szyling nachylił się ze wzruszeniem nad parką swoich najmłodszych chłopaków, tonących główkami w poduszkach, równolegle do mokrego „ogniska", jakoby z jednako czystem sumieniem we śnie i z jednakiem zgłoszeniem *desinteressement* wobec fatalnej plamy! Uśmiechał się rzewnie, szepcąc grubemi wargami: „znowu"! — Lecz równocześnie z zakłopotaniem skrobał się w głowę. Ojciec — psycholog wiedział, że tylko jeden jest winowajcą; ale który?

— Fryc, czy Wiluś? — chodziło mu po głowie.

Nie szło mu bynajmniej o karę. August Szyling rad byłby ukryć katastrofę, zaszłą w nocy, gdyby to się dało, przed wszystkimi. Nie chciał dopuścić,

aby czwórka pozostałych dzieci, dowiedziawszy się o wypadku. drażniła przykrem przezwiskiem: „nocny geograf"! któregokolwiek z młodszych braciszków; albowiem przeczyło to pożądanej przezeń harmonji w rodzinie, gdyż, jakkolwiek ani 3-letni Fryc, ani 4-letni Wiluś, nie uczęszczali jeszcze do szkół, urągliwe miano „geograf" nie było im obce i stanowiło dla obu punkt okrutnej obrazy i powód do godzinnego mazania się! Ani też chciał dozwolić, aby będąca już od godziny na nogach i przy robocie matka, niesłychanie prędka w każdym ruchu, wymierzyła w pośpiechu „Sądu Salomonowego" kilka klapsów winowajcy, tak samo, jak i niewinnemu. Nie mając bowiem czasu na długie analizy, zwykle w podobnych wypadkach, już po posłaniu łóżka i po śniadaniu, rozdzielała porcję klapsów między dwa rozkoszne pośladki, jako że z doświadczenia wiedziała, iż co Fryc uczyni jednej nocy, to Wiluś powtórzy drugiej — i naodwrót; a że nie codzień miała chęć i czas do sądów, tedy połowa klapsów służyła domniemanemu winowajcy nocy dzisiejszej, druga stanowiła przestrogę na jutro dla niewinnego, niejako na zapas wypadków nieosądzonych.

Męskie poczucie sprawiedliwości burzyło się w poczciwem i logicznem sercu pana Szylinga na ten ryczałt klapsów egzekucyjnych. A że nie zawsze liczył na swoją krasomówczą zdolność wyjednania łaski dla winnego u pani Augustowej, czuwał tedy, o ile miał mocy, przedsiębiorąc śledztwo, aby Temida w jego domu nie korzystała nazbyt ze swojej śle-

poty i w ostatecznym wypadku dotykała klapsem głowy winnego, jeżeli można „głową" nazwać coś zupełnie przeciwnego. Sądził, że tego rodzaju sędziowską interwencją wdraża w dzieci od lat najwcześniejszych przekonanie o istnieniu w naturze „wyższej sprawiedliwości", a nadto osłania autorytet matki przed gorszącą niewiarą potomstwa w walory sądów rodzicielskich. Boć ostatecznie rozżalenie dzieci na matkę w bolesnem: „to nie ja!... to on!" dotykało i ojca, jako że pani Lotta Szyling była dlań drogą i nieskończenie ważniejszą połową jego ludzkiej istoty.

Wogóle co do tych dość częstych wypadków powodzi nocnych w łóżku dwojga najmłodszych, August Szyling nie mógł dogadać się nigdy z małżonką jako z osobą — jego zdaniem — nieuświadomioną dostatecznie w tej ważnej sprawie. On sam bowiem pewnej niedzieli odczytał sumiennie w bibljotece publicznej z całego szeregu dzieł specjalnych odnośne ustępy o „moczeniu nocnem"; porobił sobie nawet wypisy i cytował je nieraz swojej Lotce. Ale ta była dziwnie głuchą na dowody nauki...

— Loteczko! — mówił głosem pełnym słodyczy — zważ, serce, że kto śpi, ten nie grzeszy. Tak mówi przysłowie — mądrość narodu. Może dziecku śni się akurat, że siedzi na właściwem miejscu... i czyni sobie ulgę konieczną. Dr. Janina Springer twierdzi w dziele, liczącem 700 stronic — więc chyba dość poważnem! — że...

— Mam akurat czas czytać 700 stron o walaniu

prześcieradła!... A kto będzie chłopakom szył majtki? — przerywała nerwowo.

— Ależ kochana, toć tam niema o tem siedmiuset stron — wszystkiego są dwie. I sama czytać nie potrzebujesz — ja czytam dość za nas oboje. Otóż dr. Springerowa dowodzi naukowo, że jest to tylko cierpienie, które nachodzi biedne dzieciny „bezwiednie"... które wprawdzie może przewlec się przez całe lata, ale „naogół samo znika między 11-ym a 12-ym rokiem życia". Pozwól, że ci przeczytam o tem „moczeniu nocnem". Mam to w kieszonce kamizelki... Zaraz!... uważaj! „Rzadko przetrwa ono czas rozwoju dziecka, jakkolwiek bywają wypadki, że zachodzi jeszcze u młodzieńców w wieku do 16, 18 lat i więcej".

— Ślicznie będę wyglądała, jeżeli Fryderyk i Wilhelm będą „zlewali się" jeszcze, będąc pełnoletni! Do tego chcesz doprowadzić przez swoją pobłażliwość!

— Lociu! Lociu!... przeżegnaj się! Co ci w głowie?... Jabym miał chcieć żeby moi synowie, będąc pełnoletni... a fe! Tu nie o to chodzi! Trzeba zbadać przyczyny — wezwać lekarza...

— Dobry-ś!... będziemy wzywali lekarza do prześcieradła?!!

— Ależ nie do prześcieradła!... Do dzieci! — składał ręce żałośnie.

— Wizyta 2 dolary. Ładny budżet wypadnie! Leją po kilka razy na tydzień!

— Przesadzasz, duszko!... Zapisuję w notatniku...

Chcesz? — pokażę ci... podsumujemy za ten miesiąc i przekonasz się, że...

— A, daj-że mi spokój z tą buchalterją!

— No, to, Lociu, przynajmniej jedno: nie dawaj malcom mleka tak późno... przed samym snem...

— Auguście! chcesz, żebym głodziła dzieci?!

— Ależ nie to!... tylko... Zacytuję ci dosłownie: „dzieci, które przed udaniem się na spoczynek dużo piją, cierpią na ten nałóg... zwłaszcza po piciu piwa"... — —

— Kto poi Fryca i Wilusia piwem?!... Oszalałeś!... Teraz ty się przeżegnaj, August!

— Lotko!... przecie ja tego nie mówię... Tylko doktór Janina Springer... To jest tylko przykład. Nauka przytacza wszelkie wypadki...

— Śliczna nauka! — dawać dzieciom piwo!

— Lotko! — przecież nauka tego zabrania!

— Wiem o tem bez nauki!... Na co 700 stronic głupstw?!

— Aj! aj!... jak nierozsądnie!... Jesteś prawdziwą kobietą.

— Źle ci z tem?!... Mężczyzna urodziłby ci akurat sześcioro dzieci?!

— Lociuś!... ja wcale nie żałuję, że jesteś kobietą..

— To nie wymawiaj mi mojej płci!

— O, mój Boże!... Przecież powołuję się na kobietę... na kobietę — lekarza. Posłuchaj, jak tu mądrze napisane: „... należy sprawdzić badaniem, czy istnieje zasadna przyczyna cierpienia. O ile tej

brak, wypada zastosować staranne środki zapobiegawcze. Nie należy jednakże zapomnieć tu o zawezwaniu ku pomocy i wzmocnieniu także i *siły woli* dziecka i jego *poczucia* honoru i ambicji, albowiem taka świadoma współpraca dzieci stanowi tu bardzo skuteczną pomoc?...“

— Aha!... więc miałam słuszność!... Klaps budzi ambicję...

— Przez pośladek... ambicję!!... Zlituj się!

— Nie mam czasu... Praczka przyszła!

— „W żadnym wypadku jednak nie należy dziecka karać lub wyszydzać”! — czytał dalej.

Ale jej już nie było w pokoju. Daremnie chciał jej wyjaśnić, że on sam gotów jest działać na ambicję dzieci słowem... morałem... upomnieniem... ale przecież takie trzyletnie, lub czteroletnie bobo jeszcze nie rozumie!...

Zresztą pani Lotka wracała za chwilę. Już nie pamiętała o scysji. Było tyle innych ważnych spraw w gospodarstwie. Podawała mu palto, kapelusz — usta do pocałowania — i jeśli była to godzina ranna, wołała: „No, śpiesz się do banku!“ — jeżeli zaś to był wieczór, mówiła: „Idź, zabaw się, stary. W kręgielni pewnie się niecierpliwią, czekając...“

Wzdychał — odchodził... A za parę chwil i on zapominał o zaszłym sporze. Powracał mu jego stały, poczciwy, jasny, zdrowy humor...

Część I.

SZCZĘŚCIE AUGUSTA SZYLINGA.

Rozdział I.

„W s t a w a ć“!

Tego dnia — jako że nastąpiła wcześniej pora wiosenna — pani Augustowa, powstawszy o szóstej nad ranem, otworzyła lufcik w sypialni małżeńskiej dla wpuszczenia prądu świeżego powietrza; odziała się dość cicho, aby nie obudzić chrapiącego męża, który zresztą na szmery jej szat nie był wrażliwy; i udała się do swojej wzorowo urządzonej kuchni na parterze, aby ze skrzętnem wyliczeniem wsypać do imbryka odnośną ilość łyżeczek mielonej kawy na potrzeby śniadaniowe całego domu.

Podobnie jak z świeżego prądu rewolucyjnego korzystają rozmaite ciemne indywidua nocy, aby zająć wcześniej od innych wysokie stanowiska, tak z otwartego lufcika skorzystał bury kot-włóczęga i po gzymsie okiennym dostał się do sypialni pana

Augusta, aby znaleźć się na wysokim występie kominka obok budzika. Ciekawość kota została jednak niebawem ukarana, ponieważ zagadkowe stworzenie na kominku narobiło takiego hałasu, że nieskromny wizytator z dachu poprostu na chwilę oszalał i rychło smyrgnął na łóżko pani Augustowej, kryjąc się pod kołdrę. W istocie to zagadkowe bydlę bez głowy i ogona, mające zamiast nóg do chodzenia wskazówki, rozdzwoniło się jękiem niepojętym dla kota, oznajmiając godzinę *siódmą* z takim ferworem, jakby na zegarze biła conajmniej godzina przewrotu dziejowego.

Ten potężny dźwięk specjalnie zamówionego przez Szylinga u zegarmistrza w Nowym Orleanie budzika pełnił przecież, jak należy, swoje zadanie. Chodziło bowiem o dotarcie do świadomości spoczywającego błogim snem po dobrze przepracowanym dniu p. Augusta i o przewrót niemniej ciężki od dziejowego. Wspaniała tusza przewróciła się na łóżku pod kołdrą; z głębi poduszek wyjrzała naprzód imponująca roztargana broda koloru jasnego; potem na zapłyniętej szczęśliwym tłuszczem twarzy otworzyło się z trudem jedno oko, jakby zdziwieniem witając alarm w mieszkaniu. Ale już powracała świadomość, a z nią poczucie etyczne ogromu obowiązków, które przynosił z sobą jednako każdy nowy dzień — obowiązków, napełniających dumą i szczęściem głowę rodziny. „Godzina siódma" stanowiła uczciwy kres dozwolonego odpoczynku. Budzik był sumieniem Augusta Szylinga. Tedy otworzyło się

już energiczniej drugie oko. Już p. August siedział na posłaniu. Jeszcze nieco ociężale, napamięć poszukiwał nogami dobrze wydeptanych pantofli pod łóżkiem i napamięć ze zręcznością długoletniego doświadczenia umieścił potężne stopy we właściwych otworach , przychodząc jedną nogą z pomocą drugiej, zaopatrzonej w plastry przeciw nagniotkom.

Wreszcie stał na nogach wpośrodku pokoju, w olbrzymiej aż do ziemi spuszczającej się koszuli nocnej, przypominającej habit pokutnika z czasów średniowiecznych, lecz w danym wypadku reprezentującej tylko dostatniość domu i wstydliwość małżeńską pana Augusta, a może zabezpieczenie sobie ciepła na wypadek spadnięcia kołdry przy walce ze zmorą, nawiedzającą nieraz najczystsze sumienia. Jeszcze kilka poziewań, niby dalekich odgłosów uciekającej burzy marzeń sennych — jeszcze jedno szerokie i gromkie otworzenie paszczy, na wzór oswojonego długoletniem więzieniem w klatce i udobruchanego przez dozorcę lwa — potem przeciągnięcie się całą postacią z wyciągniętemi rękoma w powietrzu dla strząśnięcia ciężaru snu: wszystko nie zakrótko, ale i nie zadługo. Następnie kilka kroków w koszuli ku okrągłemu zwierciadłu, wstawionemu w staroświecką mahoniową toaletę — kilka sekund przejrzenia się nieco zaspanym wzrokiem w przestrzeni lustrzanej, bez zbytniej próżności, ale i nie bez zadowolenia, że broda, nos, oczy — wszystko jest na miejscu, zwłaszcza broda — powód dumy przez podobieństwo do zarostu Fryderyka Mądrego,

oglądanego w starem „Gartenlaube“, zakupionem niegdyś u antykwarjusza pod postacią rocznika, na własne imieniny. I już pan August Szyling, jakby skonstatowawszy w zwierciadle ostawanie się i ciągłość swego „ja“ — wstępował w swoje „macierzyńskie” obowiązki.

Tak jest! — macierzyńskie. Albowiem utarł się zwyczaj w domu Szylinga, że to on co rana dokonywał procedury budzenia dzieci i opieki nad sprawami ich mycia się i ubierania. Tak być musiało. Nie przeto, że pani Augustowa zwalała chętnie na barki męża obowiązki niańki i miała jakieś skłonności do zostania *„bas bleu“* i prowadzenia literackiego salonu *à la* Ninon de Lenclos, lub Aspazja. Nic podobnego! Pani Lotta nigdy nie słyszała tych imion. Poprostu przy względnie zamożnej stopie, na jakiej postawiono dom, — wbrew lśniącym pozorom obszernego mieszkanka, obfitującego w dogodne meble i wszelkie narządy gospodarskie, nakazane przez rodzimy pedantyzm niemiecki i kulturę praktycyzmu amerykańskiego — wbrew tym objawom dostatku, opartego zresztą na schedzie obu małżonków po ich rodzicach - kolonistach — państwo Szyling nie pozwalali sobie na utrzymywanie zbyt drogiej dla nich służby we własnej jednopiętrowej willi na krańcu miasta, nabytej wysiłkami cudownej oszczędności obojga.

Tedy pani Lotta uwijała się już od rana w kuchni. Oporządziwszy się najdokładniej, aby zachować bez krzty kokieterji swój powab niewieści, poprostu ja-

ko obowiązek „ludzkiego wyglądu“ i *noblesse oblige* właścicielki domu — przedewszystkiem odkurzyła wszystkie pokoje na parterze, zniszczyła w jadalni wszelki ślad śmietnika, pozostałego po wczorajszej zabawie dzieciarni w fantową loterję, która nie mogła obejść się bez strzyżenia stosów kolorowego papieru — następnie wydostała z sieni postawione przy drzwiach przez mleczarkę pełne butle, oraz złożoną na nich gazetę dla męża, jako że w uczciwej dzielnicy nikt z przechodniów nie połaszczyłby się ani na jedno, ani na drugie, w poszanowaniu cudzej własności — później nauganiała się za burym kotem, który przez szparę niedomkniętych drzwi z sypialni przywędrował do kuchni z wyraźnemi zamiarami skosztowania mleka, przeznaczonego dla dzieci i t. d. i t. d. Należało przygotować dwa śniadania: jedno w domu, drugie na pauzę szkolną dla czworga starszych dzieci, uczęszczających do szkoły powszechnej, oraz butersznyty dla męża, mającego udać się do banku, w którym urzędował w charakterze kasjera — a wszystko winno było być załatwione w porę jej zabiegliwemi rękoma. Nie dziw tedy, że August Szyling, podjął część jej obowiązków macierzyńskich, z których wywiązywał się z dumą ojcowską i szczęśliwością urodzonej niańki... Świadomy swych powołań pośpieszył z sypialni do sąsiedniego pokoju...

Oto w swojej białej nocnej koszuli stał teraz przy łóżku, w którem widniały dwie odwrócone od siebie główki chłopięce. Pierworodny, ośmiolatek, dwojga

imion: Karol August, i drugi z kolei, o rok młodszy, Stefanek — ów czarnowłosy jak matka, ten blondynek śladem ojcowskim, — zażywali smacznego snu. Stanąwszy u ich szerokiego łoża, Szyling klaskał w ręce. Ale obaj śpiący byli głusi. Śmiejąc się, jakby dokonywał figla, ojciec uciekł się do zwykłego sposobu przezwyciężenia oporu swoich śpioszków. Odgarnął błyskawicznym ruchem watowaną kołdrę. Dwaj śpiący bracia otworzyli oczy i spojrzeli na światło dzienne z grymasem wyraźnego niezadowolenia, kontrastującym z uciechą ojcowską. August Szyling, przekonany, że gest jego wydał pożądane owoce, odwrócił się z kolei do innego łoża. Tutaj tuliły się do poduszek dwie głowiny dziewczęce — jasnowłosa i ciemnowłosa — dwie słodkie twarzyczki: Erna i Fryda, bliźniaczki, obfite żniwo czwartego roku małżeństwa Szylingów. Tutaj fortel odrzucania kołdry nie godziłby się z przyzwoitemi obyczajami wspólnej dziecinnej sypialni, w której matka zaprowadziła porządek, stanowiący,że dziewczynki rozbierały się i kładły się spać już po wszystkich chłopcach, zasypiających zresztą, jak susły, po przyłożeniu głów do poduszek. Ale też fortel ten był zgoła zbędny, albowiem wystarczyło, aby ojciec — pofolgowawszy sobie jeden moment dla pełnego rzewności spojrzenia, zwróconego na dwie główki dziewcząteк — wyrzekł ich imiona: już obie dzieweczki zerwały się, pogodne, roześmiane w odpowiedzi na uśmiech ojca. Obie były w koszulinach, sięgających do podłogi, jak tatuś, jak wszystkie inne dzieci

— moda przyzwoitości, panującej w domu Szylingów.

Ojciec pogłaskał obie główki. Odwrócił się... spostrzegł, że jego poprzednia praca poszła na marne: obaj starsi chłopcy już zdążyli napowrót wciągnąć na siebie kołdrę i próbowali uciąć sobie nową porcyjkę snu. Nowy odrzut kołdry — łagodne wyciągnięcie chłopaków z łóżka — pogładzenie główki jednego ręką, ucałowanie drugiego, pierworodnego, oczka w głowie pana Augusta — nadto energiczne: „wstawać"! — a tym razem chłopcy już rzeźko bosemi nogami zatupotali po podłodze, w zrozumieniu oczekujących ich obowiązków zwykłego szkolnego dnia.

Jeszcze jedno dzieło, ostatnie z kategorji wstępnej: rozbudzenia domu. W trzeciem łóżku spała trzecia dwójka — ta, której widok przystroił twarz Augusta Szylinga wyrazem najwyższej pieszczoty, jako że chodziło o dwie najmłodsze latorośle; ale równocześnie wyrył zmarszczkę zakłopotania na czole. Bo tu właśnie widniała owa okrutna plama, rodząca pytanie: „Fryc, czy Wiluś"?

August Szyling ujął delikatnie koszulkę jednego z podejrzanych; była sucha. Tak samo zmiął w palcach brzeg koszulki drugiego efekt odwrotny! Winowajca został odkryty, jakkolwiek był odkryty już wcześniej — niegorzej od brata, gdyż kołdra spadła i koszule były podwinięte. Ojciec pociągnął za nóżki winnego Wilusia, ucałował go na znak współ-

czucia, wziął na rękę chłopca, który oplótł mu szyję, równocześnie ujął drugiego za rączkę... I niebawem cała szóstka pod wodzą ojca wkroczyła do kąpielowego pokoju. Pokój ten służył poza potrzebami toalety rannej za salę gimnastyczną...

Rozdział II.

Pierwsze rękoczyny i nogoczyny.

— Oddychać przez nos!... Usta mieć zamknięte!... Nie rumienić się! Nie pocić!... Nie śpieszyć się!... Zaprzestać przy kołataniu serca!... Robić to, co ja!...

Od tej komendy rozpoczynała się co ranka, natychmiast po wstaniu, obowiązkowa pięciominutowa gimnastyka dzieci, w której przyjmował czynny udział pan Szyling. Potem następowały szczegółowe wskazania ręko- i nogoczynów według szanownych wzorów gimnastyki szwedzkiej. Albowiem p. August, jakkolwiek oddawał wysoki hołd potrzebom ducha, reprezentowanym dla niego przez Biblję protestancką, cenił również, „tę nędzną klatkę cielesną", jak nazywał swój potężny brzuch — sam niezgorzej wyrobił sobie muskuły i dbał o to, aby jego potomstwo prezentowało moc rodową Szylingów elastycznością stawów, szerokością piersi, siłą mięśni i ogólnem zdrowiem organizmu. Starszym chłopcom mówił, że z czasem „przybrana ojczyzna może

zażądać ich pomocy" — gdyż wobec zamerykanizowania swoich przyzwyczajeń i lojalności względem Stanów Zjednoczonych, w których wiodło mu się dobrze, przyjął po śmierci ojca, urzędnika konsulatu niemieckiego, obywatelstwo amerykańskie, zachowując przecie sentyment dla ziemi swoich przodków. Dodawał przytem, dla pouczenia Fryca i Wilhelma o wadze gimnastyki, że jeśli nawet wojna nigdy nie wybuchnie, co daj Boże, amen! — to mocna pięść może się przydać w zetknięciu z bezbożnymi bandytami, którzy mogą stanąć na ich drodze nawet w uporządkowanej republice amerykańskiej i „nie doznać skruchy na głos moralności, jakkolwiek zawsze silniejszy od pięści!"

Dziewczętom mówił, że mogą zdarzyć się w życiu okazje, przy których kobieta zmuszona jest obronić się siłą fizyczną, a jakkolwiek pani Lotta, zgorszona, zamykała mu usta, iżby „nie psuł dzieci", rezultat tych tajemniczych napomnień był taki, że Fryda i Erna z równą ochotą dokonywały ćwiczeń gimnastycznych, jak dwaj starsi bracia.

Co się tyczy dwojga najmłodszych, to przykład starszego rodzeństwa, a nadto powaga przedziwnych min, która towarzyszyła ruchom ojca podczas owych ćwiczeń — sprawiły, że dwaj malcy z głębokiem przejęciem powtarzali wszystkie postawy, przybierane przez resztę członków rodziny.

Tedy cała ta kompanja siedmioosobowa, w koszulach, z bosemi nogami, na wielkiej ceracie, wyścielającej łazienkę, oddawała się z zapałem ćwicze-

niom, umacniającym zdrowie ciała, a przez nie — jak należało się spodziewać gwoli zasadzie Rzymian — zdrowie duszy.

— Ręce naprzód! — komenderował tatuś.

— Lence napsiód! — krzyczał z ferworem Wil.

Najmłodszy Fryc, zgodnie z rytmem, kierującym ruchami całej kompanji, wyrywał sobie rączęta, wpatrzony zachwytnie w twarz ojca.

— Do góry! — powtarzał najstarszy, Karol August.

— Do góły! — wykrzykiwał najmłodszy, Fryc.

— Usta mają być zamknięte! — wskazywała Erna.

— Genjalna! — przypominał wobec krytycznej uwagi córki pan Szyling i dalszy ciąg ćwiczeń odbywał się w grobowem milczeniu, przerywanem tylko przez sapanie mistrza.

Wyciągały się ręce wgórę, wdół, w bok, już tylko na komendę wzoru naczelnego. Sześć drobnych nóg podnosiło się za przykładem ojcowskiej. Czasem wszyscy przysiadywali i powstawali jednocześnie, o ile które z dzieci nie przewróciło się przy wysiłku. Najczęściej zdarzało się to maleństwom, ale i one podnosiły się niezrażone chwilowym dyshonorem, gdyż ojciec raz nazawsze zakazał wyśmiewać się z niepowodzeń dobrych chęci. Niekiedy przy spojrzeniu na wydęte policzki, wytrzeszczone oczy nauczyciela-ojca, starającego się wlać w siebie i podkomendnych najwyższy stopień energji, zdawało się, że to olbrzym w koszuli wyzwał do boju sześcioro

drobiazgów w koszulinach i na groźby sześciorga rączek, wyciągniętych przeciw niemu w pozycji bojowej, odpowiada groźbą swojej potężnej pięści, broniącej jego majestatu w tej walce...

— Dość! — wołał Fryc, wyczuwający zbliżenie się piątej minuty trochę przedwcześnie.

— Dość! — komenderował posłusznie ojciec.

I zabierano się do mycia...

Była to procedura, przy której jednakowo uwidoczniały się altruistyczne przymioty rodzeństwa, jak i nawroty instynktów wojowniczych z epoki odległej, o ile chodzi o przeszłość, a nie o tajemniczą jeszcze przyszłość, brzemienną bliskiem zdziczeniem obu półkul ziemi w wojnie światowej. Altruizm ujawniały zwłaszcza dziewczynki, zajęte myciem najmłodszych latorośli. Starsi chłopcy staczali bitwy homeryckie o pierwszeństwo przy kranach z zimną i ciepłą wodą. Tłoczono się w spuszczonych do pasa i przewiązanych koszulkach przy wannie i przy umywalniach, jakby nie myła się tu szóstka osób, ale cała dywizja. Wylewano tyle wody, że przy braku rur odpływowych, rodzinie Szylingów groziłby nowy potop. Co do ilości zużywanego mydła, to o ile ma słuszność Liebieg, czyniąc wysokość kultury zależną od ilości spożytego mydła — dom Szylinga stał na niezmiernie wysokim stopniu kultury: mydło rozsiane było nie tylko na włosach, twarzach, piersiach, lecz bryzgało pianą na ściany i podłogę. Sam Szyling szorował się tak, jakby wylazł z kopalni węgla po całorocznym pobycie. Miłował czystość cielesną nie

mniej, niż czystość duchową — zaleta godna szacunku: parskając pianą mydlaną, która złaziła mu z gęstych włosów i czoła na usta, smarował sobie dokumentnie pierś, godną wielokrotnej mamki, pulchnym płynem; obesławszy boki i pachy masami mydlin, wyglądał jak biały niedźwiedź. A cała gromadka naśladowała czyścicielstwo ojca...

W tym poważnym momencie pani Szyling stawała na niższym stopniu schodów i słała w górę donośne napomnienie: „August! prędzej... śniadanie!“... Ubielony fantastycznie, z oczyma, ledwo widzącemi poprzez gęstą warstwę mydła, z brodą jakby osiwiałą przy umywalni, poprostu patrjarchalną — nieszczęśliwy, nie zdążywszy jeszcze obetrzeć się, goły do pasa, wybiegał z kąpielowego pokoju i z górnej platformy wewnętrznych schodów dawał żonie liczne znaki, będące i tłumaczeniem się, że nie jest jeszcze gotów, i zapewnieniem, że wszystko będzie gotowe na czas.

— Zaraz! zaraz!... cierpliwości, Lociu!

Odchodziła pewna, że napomnienie o konieczności pośpiechu nie zaszkodziło. W istocie wesoła bijatyka chłopców ustawała; ostatni cios ręcznikiem już dostawał się ojcu — mianowicie mokry ręcznik fruwał w powietrze i wypadkiem spadał na plecy Szylinga, który zresztą krzywdy swojej nie dochodził, rozumiejąc drobne przypadki wojny domowej. Przeprowadzał teraz pośpieszną a przecie ścisłą kontrolę nad dokładnością obmycia maleństw przez starsze dziewczynki, zaglądał wszystkim sześciorgu w uszka i no-

ski — tu i ówdzie uczynił małą poprawkę; osuszył energicznem obtarciem Wilusia, ulubieńcowi Frycowi wpakował w ucho skręcony koniuszek ręcznika. Dokonał rewizji dokładnej, która po lekkich poprawkach dała rezultat doskonały w każdym calu.

Mógł być zaprawdę dumny, kiedy cała gromadka, lśniąca, jak łabędzie — odziana na urząd zasiadała w jadalni do śniadania, a zegar wskazywał punktualnie wpół do ósmej.

— A co?! — mówił do żony z triumfem.

Uśmiechała się z zadowoleniem. Na wszystkie zabiegi od wstania z łóżka do zajęcia miejsc przy stole wyznaczono pół godziny, a jeżeli jej nie przekraczano, grał rolę w tem uregulowaniu życia i jej stentorowy głos, zawsze brzmiący na właściwem miejscu i we właściwej chwili.

ROZDZIAŁ III.

Martyrologja przy śniadaniu.

Śniadanie pięknym zwyczajem rozpoczynało się od przeczytania przez ojca kilku wersetów ze starej Biblji — pamiątki po matce Szylinga. Pan August czytał je na wyrywki, jako że w ten sposób przypadkiem można było poznać w ciągu wielu lat całą księgę obu zakonów, oraz ze względu na to, że zasadniczo objawieniowy tekst nie mógł być w żadnem miejscu mniej święty, niż w innych. Czytał te wersety głosem śpiewnym, nie przymierzając, jak pastor; a w złotych okularach, z wyszczotkowaną dokładnie brodą, z uporządkowanym zawiesistym wąsem, sprawiał w istocie wrażenie świątobliwego człowieka. Żona podczas tego czytania spuszczała głowę nad talerzem i składała modlitewnie ręce; cała rodzina naśladowała jej zbożne ruchy. Tylko jeden Fryc, jeszcze noszący sukienkę i siedzący w zagrodzie wysokiego krzesełka, uchybiając nieco ogólnej powadze, zerkał z pod oka na stojącego ojca i nie

umiał sobie zdać sprawy, czego ta stara księga chce tu przed każdem śniadaniem. Ale, na szczęście, i on nie wyrażał żadnych krytycznych uwag, i nabywał zamłodu przekonania, że śniadanie bez tej zresztą ciekawej ceremonji obejść się nie może.

Na szczęście Fryca nie trwała ta procedura nigdy zbyt długo. Czasami bywała nawet bardzo krótka. Było to wtedy, gdy pan August wpadał na jakieś zaloty córek Lota w stosunkach z ojcem, na wymordowanie niewiast i dzieci Amalekitów czy Moabitów z nakazu Jehowy dla wygody miłościwego i wybranego ludu, na miljony przepisów Mojżeszowych, dotyczących rytuału składania ofiar z bydląt, jako rzeczy miłej Bogu i milszej kapłanom. W tych wypadkach pan August był trochę zażenowany, starał się głos uczynić śpiewniejszym, bardziej imponującym, ale słowa mamrotał niezrozumiale, jako że szło o sprawy, których jego umysł przeciętny nie był w stanie wyrozumieć, ale które mądrość teologów najpewniej wytłomaczyła na rzecz najwyższej etyki i krytyka laików nie powinna była tych rzeczy wiary dochodzić pychą rozumu. Tę ostrożność zachowywał czcigodny pan Szyling ze względu na to, że obawiał się, iż jego dzieci mogą być krytyczniejsze przy odczytywaniu Ksiąg Starego Zakonu, niż starsi — i poprzestawał na tem, że jego mamrotanie przy namaszczeniu głosu i świętobliwości miny napełni dziatki należytą czcią dla starej, świętej księgi, wystarczającą na czas, kiedy, wyrósłszy i dojrzawszy, nie będą poddawali analizie poszczególnych drażli-

wych ustępów. Miał słuszność — wymagany nastrój czci, piękniejszy od wszystkich słów, które mógł był niezręcznie przeczytać, panował przy stole w ciągu tych pięciu, czy sześciu minut — albowiem z córkami Lota załatwiał się w pięć minut, gdy mniej gniewnym proroctwom Jezajasza, lub cichym kazaniom ewangelji na górze słusznie poświęcał czas maksymalny.

Poczem zapanowywał gwar nieopisany: — odłożenie świętej księgi przez ojca było znakiem powstania Gomory i Sodomy przy stole, Gomory radosnej i Sodomy wesołej. Kubki były już przez matkę nalane kawą dla starszych, mlekiem dla młodszych. Teraz wyciągały się do ojca talerze równocześnie w liczbie sześciu, gdyż jego to przywilejem, czy obowiązkiem było nakładać na nie porcje kaszki zdrowia z olbrzymiej misy, ustawionej przy nim przez gospodynię. Funkcję tę wypełniał z rozkoszą i żwawością patrjarchy Abrahama. Wreszcie poczynało się ogólne chłeptanie i mlaskanie...

Wszelako tego dnia — jak zresztą wszystkich innych — nie obeszło się bez kilku tragicznych epizodów. Przedewszystkiem, ledwo matka zdążyła podnieść pierwszą łyżeczkę kawy do ust, a ojciec ledwo ułamał pierwszy kęs olbrzymiego obwarzanka — już kubek Fryca, przed pierwszem zetknięciem się z ustami właściciela, leżał wywrócony na świeżym obrusie i powstała na nim droga mleczna, nie mniejsza, niż na niebie.

Oczy pani Lotty, przed chwilą tak pełne słodyczy modlitewnej przy słuchaniu słów Nowego Zakonu: „Błogosławieni cisi, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie“ — zaiskrzyły się nagle; zapomniała o obietnicy łask zagrobowych gwoli zniszczonej doczesności obrusa i o nakazie ciszy wobec potrzeby krzyku na krzywdę, sprawioną zabiegom praczki: rozkrzyczała się, pełna rozpaczy, i przybiegła do Fryca z zamiarem wystawienia go z pokoju wyrokiem wygnania. Fryc okazał miną okrutny niepokój i wszelkie przygotowania do rozpaczliwego płaczu za pierwszem dotknięciem sędziowskiej ręki matki. Ale zaraz zamknął buzię, zdając sobie sprawę, mimo lat trzech, że ma za sobą opiekę ojca, którego gest miłosierny poskromił wybuch matczyny.

Interwencja pana Augusta wyraziła się w tem, że całą winę zrzucił na wywrotność kubka, nieodpowiadającego chwytności drobnej rączki; — pewnej chwili był już w kuchni, odnalazł smoczek, wyparzył go ze względów higjeny w gorącej wodzie, napełnił mlekiem i przyniósł swojej najmłodszej pociesze. Pani Augustowa tymczasem już przyciskała do piersi malca, aby uspokoić go, że zniknięcie ojca nie będzie wyzyskane przez nią na rzecz egzekucji. Fryc dostał smoczek i jął ssać z zachwytem. Pani Szyling zawzięcie suszyła serwetą zalany obrus. Wreszcie znowu wszyscy siedzieli na miejscach i tylko pomiędzy mężem a żoną toczyła się rozmowa mimiczna: podniesiony w górę palec ojca i zachwyt na twarzy podkreślały wartość wynalazku smoczka, zaś wzruszenie

BIBLIOTEKA LWOWSKA

ramion matki i kiwanie smutne głową znaczyły, iż niepodobna chłopca w trzecim roku życia rozpieszczać smoczkami, godnemi niemowląt.

Zanim rodzice zdążyli coś wypić, lub zjeść, i zanim skończyła się ta cicha scysja, wybuchła inna, głośna, pomiędzy dwoma najstarszymi chłopcami, którzy poprzez głowy jednej z siostrzyczek wydzierali sobie wzajem porcelanowy kubek. Jakkolwiek Karol August i Stefanek żyli ze sobą w przykładnej zgodzie i kochali się mocno, był pewien przedmiot, który wytrącił obu ze stanu równowagi i kazał zapomnieć na chwilę o przyjaźni braterskiej. Śród mnóstwa kubków, rozmaicie malowanych, był jeden z obrazkiem, przedstawiającym aniołka ze skrzypcami, budzący jednakowo upodobania obu braci. Stefanek dopatrzył w aniołku podobieństwo do swojej osoby, skąd uważał, że ten właśnie kubek, a nie inny, przeznaczony został dlań przez matkę i tylko przypadkiem dostał się w ręce Karola Augusta; podczas gdy ten ostatni, jako najlepiej ze wszystkich dzieci grający na skrzypcach, uważał, że emblemat „skrzypce“ wskazuje jego prawo własności do kubka. Powstająca wielokrotnie z tego powodu scysja, zwykle zażegnywana przez odbiór przedmiotu sporu obu skarżącym się i odniesienie go do kuchni, tym razem z powodu nieuwagi rodziców przybrała rozmiary horrendalne i, zanim ktoś się opatrzył, wydzierany sobie wzajem przez dwie pary rąk kubek frunął nad głową dziewczynki poza stół i z brzękiem rozbił się na podłodze. Właściwym winowajcą katastrofy był Karol August,

gdyż on to wydarł kubek w ostatniej chwili, a chcąc go ocalić przed zaborem, rzucił poza siebie.

Gest ten dostrzegła w chwili, gdy już było zapóźno, pani Szyling — jej oszczędnościowa żyłka nie znosiła niszczenia rzeczy, nadto wzburzyła się w niej żółć z powodu ustawicznych sporów o „aniołka“ i „skrzypce“ — pobiegła zatem do kuchni i z surową miną powróciła stamtąd, niosąc rzecz, zrzadka używaną, ale stanowiącą przedmiot grozy wychowawczej dla dzieci przez sam widok. Tym razem zagniewana postanowiła symbol obrócić w zwyczajne narzędzie.

Karolek August pobladł i trzęsącemi się wargami szepnął do ojca: „Tatusiu!“

Szyling powstał.

— Właściwie — rzekł — kubek należał do Karola Augusta.

— Tem bardziej powinien był ustąpić młodszemu! — odparła matka. W każdym razie nie wolno niszczyć nawet własnych rzeczy. Pójdź!...

Było to wezwanie do kuchni, która stanowiła plac kaźni w domu Szylingów.

Nie było ratunku. Karolek trząsł się, jak w febrze.

— Mama ma słuszność! — rzucił Szyling. Daj mi dyscyplinę! — zwrócił się do żony. Twoja ręka jest zbyt miękka! Ojciec winien wykonywać karę.

Uznała słuszność jego poglądu. Wręczyła mu dyscyplinę. Szyling z nieubłaganą miną, mogącą przynieść honor najzawołańszemu z katów karzącej przeszłość rewolucji, ujął Karolka za kark i niemal poniósł go do kuchni.

Matka zajęła się wymiataniem skorup z jadalni. Rodzeństwo zapijało powszechną grozę kawą i mlekiem.

Szyling przedewszystkiem zamknął drzwi jadalni. Mina jego, gdy potrząsał dyscypliną, była tak groźna, że Karolek już dwojgiem rąk drapał się w miejsce, które dopiero miało zaboleć. Jego śliczne jasne oczy, wypełniły się łzami i mówiły: „Litości!“ Ojciec potrząsał głową, jak człowiek, który powiada: „Źródła litości wyschły na ziemi. Odtąd panować będzie prawo miecza resp. dyscypliny“.

I za chwilę chłopczyna znalazł się na kolanach ojcowskich w stanie zupełnej nierównowagi, bo przebierał nogami pomimo depresji. Bicz świsnął przy zawziętych okrzykach ojcowskich.

Ale Karolek zauważył, że bicz się go nie ima — właściwiej mówiąc, że żaden cios z rozjuszonej ręki rodzica nie spada na wyznaczone centrum wymiaru sprawiedliwości na jego osobie. Za każdym okrzykiem: „masz”, rzemienie dyscypliny spadały mocno... na oboczny kominek. To zjawisko mechaniczne było tak stałe, że nie mogło być przypadkiem, ani błędem psychologicznym. Karolek wykręcił się na kolanie ojcowskiem i dostrzegł wyraźnie jego figlarną minę. Oczy ojca i jego ulubieńca spotkały się tajnem porozumieniem. Syn zrozumiał, że chodziło jedynie o udzielenie satysfakcji surowym nakazom sprawiedliwości. Sam Szyling miał drobny wyrzut sumienia, że wchodzi w spisek z synem przeciw matce i ucieka się do fałszu, ale usprawiedliwiał się w du-

chu tezą: „Kto wszystko zrozumiał, ten wszystko przebaczył!“ Należało nasycić wilka, którego grała uparcie matka, i kozę — skórę synowską zachować cało... Środek, którego było mu żal, gdyż należał do syna, uświęcał cel — prawo łaski ojcowskiej.

Egzekucja, wykonana na kominku, skończyła się. Trzeba było brnąć dalej w fałszywej sytuacji, ocalić po skórze synowskiej pozory sprawiedliwości. Szyling położył palec na przeobrażonych w ryjek swoich ustach. Karolek zrozumiał obowiązki, włożone nań przez ten znak spiskowego milczenia. Rękaw przyłożył do oczu i z udanym bekiem, który kwalifikował go na artystę sceny stołecznej, wracał do jadalni.

Pan Szyling poprawiał kołnierzyk i ścierał pot z czoła, jak człowiek, który dokonał aktu nieubłaganej zemsty i jeszcze nie może powrócić ze stanu rozjuszenia do normy.

Tymczasem w jadalnej pani Szyling już zdążyła przeobrazić się z Nemezydy w Niobe. Świst dyscypliny, bijącej za drzwiami o blat kominka, poruszył jej macierzyńskie serce bezmierną żałością. Powracającego z bekiem syna przyjęła kojącym uściskiem, mężowi oczyma rzuciła wyrzut, iż wykonał wyrok, który wydała w chwili zaślepienia gniewem.

— Stało się! — rzekł pan August. Teraz jedzmy.

A Karolek, zakrywając twarz rękawem przed matką, zerkał figlarnie ku ojcu. Szyling nadął się groźnie w obawie, że syn go rozśmieszy i sprawa fałszy-

wej egzekucji wyda się w chichocie obydwu; powtórzył ostro:

— Teraz jemy!

Łatwiej to było powiedzieć, niż uczynić. Bo w tej samej chwili Fryc, który tej nocy dał się zdystansować przez Wilusia na prześcieradle, jął dawać wcale nietajemnicze znaki, że zapomniano o rzeczy dotyczącej jego osoby, a względnie najważniejszej. Pani Szylingowa, żałując męża, chciała się podnieść. Ale pan August, jakkolwiek żałował siebie, dbał o wygody żony; sam tedy podźwignął dzieciaka z krzesełka i wyniósł tam, dokąd małe dzieci chodzą w towarzystwie starszych, okazujących w tym wypadku zupełną bezinteresowność...

* * *

Pomimo wszystkich tych przeszkód śniadanie szczęśliwie dobiegło do końca na godzinę dziesięć przed ósmą, jak nakazywał regulamin domowy. Teraz wybierano się do szkoły. Ojciec gorączkowo zapełniał książkami tornistry i zapinał je czwórce swojej na plecach. Matka piorunem przyniosła już gotowe w kuchni blaszanki z drugiem śniadaniem i rozdzieliła je między dziatwę.

Dwójka niedorosłych do wieku szkolnego plątała się wszystkim pomiędzy nogami z obowiązku powiększania chaosu i rwetesu.

Wreszcie czwórka starszych wywędrowała w szyku bojowym za wrota. Dwójka młodszych rozmieściła się w fotelach, aby odpocząć po przeżytych wrażeniach śniadania.

August Szyling odsapnął — obcierał czoło z potu — potem olbrzymią chustą oczyścił nos — zwinął chustę zadowolony, umieścił ją w kieszeni — i westchnął wreszcie z uśmiechem. Jego macierzyńskie czynności skończyły się. Mógł sobie pozwolić na wynagrodzenie: wyjął metalową cygarniczkę w której znajdowało się jedyne cygaro, jakie wypalał w ciągu dnia, z gatunku najprzedniejszego w kategorji niższej — zapalił i z satysfakcją puścił kłąb dymu. Stał przy wieszadle... Odpoczywał. Wiedział, że w tej chwili żona jego krząta się, aby z kolei zapakować jego drugie śniadanie do teki i wyprawić go do banku.

Za chwilę była przy nim. Podała mu tekę, palto, kapelusz... Małżonkowie dali sobie obowiązkowy, przyjemny, ale przelotny pocałunek. Powaga życia nie pozwalała na długie pieszczoty. Oboje byli przejęci obowiązkami pary rodzicielskiej. Czasu było niewiele... Jak dziatwa musiała zdążyć na ósmą do pobliskiej szkoły, tak ojciec uważał za swój obowiązek punktualne stawienie się na tę samą godzinę w banku a każda minuta była wyliczona...

Puszczając kłęby dymu pan August Szyling, dumny z siebie, zdążał ulicą, oddając po drodze przypadkowo spotkanym znajomym ukłony uprzejme, ale świadczące o dostojeństwie osoby, która się kłania...

Rozdział IV.

Na terenie banku.

August Szyling zatrzymał się u węgła dziesięciopiętrowego gmachu, wyglądającego, jak pałac, a stanowiącego od lat kilkunastu siedzibę „Banku dla handlu i przemysłu“ pod firmą „Germanja“.

Do lśniących odrzwi z czarnego marmuru przyłożył na znikomy moment żarzący się koniec cygara, zgasił je, niedopaloną w drodze „większą“ połowę skrzętnie ułożył w tombakowem etui; schował do kieszeni paltota ową cygarniczkę z bezcenną resztką rozkoszy palacza smakosza i jął wstępować po szerokich marmurowych wschodach na pierwsze piętro. Nikt nie odgadłby w tej chwili, że to jest ten sam człowiek, który przed niespełna godziną badał palcem wilgotną plamę na prześcieradle i zaglądał bębnom w noski. Był to teraz dostojny kasjer „Germanji“, niemiec, przeobrażony w yankesa, gentleman, dźwigający na szerokich barkach z pełną świadomością godność całego banku, prowadzo-

nego umiejętnie przez dyrektora towarzystwa akcyjnego, mr. Dawida Susquehannah.

Bank, założony przez tego genjalnego finansistę na podłożu kapitałów niemieckich, ściągniętych przezeń z Europy świetnemi perspektywami zysków, mieścił się na krańcu Nowego Orleanu — przecie w mądrem obrachowaniu na bliskość wielkich fabrycznych dzielnic, olbrzymich składów towarowych nieopodal nowozbudowanego z bajeczną szybkością portu, fabryk machin, tytuniu, młynów, walcowni bawełny i t. d., oraz z uwzględnieniem łatwej komunikacji kolejką elektryczną z handlowem centrum miasta, skąd w istocie napływała obficie klientela, zwłaszcza z pośród wychodźców niemieckich. Dawid Susquehannah przewidywał zgóry, że w ciągu lat dziesięciu przeniesie się tu cały ruch handlowy ze starej dzielnicy, założonej przez francuzów, i finansował, pobierając grube procenty, właścicieli sąsiednich placów, na których powstawały drapacze nieba niemal przez noc jedną i wypełniały się worami kukurydzy, cukru, pszenicy i beczkami solonego mięsa.

Był to człowiek dziwny ten mister Dawid! Niesłychanie układny w stosunkach z ludźmi, a przeprowadzający zawsze nakazy swojej żelaznej woli, uśmiechający się stale, napozór dobrodusznie, w gruncie rzeczy zimny, lak lód. Zamłodu skrzywdzony, zapoznany, wierzący przecie w swój talent organizatorski i czekający cierpliwie dnia triumfu, w ciągu długich, twardych lat walki z życiem po-

prostu nędzarz, obecnie wielokrotny miljoner, bogacz, nie używający swoich dóbr, wytworny w ubraniu asceta, skąpą strawą leczący zadawnioną chorobę żołądka. Ten człowiek ironiczny i suchy, nigdy nie zdradzający przed obcymi swoich bólów, stary kawaler, nielubiący kobiet, był przecie poetą — poetą cyfr! Jedyną namiętnością, która rozpalała jego wyobraźnię, było podżeganie zawrotnego tańca miljonów, przepływających przez kasy bankowe. Pieniądz uważał za genjalną ideę, abstrakcję, która udawała przedziwnie konkret życia — coś, czego niema, a co odgrywa istnienie w zapisach buchalteryjnych, czekach, akcjach, obligach, przewyższa nieskończenie martwe fundusze złota, zwielokrotniające się w szybkim obiegu sumowaniami na papierze. Gotów był uznać cały ustrój kapitalistyczny za szaleństwo, ale szaleństwo *permanentne,* jedyne, które potrafi zamaskować złudą złota i porządkiem bilansowych rachunków... nicość życia i wytrzymać konieczny irracjonalizm olbrzymiego gospodarstwa europejsko-amerykańskiego.

Stąd sceptycznie uśmiechał się, gdy napomykano przy nim o możliwości zburzenia tego ustroju, gdyż w próbach socjalistyczno-komunistycznych upatrywał dziecinny zamiar podziału dóbr, które posiadały wartość tylko fantastyczną, jak jego miljony, nierealizowane, nieużywane, zapisane jeno w kolumnach cyfr w księgach handlowych. Przepowiadał, że utopiści obnażą tylko pustkę, dopóty świecącą, póki oblicza się sumy pieniężne na papierze i utrzymuje

się nierówność zapisów majątkowych, ale grożącą głodem i nędzą wszystkim przy próbach realnego podziału bogactw, zasadniczo niewystarczających dla płodzących się bez miary rąk zbytecznych i mózgów przeciętnych. Ustrój kapitalistyczny był dla niego gorączką warjacji, do której przyzwyczaiła się ludzkość: znosi ją ze stratą dla wielu, ale z zyskiem dla utrzymywania życia ogólnego — przez ciągłe podnoszenie się wytrzymujących walkę o byt na wyżyny materjalnego dobrobytu. W teorjach komuny zgadywał inny rodzaj choroby — idjotyzm maluczkich pedantów, który czarowną nierównowagę tragikomedji życia zamierza zastąpić równowagą martwoty, nudą stadowości, marazmem sił gospodarczych, podżeganych dzisiaj przez chciwość, ambicję, interes egoistyczny; w rezultacie — utopją naiwnych i słabych rachmistrzów, niemożliwą do zrealizowania, — przeciw utopji, zrealizowanej przez instynkt genjalnych spekulantów, do których z całą słusznością zaliczał siebie.

Powiedzmy, że był spekulantem ostrożnym, na zimno, zawsze trafnie obliczającym ryzyko i szanse, uwielbianym przez akcjonarjuszów, którym stale przysparzał dywidendy. Surowy dla siebie, był surowym i dla innych — zaprowadził w banku ten wykwint, który wspaniałością gmachu, zdobnością sal, przestronnością poczekalni, freskami sufitów, krasą biurek i krat z giętego żelaza, mnożył i oszałamiał klientelę; a równocześnie wprowadził pedantyczny system oszczędnościowy w stosunku do

urzędników, od których wymagał szczerych uzdolnień i sumiennej pracy, a trzymał ich w karbach ścisłego rygoru.

Był nielubiany przez personel służbowy; ale nic sobie z tego nie robił. Wystarczyła mu chłodna grzeczność ludzi zależnych, płatnych i uniżonych. Z pośród wszystkich urzędników lubił tylko jednego Augusta Szylinga, który zresztą jedyny — w swojej przedziwnej naiwności — brał uśmiech dyrektorski za dobrą monetę, podziwiał jego genjusz finansowy i odnosił się z uznaniem do jego skromności w życiu, a z pożałowaniem do jego znoszonej spartańsko choroby żołądkowej. Zresztą może nie tyle lubił Augusta Szylinga co był z szacunkiem dla jego typu.

„Ład społeczny — mawiał — opiera się na tego rodzaju indywiduach. August Szyling nie wymyśli prochu i zna swe miejsce w społeczeństwie". Wiedział, że na sprawności i sumienności Szylinga może śmiało budować.

Ciepły i serdeczny stosunek długoletniego kasjera banku do znienawidzonego ogólnie a skrycie dyrektora był powodem niechęci, żywionej dla Augusta Szylinga przez znaczną część urzędników-kolegów, zwłaszcza nowicjuszów. Tej niechęci August Szyling, z natury dobroduszny, gotowy zawsze do otworzenia objęć potrzebującym, podejrzewający w ludziach dobroć, której skarby posiadał we własnem sercu — nigdy się nie domyślał. Bo i za cóżby mieli go nie lubić inni, gdy on był względem wszystkich jednako życzliwy?!... Zresztą po bliższem przyjrze-

niu się panu Augustowi niechęć kolegów pryskała, ustępując miejsca maskowanemu uśmiechem lekceważeniu istoty niepoprawnie naiwnej, stanowiącej doskonały objekt dla wyrażanego szeptem pośmiewiska. Było bowiem coś w panu Auguście — jego szczerość, czystość, sumienność, dobra wola, gotowość do usług — co paraliżowało odwagę do drwin nawet w najśmielszych. Może zresztą liczono się z jego powagą w banku, jako jednego z najstarszych urzędników, mającego za sobą plecy dyrektora, który był postrachem dla wszystkich. Nie uchodziło zadzierać z panem Augustem głośno. Wystarczały drwinkarzom krążące pokątnie anegdoty. Nadmieńmy nadto, że niejednokrotnie pan August protekcją swoją wyjednał najbardziej pokrzywdzonym podwyżkę, podczas gdy sam nigdy nie starał się o podwyższenie własnej w istocie skromnej pensji, której dyrektor też nie podnosił, mając na uwadze, że „kto się nie skarży, jest zadowolony" i że „nie należy pracowników psuć zbytniem okazywaniem im, że są potrzebni", jako że „skromność jest najwyższą zaletą dobrego pracownika"! Niepodobna odmówić mr. Dawidowi Susquehannah głębokiego psychologicznego zmysłu, który między innemi ujawnił się w tem, iż, zwąchawszy przenikające z Europy między personel służbowy prądy strajkowe, zawezwał dwóch najzajadlejszych agitatorów — a równocześnie najbardziej uzdolnionych pracowników banku — primanocistę i korespondenta, i zamknął im usta po krótkiej rozmowie.

— Panowie propagujecie socjalizm w banku?

— Hm... panie dyrektorze... niby jak?

— Proszę mówić otwarcie!... słyszałem, że przemawiacie na jakichś wiecach. Jesteście socjalistami! Tak, czy nie?

— Gdyby tak, panie dyrektorze?

— Spodziewałem się po was więcej rozsądku. Wstyd, że socjaliści nie znają teorji Marksa. Według Marksa my wszyscy, kupcy, bankierzy, jesteśmy złodziejami, eksploatatorami pracy ludowej — czy tak?

Milczenie.

— Proszę odpowiedzieć wprost.

Prowadzący primanotę w domniemaniu, że czeka go dymisja, którą odparuje przez bunt koleżeński, zdobył się na odpowiedź:

— Tak!

— A więc wy wszyscy jesteście pomocnikami złodziejów: wyzyskiwacze proletarjatu narówni z nimi!... Rozumiem socjalizm proletarjatu robotniczego i agitatorów — próżniaków, wspinających się po karkach ludu do łakomego burżuazyjnego kąska. Nie rozumiem marksistów w banku! To są głupcy...

Milczenie. Dyrektor przeszedł się po gabinecie.

— Jesteście zdania, że wszelki idealizm jest nonsensem, że jedyną sprężyną dziejów według waszego materjalistycznego pojmowania jest sprężyna ekonomiczna — interes materjalny... tak?

— Tak jest! — odparli obaj interpelowani chórem.

— Czy szczerze?

— Jak najszczerzej!

— Zgadzam się z wami... Od dziś podwajam wam pensję... Zaprzestaniecie szerzyć mrzonki?!

Zaprzestali.

I wszystko poszło w banku dawnym składnym trybem.

Dyrektor uspokoił akcjonarjuszów: „Zaraza strajków u nas nie wybuchnie. Trzeba było tylko poradzić sobie mądrze z agitatorami: Na szczęście, trafiłem na dwóch gałganów, którzy poza tem są umiejętnymi pracownikami. Można było ich zatrzymać. Mam nadzieję, że obaj z czasem wyrosną na dyrektorów banku! Mają olej w głowie!"

Przeważna część kolegów Szylinga były to ordynarne woły robocze. Żywot ich polegał na wnoszeniu do ksiąg cyfr naprawo i nalewo, na sumowaniu liczb, poborach i wypłatach, gromadzeniu weksli do inkasa i dyskonta, przypominaniu dłużnikom o terminach i protestach, obliczaniu procentów, walutowaniach i t. p. — w jednej połowie życia, od ranka do godziny czwartej; w drugiej—na szwendaniu się po ulicach, zaglądaniu do tanich kin, sennem czytaniu i zapominaniu gazet, znajomostkach z kobietami podejrzanej konduity, siedzeniu do późna w knajpach i długiem spaniu, o ile w tej drugiej części nie był skromnym pobytem przy boku poczciwej matki, lub przechadzką z cichą narzeczoną, o pobraniu z którą marzyło się przez lata, albo wreszcie zaciekłem uprawianiem jakiegoś sportu — wioślarskiego, pływackiego, atletycznego i t. p.

August Szyling w miarę swojej możności użyczał potrzebującym drobnych pożyczek, na chwiejących się w cnocie — zdaniem jego — zawsze skłonnych do pracy, starał się wywrzeć wpływ moralny. Niektórzy z kolegów szanowali go; mający wdzięczniejsze serca — lubili; inni, jak już się rzekło, pokpiwali zeń, nie spotykając sprzeciwu nawet u przyjaciół Augusta, bo-ć nic tak nie bawi, jak drwiny z dobroci ludzkiej i karykatura śmieszności, którą tak łatwo znaleźć można w każdym człowieku, a zwłaszcza w ludziach do zbytku poważnych. On sam nie przyjaźnił się zbytnio z nikim z kolegów — był przyjacielem wszystkich — poza bankiem wystarczał mu dom rodzinny: żona i dzieci... „Na takich ludziach opiera się porządek świata" — trafnie orzekł dyrektor Susquehannah. „Są oni potrzebni życiu!"

Tego dnia, znalazłszy się w banku, Szyling uczynił przedewszystkiem to, co czynił zawsze: ulokował się za ogrodzeniem kasy, zdjął mankiety i odłożył na stronę, starannie wsunąwszy jeden w drugi— zabieg, mający na celu oszczędzenie żonie roboty prania i prasowania — zdjął też nowy surdut i przywdział zdjęty z gwoździa roboczy, skazany na prędsze znoszenie, poczem pomanewrował delikatnie palcami pod puszystą brodą i na bakach, aby wszystko przygładzić, jak wypadało na wysokiem stanowisku kasjera „Germanji"!

Oczywiście nie zauważył, że przy środkowym stole jeden z urzędników pogłaskał się w sposób, żyw-

cem skopjowany, po wygolonych policzkach i podbródku, zwracając umyślnie na siebie uwagę kolegów. Ci roześmieli się zcicha. Karykaturzysta uczynił dowcipną uwagę:

— Jego broda ma moc włosów Samsona. Ciekawa rzecz, coby się stało, gdyby ją kiedy zgolił.

Nowe parsknięcie śmiechem.

August Szyling nic nie zauważył, niczego nie dosłyszał. Spoglądał bowiem właśnie zdziwionym wzrokiem na swój zegarek, mający kształt wielkiej cebuli, i na zamkniętą kratę sąsiedniej pomniejszej kasy, nad którą utrzymywał z urzędu kontrolę. Co to znaczyło?! — było pięć minut po ósmej, a krata była jeszcze zamknięta. Zaniepokojony wyszedł za ogrodzenie — wskazywał ręką zegarek — rozpytywał: „Co to znaczy?... Morton nie przyszedł!...“

Zapytywani wzruszali ramionami, milcząc, i udali, że są pochłonięci przewracaniem papierów. Jakkolwiek sami z musu byli już na stanowisku, pedantyzm kontrolerski Szylinga w stosunku do kolegi, który się spóźnił dziś, jak oni radzi byliby spóźnić się jutro — nie poszedł im w smak.

Jeszcze pięć minut niepokoju Szylinga. Morton zjawia się i zabiera się do sprawdzania paczek asygnat w kasie. August Szyling zachodzi swego pomocnika z tyłu i pokazuje mu zegarek.

Młody o sfatygowanej twarzy brunecik jest w kłopocie.

— Panie Szyling! raczy pan wybaczyć opóźnienie. Zasiedziałem się całą noc przy chorym ojcu.

Szyling robi minę współczucia. Ale wzrok jego pada na tużurek młodzieńca. Jest na nim jakaś lśniąca nitka. Pan August ujmuje ją delikatnie pomiędzy dwa palce. Dwoma palcami drugiej ręki rozciąga i patrząc z ponad złotych okularów, powiada sceptycznie:

— Pański ojciec ma takie długie włosy?!

Morton spuszcza oczy. Udaje wybornie zawstydzenie, lub jest w istocie zawstydzony tem, że złapano go na kłamstwie.

Szyling spędza z twarzy przybrany z wysiłkiem wyraz surowości. Miękko ujmuje oburącz ramiona Mortona i serdecznym głosem powiada:

— Młodzieńcze! zapamiętaj sobie te słowa Biblji: „Strzeżcie się obcych kobiet, bo one uczynią z was przestępców."

Poczem potrząsa przyjaźnie ręką Mortona — odchodzi. Już zapomniał o winie, przebaczył. Zasiada w swoim kantorku.

Przed nim na biurku leży mała ćwiartka papieru Nie było jej tu przed chwilą. Położył ją śliczny chłopczyna, pełniący w banku drobne usługi, popychadło ogólne na posyłkach. Wcisnął się za kratv, aby położyć papierek. Teraz z oczyma smutnemi, pełnemi lęku, zerka na pana Szylinga — oczekuje wyroku; coś widocznie przeskrobał.

August Szyling czyta nabazgrane na kartce dziecinnym charakterem pisma krótkie, a wymowne zdanie:

„Proszę pana, marek za dolara nie kupiłem, bo wydałem pieniądze."

Kasjer wzdycha ciężko. Rozpiera się w fotelu, jak człowiek ogarnięty nagłą niemocą. Dzwoni... Kiwa z za krat na chłopca. Ten podchodzi z rumieńcami na wychudłej twarzyczce. Pan August zdejmuje okulary:

— Ukradłeś?!

Chłopiec powstrzymuje się od łkania. Dwie wielkie łzy stanęły mu w oczach.

— Tak... ukradłem... Po raz pierwszy w życiu!... Jak Bozię kocham, już nigdy tego nie zrobię!

Głos chłopca brzmi szczerze. Pan August przyciąga go do siebie, obejmuje ojcowskim uściskiem:

— Jak to dobrze, że powiadasz sam: „nigdy!"... To znaczy, że rozumiesz swój błąd. To wiele!... Nie kradnij — to droga śliska... Dlaczego zapomniałeś się, Joe?

— Był... był... taki ładny obraz w kinie! — podciąga chłopiec nosem uparte łzy... Pierwsza serja...

— Czy będzie druga? — pyta pan August.

— Tak... dzisiaj.

Pan August sięga do kieszeni, wyciąga dolara, daje go dyskretnie malcowi, klepie go po ramieniu i mówi:

— Nie płacz... nie płacz, chłopcze. Przekonasz się sam, o ile przyjemniej jest iść do kina za własne pieniądze...

I pocieszonego zlekka popycha ku drzwiom kasy.

Teraz zjawia się dyrektor. Wysoki, szczupły, pa-

nuje nad wszystkimi głową. W ręku trzyma lśniący cylinder. Na twarzy jego śród ciemnych baczków zarysowuje się stereotypowy uśmiech — dobrodusznego bazyliszka. Kontrolującem okiem władzy ogarnia główną salę banku: wszyscy na miejscach — to dobrze. Jako nakazał, nikt nie powstaje od roboty; wszyscy podwładni oddają mu ukłon z miejsca — mroźny ukłon szacunku. Tylko jeden August Szyling nie wytrzymuje: powstał, kiwa mu głową wielokrotnie. Uniżoność, pochlebstwo? — nic podobnego! On poprostu jest zachwycony majestatem tego dyrektora, który w przeciągu ostatniego półrocza podniósł obroty bankowe... Genjusz!... według Augusta Szylinga tacy ludzie, jak mr. Dawid Susquehannah utrzymują świat w równowadze... wiodą go w postęp... są monarchami republik...

Dyrektor odśmiecha się szczerze. Wie, że są ludzie, którzy mają cześć należną dla jego głowy, przyśpieszającej wwóz i wywóz towarów między Ameryką i Europą, trzęsącej wszystkiemi giełdami świata...

Zniknął za drzwiami swego gabinetu.

Fala interesantów napłynęła do banku. Rozpoczął się na dobre dzień roboczy...

Pan August przyjmuje stosy pieniędzy...

Jest szczęśliwy i dumny, że rządzi w „Germanji", która prosperuje i dźwiga się na czoło bankowych przedsiębiorstw Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie stanowi dumną ekspozyturę energji ekonomicznej dalekiego „Vaterlandu".

ROZDZIAŁ V

Godzina muzyki i godzina kręgli.

O godzinie siódmej wieczorem, t. j. gdy wszyscy najedli się do syta przy obiedzie, gdy czwórka starszych odrobiła pod czujnem okiem matki lekcje na jutro, a pan August przeczytał gazety i przedrzemał się pół godzinki w siedzącej pozycji na fotelu, cała rodzina schodziła się w saloniku na parterze gwoli wspólnym ćwiczeniom w muzyce.

Uprawiano grę na rozmaitych instrumentach. Pani Lotta zasiadała przy pianinie. Uczepiony jej sukni Willy z entuzjazmem śledził przebiegające sprawnie po klawiszach palce mamy i pomagał grze przewracaniem nut, do których wyciągał rączki w chwilach wskazanych przez matkę, dumny ze swego czynnego udziału w koncercie. Erna i Stefan stanowili w głębi salonu przy pulpitach parę grających na flecie. Fryda i Karol August wodzili z przejęciem smyczkami po strunach skrzypiec, nie mogąc nigdy wyjść z podziwu, że — jak wyjaśnił tatuś — „zetknięcie się

końskiego ogona z baraniemi kiszkami stwarza cud, melodję, której słuchają anieli w niebie." Ojciec rodziny stanowił najpoważniejszą siłę w tym sekstecie; opierał brzuchatą wiolonczelę ostrą podpórką na posadzce salonu i z błogą miną wydobywał z niej czarodziejskie dźwięki. U nóg jego siadał w owych chwilach Fryc w krótkiej sukience i jak zamagnetyzowany poruszał główką w kierunku pociąganego przez tatusia smyczka. Zdaje się, że główny efekt religijnych melodyj Palestriny i łatwiejszych etiud Mozarta, stanowiących program koncertu wieczornego, tkwił dlań w tajemniczym ruchu ojcowskiego smyczka, który przykuwał jego oczy, sunąc to na prawo, to na lewo „jak ziwy"!

Z biegiem godziny ósmej koncert rodzinny ustawał. Matka zabierała dziatwę na górne piętro, aby ułożyć ją do snu. Wszelako ojciec zatrzymywał najczęściej jedno z dzieci — mianowicie najstarszego, w którym przeczuwał „sławę muzyczną". Chłopiec trzy razy na tydzień pobierał lekcje muzyki od przychodzącego doń drogiego metra, który popierał wielkie nadzieje pana Szylinga na przyszłość wirtuoza-syna.

— Czy zagrasz mi tę kołysankę? — zapytywał Szyling swego ulubieńca. A może wolisz spać?

Nigdy Karolek August nie odpowiedział ojcu odmową. Czarnemi włosami bujnej czupryny wstrząsał energicznie.

— Ale gdzież tam?...! Wcale mi się spać nie chce!... Zagram!

Był nad wyraz dumny z tego, że on sam jeden pozostawał z ojcem w salonie, gdy wszyscy musieli iść spać, i grał swojemu tatusiowi, który razem z nim się zamykał.

Melodja Szuberta słodkiemi tonami napełniała powietrze. Oczy chłopca podnosiły się chwilami podczas gry z przejęciem wcale niedziecinnem ku górze. Grał ulubioną pieśń ojca na jego życzenie tyle razy, że osiągnął w „kołysance" niemal stopień mistrzostwa. Tak płynnie poruszał się smyczek; tak delikatnie i ściśle drobne palce naciskały struny... Szyling stał przez cały czas nad chłopcem i mimowoli wybijał mu takt łagodnemi ruchami ręki w powietrzu.

Chłopiec skończył. Jasne oczy, kontrastujące dziwnie pięknie z czernią włosów, wzniósł ku ojcu.

— Tatusiu! — zapytał — dlaczego masz zawsze łzy w oczach, gdy gram tę piosenkę?

— Co?... Ja!... — zażenował się stary. Ale gdzież tam!... Zdawało ci się!

I odwrócił się, aby otrzeć nieznacznie dwie łzy, które nawisły mu na rzęsach.

Czy to było jakieś niedopełnione marzenie z przeszłości? Coś, co świadczyłoby o tem, że szczęście Augusta Szylinga nie było zupełnem, że tkwił w niem jakiś tajny cierń, że w życiu jego zdarzyło się coś, co zginęło, skrzywiło się, opuściło go, że był cień na słońcu jego radości rodzinnej, że było mu czegoś żal...Jeżeli była taka luka, on sam nie chciał o niej wiedzieć. Już oczy jego były suche, twarz stroiła się

szerokim uśmiechem. Głaskał chłopca po główce i mówił:

— Ślicznie grałeś!... Zajdziesz, chłopcze, wysoko!... No, idź już teraz...

I chłopiec w istocie szedł wysoko, t. j. na pierwsze piętro.

A Szyling, przezwyciężając jakieś zakłopotanie, porządkował nerwowo nuty, składał pulpity, zamykał fortepian. Lecz znowu lekki cień — niby wrażenie kołysanki — przemykał po jego twarzy. Czegoś mu brakło...

A, tak! — przypomniał.

— Karolek! — wołał, wyszedłszy z saloniku. Przynieś mi palto.

Karolek biegł ze schodów, zdążał do przedpokoju. Chyży, jak koza alpejska, powracał za chwilę do salonu. Ojciec przeszukiwał kieszenie palta. Tak jest!... to, czego mu brakło, znajdowało się zwykle w drugiej, z kolei przeszukiwanej, kieszeni.

Cygaro! — właściwie zaoszczędzona rankiem gwoli rozkoszy wieczora połówka cygara...

Karolek August wąchał za wstrętem cygarniczkę i oddawał ją ojcu. Natomiast bohatersko znosił puszczony mu w nos dym cygara ojcowskiego — i udawał się na spoczynek...

Wszystko w domu zasypiało — prócz ojca i matki.

— Co, nie nudzi ci się, stary?! — zapytywała Lotta.

— Ale gdzież tam?! — odpowiadał w zaambarasowaniu. Wiesz, jak chętnie zostaję w domu z tobą.

Była to zwykła odpowiedź, wystarczająca próżności małżeńskiej pani Augustowej. Po niej następował sakramentalny frazes, oczekiwany przez Szylinga z lekkim niepokojem. Bo cóż będzie, jeżeli kiedyś nie zabrzmi?

— Myślę, że dobrzebyś zrobił, gdybyś się trochę rozerwał. Kręgle — to zdrowy i miły odpoczynek, który należy ci się słusznie po pracy.

— Tak sądzisz?... A!... wiesz co, masz słuszność... Pójdę.

Wdziewał szybko palto przy jej pomocy...

Całował ją przelotnie, jak człowiek, który się śpieszy.

A ona zasiadała do roboty — łatała bieliznę i odzież swojej szóstki.

Zdarzało się, że, będąc w humorze weselszym — nieco mniej znużona całodziennem harowaniem — rzucała mu figlarnie na pożegnanie:

— A nie zawierusz mi się gdzie, stary!

Wówczas powracał od progu. Obejmował ją gorącej — zamykał usta pocałunkiem, mówiąc szczerze a żałośliwie:

— Nie lubię nawet, gdy tak żartujesz! Gdzież mnie do „zawieruchy"?... Poważny ojciec rodziny!... Też pleciesz!...

Śmiał się... I szedł do kręgielni.

. . . . . .

. . . . . .

— Mistrz!... Mistrz Szyling!... Wiwat!

Takimi okrzykami witała go galerja, złożona

z bywalców i znawców sztuki zbijania rozstawionych na szerokiej bazie dziewięciu kręgli z królem wpośrodku — możliwie jednym rzutem ciężkiej kuli, którą wprawiać celnie w ruch potrafiły nie byle ręce. Amatorzy widowiska wypełniali szereg ław, ustawionych dość ciasno aż po samą drewnianą powałę. Gracze zawodowi mieścili się poniżej tuż przy bufecie, który odświeżał ich siły i ochotę do gry stawianemi bez końca na ladzie i od nowa wypełnianemi świeżym „Gambrynem" kuflami olbrzymich rozmiarów. Śród amatorów-widzów były i damy: żony, siostry, przyjaciółki zawodowców, tworzących zamknięty klub, który uprawiał z zasady sport kręglowy w słynnym zakładzie p. Edwarda Pickforda. Nigdzie nie było tak gładkich gościńców dla kul, z tak matematycznie obliczonem stopniowaniem pochyłości, takiej ich ilości, bo aż trzy tory dla równocześnie grających par, takiego zapasu kul o imponującym ciężarze, wreszcie takiej sprawnej usługi. Bawiono się tu całą gębą.

Pokrywając uśmiechem lekki przebłysk zawiści w oczach witał Szylinga mr. John Hutchinson, który zdawna marzył o zdobyciu championatu na niwie zbijania kręgli, ale w drodze stawała mu wyższa zręczność, wprawa i moc fizyczna pana Augusta. Właśnie pobił był wszystkich, stających z nim do walki, gdy stawił się groźny konkurent. Pobici powitali go radośnie, gdyż liczyli na to, że weźmie pomstę w ich imieniu na pyszałkowatym zwycięzcy Hutchinsonie. Szylinga lubiono tu szczerze i jemu

chętnie oddawano palmę pierwszeństwa w tym niewinnym sporcie.

— Do roboty, Szyling, do roboty! Utrzyj nosa Hutchinsonowi, bo się zanadto rozbija! — zawołali na widok wchodzącego.

— Zaraz!... zobaczymy!... Już mnie rączki świerzbią! — odpowiadał.

Za chwilę był bez surduta. Odwijał białe rękawy koszuli. Wybraną kulę długo ważył, potrząsając ją na mięsistej dłoni. Rozpędzał się — kula błyskawicznie wylatywała z ręki naprzód — toczyła się z hukiem wzdłuż drewnianego gościńca, po czarno malowanym wąskim pasie, nie zbaczając na prawo, ani na lewo... A jeszcze pan August, rzutem wybity z równowagi, z przechylenia w rozbiegu przechodząc w odrzut całej postaci wstecz, ważył się na jednej nodze, aby odzyskać pozycję normalną, gdy już cała dziewiątka kręgli staczała się, niby rozbity oddział, wdół poza widownię.

— A co?! — zacierał ręce pan August.

Gospodarz na czarnej tablicy zanotował ilość zbitych pionów. Gdzieś w oddali chłopiec usługujący ustawiał ponownie kompanję dziewięciu. Zazdrosny Hutchinson spluwał na ręce, zdejmował skaczącą kulę, rzucał widzom: „Zobaczymy, kto kogo!" — i walił — dziewięć kręgli stoczyło się z powierzchni.

— Zobaczymy! — mówił pan August, odświeżywszy gardło łykiem piwa.

— 8! — komunikował chłopiec.

Następowała kolej Hutchinsona.

7! — wywoływał chłopiec.

Oczy Szylinga iskrzyły się weselem.

Po trzech kwadransach upartej walki kredowe znaki na tablicy znaczyły:

Szyling — 125, Hutchinson — 123!

— Brawo! brawo! — rozlegały się oklaski śród widzów i członków klubu. Szyling zwyciężył!...

— Dość tego na dzisiaj! — oświadczył pan August, wdziewając surdut. Obstępowano go, prosząc, aby został. Chciano zatrzymać, zapraszając do wychylenia piwa na koszt klubu. Było mu ciężko rozstać się z kołem wielbicieli — niełatwo wyrzec się postawionego na tacy kufla pieniącego się Gambryna — ale spoglądał na zegarek i potrząsał przecząco głową:

— Dziewiąta... Jak Boga kocham, nie mogę!... Wypiłem już dwa kufle. Na mój brzuch i to za wiele. Dziękuję, moi kochani... do jutra!

I pokazując im zegarek, kończył:

— Żona sama... czeka...

Był nieubłagany — odchodził.

ROZDZIAŁ VI.

Telefon w nocy.

Jakkolwiek trudził się pan August w dobrowolnie przyjętej na siebie roli niańki, jakkolwiek ciężko pracował przez całe życie i obficie zraszał potem swoim pole bankowe, aby spełnić zadania głowy domu i dostawcy grosza na utrzymanie licznej rodziny, jakkolwiek nawet w kręgielni wydawał w zabawie zapasy energji — miał on przecie chwile miłego odpoczynku: czy to wówczas, gdy po wybiciu z pozycji stojącej dziewięciu drewnianych pionów, zachwycony sobą z rękoma w kieszeniach odwracał się ku galerji, czy wtedy, gdy zwolnionym krokiem, nieco okrężną drogą mniej ludnemi ulicami, w cichy wieczór księżycowy, powracał spacerem do domu.

Natomiast pani Augustowa nie odpoczywała nigdy. Wypadłoby znacznie powiększyć ku niezadowoleniu wydawcy powieść niniejszą, gdybym pozwolił sobie wyliczyć wszystkie roboty jej dnia, lub choćby te prace, których dokonała owego jednego wieczora pod nieobecność męża w dniu, który, jako

przełomowy w życiu Szylinga—jak to okaże się zaraz — posłużył nam do wstępnego opisu. Albowiem nie tylko zacerowała kilka par skarpetek dziecinnych, poprzyszywała wszystkie naderwane tego dnia w bojach na szkolnym dziedzińcu guziki marynarek synowskich i zastąpiła nowemi zaginione, nie tylko wyfroterowała w saloniku miejsca, porysowane za dnia i mniej błyszczące, nie tylko spłukała wszystkie szklanki i talerze po wieczerzy i sprawdziła, czy we wszystkich niezliczonych naczyniach na półkach znajdują się w dostatecznej dla potrzeb tygodnia ilości specyfiki, oznaczone etykietami: cukier, pieprz, sól, cynamon, drożdże i t. d., nie tylko uczyniła przegląd czystości wszystkich ściereczek z wyhaftowanemi jej rękoma tezami w rodzaju: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje" — ale jeszcze zrobiła w długiej księdze sumienny rachunek wszystkich wydatków tego dnia i zasiadła do nadsztukowania kalesonów męża, mających stały pociąg do stawania się w pasie ciaśniejszemi. Właśnie z tego względu, że te roboty, jej zdaniem, wymagały wielkiego skupienia uwagi, a zwłaszcza żądały ciszy rachunki, jako że podsumowania cyfr zgóry i zdołu dawały często rezultaty odmienne — wysyłała chętnie męża na parę godzin wieczornych z domu, gdyż jego nieustanna paplanina, mimo zasadniczo miłego głosu, niekiedy drażniła jej wytężone stale a przepracowane ciągłą czujnością nerwy.

Pomimo nachodzącego ją nieraz znużenia i wybuchów gniewu na nieprzewidziane katastrofy w ro-

dzaju pęknięcia garnków i t. d., oddawała się z pietyzmem swoim zajęciom i miłowała swoje wzorowo urządzone mieszkanie i gospodarstwo. Była prawdziwą kapłanką domowego ogniska. Jej pedantyzm w porządkowaniu domu — zamiataniu podłóg, szorowaniu rondli, okurzaniu mebli — jakkolwiek poważnym umysłom filozofów, dyplomatów, literatów mógłby się wydać zgoła płaskim i niemądrym, był może w związku dziedzicznym ze zbożną służbą u ołtarzy narodowego bożka jakiejś dalekiej jej prababki, kapłanki w świątyni Odyna, lub Westalki w chramie Janusa, boga pokoju. Dlaczego mniej śmieszne, niż jej zabiegi gospodarskie, mają być pedantyczne starania autorów o wytworność stylu najgłupszej w treści powieści, lub mozolne ich ślęczenia nad błędami korekty, których nieuważny czytelnik nigdy nie dostrzeże, niemądry nie rozpozna, wykształcony sam je poprawi?!... Nie było-ż to jej małe gospodarstwo tylko minjaturą wielkiego państwa, którego dobrobyt i porządek obciążał odpowiedzialnością jej barki, jako panującej w domu i dumnej z biegu spraw na wyznaczonym jej przez losy skromnym terenie?... I czy filozof nie powinienby uznać, że całość świata może być dobrze urządzoną tylko pod warunkiem czuwania każdej istoty z podobnąż sumiennością nad powierzoną jej cząstką życia powszechnego, skomplikowaną w pozornej prostocie, jak złożoną jest kropla wody w bogactwie chemicznem i mechanicznem elektronów, naśladującem obszar morza?!

Pomimo, że nie doszła lat trzydziestu, lub może dlatego, że nie weszła jeszcze w ten okres niebezpieczny dla płci pięknej, i jakkolwiek miała ponętnie skrojone usta i żywe błyski w czarnych oczach pod ładnemi łukami brwi — była po dziesięciu latach małżeństwa i po wydaniu na świat w mękach sześciorga dzieci już więcej matką, niżli kobietą, pożądającą pieszczot mężowskich. Byłoby przecie niesprawiedliwością sądzić, że oddana ręcznym robotom — naprawianiu bielizny dziecinnej, czy haftowaniu pokrowców na poduszki sofek w saloniku — zaniedbywała zupełnie sprawy myślenia. Nie mówiąc bowiem o kłopotach gospodarskich, które leżały na jej głowie, aby bieg spraw w jej małem państwie nie zatrzymał się i nie doznał uszczerbku — miała ona swój sposób zastanawiania się nad rozwojem i przyszłością dzieci.

Cerując wybitnie rozdarte na piętach pończoszki Henryka Stefana myślała: „Będzie napewno inżynierem!... Nie umie chodzić. Musi jeździć autem!“ Przy łataniu dziur na spodenkach Willy, przypominała z uśmiechem jego wyjaśnienia: „To nie ja — to winien gwoździk, na którym siadłem. Ale po co mama poplawia — z tylu i tak nie widać” — i myślała: „Wyrośnie na genjalnego adwokata!“ Przy szyciu sukienek dla Erny i Frydy, próbowała odgadnąć, jakie będą stanowiska ich mężów. Odpruty guzik Fryca, który na skarcenie jej odpowiedział słowami ojca: „Nic nie dzieje się bez woli Bozi” — budził jej podziw i kazał przypuszczać w synu przy-

szłego teologa. Prasując z zapałem kołnierzyki dla Karolka Augusta myślała: „Żeby tylko nie wystąpił nigdy w przyszłości na koncercie w brudnym kołnierzyku, kiedy mnie już nie będzie!" — i roniła cichą łzę nad koncertantem *in spe*.

Rozrzewniała się również nad dobrocią męża, haftując dlań w kwiaty pantofle, lub poduszkę pod jego ukochaną głowę na momencik drzemki poobiedniej. Mus rozszerzania obwodu kalesonów przyprawił ją o niepokój: „staje się otyły — to może z czasem przyprawić go o duszność... ojciec jego zmarł na chorobę serca... O, mój Boże, gdyby August — —".

. . . . . .

Bieg jej myśli przerwany został nagłym dzwonkiem w telefonie.

O tej porze telefon! — to było coś nadzwyczajnego. Serce jej ścisnęło się mocniej. Czy nie pogotowie ratunkowe?! August upadł na ulicy!... Och! sprawdzają się jej przypuszczenia.

Odrzuciła robotę. Blada, przerażona, drżącemi rękoma ujęła tubę.

— Hallo!... tu Szyling.

— Bank „Germania"... Kto mówi?

— Żona Augusta Szylinga.

— Zechce pani poprosić męża do telefonu.

— Niema go w domu...

— Prędko wróci?...

— Tak... niedługo... za kwadrans... pół godziny...

— Jak tylko wróci, proszę powiedzieć, że wzywa

go dyrektor banku... Niech przyjdzie niezwłocznie!...

— Ale...

Już tam odłożono tubę. Nie słuchano.

Zadygotała. Lepsze to, niż Pogotowie ratunkowe. A jednak, mój Boże! co się stało?... O tej godzinie telefon?!... „Przyjść niezwłocznie...“ Jakaś nagana?... dymisja?... okropność!...

Biedne jej ręce ledwo były w stanie manewrować igłą we właściwych kierunkach. Oczy jej błądziły wciąż po wskazówkach zegara. W pośpiechu zaszyła rozporek w majteczkach Fryca, który miał swoje rozsądne przeznaczenie. Musiała pruć zbędną robotę, jak Penelopa...

Wreszcie znany dzwonek z sieni.

Biegła, jak szalona, otworzyć mężowi.

— August!... Dyrektor kazał, abyś zaraz przyszedł do banku...

— Zaraz?!

— Niezwłocznie!... Co się stało?!... Czyś aby nie wypłacił w kasie komu zawiele?... Bywasz tak roztargniony...

Poruszał głową przecząco. Starał się ją uspokoić. Nie popełnił żadnego błędu. Wszelako i on pobladł. Musiało zajść coś poważnego. Wzywają go w nocy! Nigdy się to nie zdarzało. Obracał kapelusz w niepewności, nie mogąc przyjść z wrażenia do siebie.

— Idź! idź! — popychała go ku drzwiom.

— Idę... Ale ty mi tu nie drżyj, Lociu!... Głowy mi nie urwą. Niema za co...

Nogi mu się plątały. Jakkolwiek bank był blisko,

wsiadł przed domem do samochodu. Z ulicy dojrzał oświetlone okna dyrektorskiego gabinetu.

Woźny banku czekał go u wrót...

— Co się stało, Smith?

— Nie wiem... Dwaj nowi panowie z zarządu są u dyrektora od dwóch godzin. Obradują...

Przez puste i ciemne sale dotarł do gabinetu. Za chwilę stał przed dyrektorem i kłaniał się nisko, rzucając spojrzenia niespokojne na dwóch nieznajomych panów, siedzących z drugiej strony biórka. Pergaminowe twarze dwóch businessmanów nic nie mówiły. Dyrektor uśmiechał się, jak zawsze.

— Przedstawiam panom naszego kasjera. Ma nazwisko tanie: Szyling. Ale wart jest wielu dolarów!

Pan August odetchnął. Początek był dobry.

— Mr. Susquehannah bardzo chwalił pana. Jesteś pan pono doskonałym rachmistrzem... pierwszorzędnym ażjoterem! — rzekł jeden z panów z uroczystą flegmą.

Szyling skłonił się ponownie. Zażenowany rozwodził ręce:

— Nie wiem... doprawdy... Skoro pan dyrektor tak powiada...

— I podobno można polegać na pańskiej uczciwości. Ho! ho! — zaśmiał się drugi. W dzisiejszych czasach, kiedy europejscy kasjerzy umykają do Ameryki, amerykańscy zaś do Europy — jest to rzecz niezwykła i... godna pochwały.

Na twarz pana Augusta wybiły rumieńce...

— Po cóż... uciekać?... Kasjer winien siedzieć na

miejscu! — bełkotał, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć na pochwałę zalety tak zwyczajnej, jaką była w jego przekonaniu uczciwość.

Dyrektor zabrał głos:

— Chodzi nam właśnie o to, abyś pan nie siedział w miejscu. Uradziliśmy wysłać pana do Chicago...

— Mnie?!... Do Chicago?! — zdziwił się Szyling, tykając się palcem w pierś.

— Pana!... I to jeszcze dziś w nocy... Pociąg odchodzi o 12.45... Zabierzesz pan ot, te papiery procentowe... Akcje nowych kopalni złota na Alasce... i obligacje kolejowe „Pacificu"... Jest to suma nominalnie 100.000 dolarów... Ale spodziewamy się haussy, zainicjowanej przez giełdę Chicagoską... Postarasz się pan dobrze sprzedać te papiery...

Oczy Augusta Szylinga szerzyły się coraz bardziej, Spotykał go po raz pierwszy taki zaszczyt. Mógł być dumny z okazanego mu zaufania. Ale zarazem rozumiał ciężką odpowiedzialność włożonej nań misji... Bąkał:

— Jednak... panie dyrektorze... Lękam się, że... może jednak... ja... mnie... takie zadanie!...

— Bez skromności! — zadecydował dyrektor. Skoro mój wybór padł *tylko* na pana, to znaczy, że *tylko* pan zrobisz to najlepiej...

Szyling kłaniał się wdzięcznie; serce biło mu mocno ze wzruszenia...

— Pojadę, panie dyrektorze... o 12.45.

— Dobrze!... Będziesz pan wynagrodzony, jak należy...

Wkładał papiery do teki. Dołączył paczkę asygnat.

— Tu masz pan na koszta podróży... Aby nie było mitręgi, zamówiłem już telefonicznie bilet na pańskie imię. Otrzymasz pan go w kasie za okazaniem dowodu osobistego.

ROZDZIAŁ VII.

Kartka z przeszłości Augusta Szylinga.

Odtąd rozpoczyna się ów przełomowy moment, który wprowadza naszego bohatera z utartych szlaków jego skromnej „potrzebności“ na okrutne manowce „niepotrzebnego“ człowieczeństwa.

Aby ta tragedja, tak prosta u źródła, a tak zawiła w ostatecznych rezultatach, tak zwyczajnie-nadzwyczajna, stała się zrozumialszą dla czytelnika, nawet takiego, który mniema, że jest zrozumiałą zupełnie i niepotrzebującą tłumaczeń, sięgamy na chwilę do przeszłości Augusta Szylinga, nawet do lat jego szkolnych. Tu bowiem tkwią korzenie jego sentymentu dla „kołysanki“, granej przez syna, tkwi powód łez, skwapliwie ocieranych, chyboce się zerwana nitka marzeń niedopełnionych, nawiązana w podróży do Chicago, fatalnie przez szał chwili, jako rekompensata utraconej miłości, lub może tylko rozkoszy zmysłów, które nie wyszumiały zamłodu.

Śród kolegów szkolnych Augusta był jeden, który sprawił mu pierwsze bolesne rozczarowanie, przecie wybaczone jego gołębiem sercem, zapomniane zda się, całkiem dzięki zdrowemu i jasnemu z natury usposobieniu — ranka, napozór zabliźniona przez czas!...

Zwał się Louis Windbeutel — nazwisko, pasujące raczej do niego samego i do jego dziada — trzpiota i birbanta, jednego z pierwszych kolonistów Nowego Orleanu, z pochodzenia Niemca-Alzatczyka, niźli do jego ojca, skromnego i słabowolnego człowieka pracy, inspektora szkoły niemieckiej, ożenionego z nauczycielką języka francuskiego, mającą przeszłość nieco burzliwą i niewyraźną, damą, pokrywającą swoje przygody i niepowodzenia paryskie małżeństwem w wieku przejrzałym z nieźle usytuowanym inspektorem szkolnym, nad którym objęła niezłomną batutę. Ona to rozpieściła syna jedynaka, dała mu słodkie imię Louis, spaczyła przy słabym oporze ojca jego charakter, napełniwszy chłopca ambicjami urojonemi, w każdym razie tylko po części odpowiadającemi wartości jego uzdolnień. Prawda, że Louis „parlował" w dzieciństwie po francusku, grał niezgorzej na fortepianie, w wieku szkolnym przejawił nawet talent krasomówczy, ale poza tem był próżniakiem, pchanym z klasy do klasy tylko przez wstydliwą, a wymuszoną przez żonę protekcję ojca - inspektora, nicponiem żądnym zawczasu uciech życiowych, zepsutym przez wpływy uwielbiającej go służby kobiecej wcale dostatniego domu, po-

zbawionym nadto zgoła cierpliwości, bez której najpiękniejsze talenty idą na marne.

Matka wróżyła swemu Louis wielką przyszłość, marzyła że wyjedzie do Paryża, w którym ona grała pono wielką rolę, rzekomo prowadząc tam „salon literacki“ — że zajmie wybitne miejsce w rzędach adwokatury, a nawet dyplomacji francuskiej; tą wiarą natchnąć umiała małżonka, który zresztą był przekonany również o niepospolitych zdolnościach syna, lecz bolał nad jego niechęcią do rozwijania ich pracą. Sam zaś Louis wbił sobie w głowę, że co najmniej zostanie pierwszym ministrem w ojczyźnie swojej matki.

Louis w szkole otoczony był zawsze sztabem kolegów, którymi komenderował jako „głowa genjalna”, plótł im swoje mowy, brzęczące pięknemi słowami, a pozbawione treści, lecz niekrytycznym młodzieńcom wydające się objawieniami wspaniałych myśli.

Na ławie szkolnej trafiają się przyjaźnie, które są zamiastkami, lub przeczuciami rozwoju późniejszych uczuć miłosnych — niby próbami serc niewinnych przeżywania głębokich wstrząśnień rozkochanej duszy, zanim skierują się one pod adresem właściwym, ku płci przeciwnej. Sentymentalny, nieco prostacki w zachowaniu blondynek, August Szyling rozkochał się w swoim ciemnowłosym, wytwornym, krasomówczym, wszystkowiedzącym w jego mniemaniu koledze. Uwielbienie jego dla tego nicponia nie znało granic.

Louis przyjmował te hołdy od Augusta, jako da-

ninę zupełnie należną. Wbił go w ambicję, czyniąc swoim wybranym *attaché,* uprawnionym do asystowania mu stale na spacerach ku zazdrości innych wielbicieli pyszałkowatej paplaniny „mistrza". Zaimponował mu tem, że już na ławie szkolnej dostał się do druku; mianowicie w pisemku ojcowskiego krewniaka, poświęconem zresztą sprawom „solonego mięsa i hodowli bydła" — umieścił w tygodniowym dodatku pół literackim parę szkiców, dotyczących biografji i polityki znajdujących się na widowni ówczesnej francuskich mężów stanu. Głębokie zaślepienie Augusta co do wartości moralnej i umysłowej jego „wielkiego kolegi" najłacniej uwidoczniło się tem, że odkrywszy wypadkiem w papierach przyjaciela numer gazety francuskiej, z której popisowy artykuł został skradziony żywcem i podpisany pełnem imieniem i nazwiskiem Louis Windbeutla, tylko rozpłakał się gorzko; a gdy mniemany autor nadszedł na tę chwilę, August starał się ukryć złowrogi numer gazety dyskretnie pod sobą na krzesełku.

Louis dojrzał ten ruch. Nie zmieszał się ani na sekundę. Owszem ostro zgromił Augusta za... małoduszność, nieszczerość, szperanie w jego papierach; (gazeta leżała przedtem otwarcie na stole). Wyjaśnił mu, że z jednej strony on, Louis, gdyby mu się tylko chciało, mógł lepiej napisać, niż dziennikarz francuski; że z drugiej strony — potrzebował tego fortelu, aby wywrzeć głębszy wpływ na kolegów, których musi prowadzić do tylko jemu wiadomych wyższych celów, jednakże przyjacielowi, Augustowi, zamierzał

sam w właściwym czasie odkryć swój sekret; że z trzeciej strony, on, Louis czynił tylko zaszczyt nieznanemu autorowi francuskiemu, podpisując jego artykuł bardziej znanem w Nowym Orleanie (czytaj: w szkole) nazwiskiem, i t. d.

W rezultacie Louis oświadczył tuż Augustowi, że brak zaufania jest zdradą przyjaźni, zmuszającą do zerwania z kolegą, na którym się zawiódł, wszystkich stosunków na wieki. Biedny Augustek przeraził się, ukląkł — i wyjednał sobie przebaczenie u miłosiernego „mistrza".

Mógł był nie lękać się tak bardzo. Był przyjacielowi niezmiernie pożyteczny. Posiadał bowiem pewne zalety, które Louis w „niżej stojącym umysłowo i moralnie" potrafił ocenić. Przedewszystkiem August, syn niemca, urzędnika konsulatu, w wolnych chwilach oddającego się grze w szachy, muzyce i matematyce — zajęciom, które uciszyły jego boleść po stracie żony zmarłej przedwcześnie — wdrożony był od dzieciństwa przez ojca do sumiennej pracy; a jakkolwiek niewymowny i słaby w nauce języków, zgoła pozbawiony zdolności do literatury, miłował nauki przyrodnicze i odznaczał się zwłaszcza zdolnościami w dziedzinie liczb. Jeżeli bowiem trudno byłoby nazwać Augusta matematykiem, to jego postępy w arytmetyce dawały mu przynajmniej prawo do miana niepospolitego rachmistrza: zdumiewał zamłodu niemi ludzi obcych; rodziły w ojcu nadzieje, które w całym zakresie nie miały się spełnić, gdyż ostatecznie umiejętność chłopca błyskawicznego liczenia

w pamięci przywiodła go tylko do wrót bankowej kasy. Był to ten zagadkowy talent, który zjawia się u niektórych dzieci, jest fenomenem młodego wieku — i ginie z latami, nie dając pożywnych owoców. Wszelako na szkolnej ławie był pomocny nie tylko jemu, ale i jego koledze a sąsiadowi, gdyż pozwalał mu rozwiązywać zadania za obydwu, służyć Louis za narzędzie do podpowiadań, a podczas egzaminów opiekować się „genjuszem słów", mającym wstręt do logiki i zupełnie bezradnym w dziedzinie cyfr. „Cenię cię za to — mówił nieraz Louis do Augusta — że masz wielką głowę... i ty także. To schlebiało Szylingowi, chociaż w wyjaśnieniach Louis, dawanych innym kolegom brzmiało w przeróbce: „Uważaliście, że August ma za dużą głowę... trochę głowę idjoty — obawiam się że posiada w niej wodę. Żal mi go, bo to może być początek choroby mózgowej. Dlatego opiekuję się nim serdecznie. To dobry chłopiec, chociaż nieco głupi!"

Co do tej chorobliwej wielkości głowy, była w tem duża doza prawdy. Nawet i to było prawdą, że manja liczenia groziła Augustowi przez pewien czas chorobą mózgową. Ale co do opieki wyrażała się ona w sposób szczególny: w korzystaniu z pomocy Augusta w ciężkich wypadkach matematycznych i prowadzeniu go do cukierni, gdzie próżny Louis płacił jawnie i z dumą za obydwu, a znakomity rachmistrz ponosił wstydliwie koszta fundy. Albowiem Louis szybko wydawał wszystkie kieszonkowe pieniądze, które wciskała mu garściami bez wiedzy ojca

matka, zaś August nie wiedział, co ma czynić ze swojemi, i korzystał w kłopocie z pomocy dobrego przyjaciela. Talent Louis do pożyczania pieniędzy od kolegów znakomicie rozwinął się dzięki tej zalecie Augusta; odwrotny zaś — oddawania nie znalazł sprzyjającego gruntu w otoczeniu i w przekonaniach wierzyciela. „Pieniądz — rzecz marna!“ — mawiał Louis. „Kiedyś to wszystko odda się razem“. To „kiedyś“ było przekazem długoterminowym na bank niebieski po tamtej stronie życia.

. . . . . .

O miłych figielkach młodzieńczych lat mości Louis nie godziłoby się wspominać, gdyby nie istniała w bycie psychologicznym zasada trącania na starość tem, czem skorupka nasiąka zamłodu — i gdyby przyjaźń „genjalnego człowieka“, którą August się szczycił, nie przeciągnęła się — z dłuższą zresztą przerwą — poza ławę szkolną i nie okazała wpływu na pewien naiwny moment wieku dojrzałości Szylinga. August rychło wystąpił ze szkół. Przyszło zapalenie mózgu w związku z manją liczenia wszystkiego: domów, sklepów, okien, przechodniów na ulicy, gwiazd na niebie, o mało co nie... ziaren piasku w garści i liści na drzewach: ilość wszystkich tych rzeczy niezmiernie dziwiła i zaciekawiała Augusta, odciągając go od pohulanek z koleżką Louis, ale nie rokując rozwiązania tejemniczych kwestyj bytu — zamiany ilości na jakość. Zaniepokojony ojciec

umieścił syna w lecznicy, gdzie wybijano mu bezpłodne rachuby z głowy dość szczęśliwie, a przywracano fizyczne zdrowie. Szkół nie skończył; ale śród gór na świeżem powietrzu pod opieką znakomitego lekarza - specjalisty okrzepł, zmężniał, nabrał wesołego humoru, który w epoce szkolnej, skutkiem przeciążenia umysłu pracą zbyt sumienną, przygasł był na czas długi.

August wstąpił do banku, jako buchalter; machnął ręką na wyższe ambicje. Później jego poczciwy ojciec umarł, dostawszy ataku serca z powodu wygrania partji szachów z dotychczasowym championem Nowego Orleanu. August odziedziczył po nim schedę — drobny kapitalik, ciułany na stanowisku konsularnem przez długie lata na rzecz syna, oraz piękne meble, przechowywane z pietyzmem — obecnie pamiątkę po dwóch pokoleniach Szylingów.

W tej epoce przyszła pierwsza miłość — objawienie dla serca czystego i niezamąconych dotąd w swoim spokoju zmysłów. W jadłodajni, w której August systematycznie stołował się, podczas obiadu i wieczerzy przygrywała stale gościom skrzypaczka-dziewczyna, o filigranowych kształtach sarenki i fenomenalnie pięknych oczach niezwykłej zielonej barwy. Była sierotą. Może w innych warunkach wykształciłaby się na wirtuozkę; była córką dyrektora orkiestry i operowej śpiewaczki, zgasłych jednego dnia śmiercią tragiczną podczas pożaru teatru. Dziewczę znalazło się na bruku bez grosza. Litościwy wyzyskiwacz — właściciel restauracji — przy-

garnął ją, a za przyodziewek, mieszkanie, jadło ściągał jej muzyką liczną klientelę do swego gastronomicznego zakładu. August zakochał się w dziewczynie, która miała oczy smutne, uśmiech wesoły, męską odwagę bronienia swojej cnoty dziewiczej i ambicję trudną do urzeczywistnienia: przejścia z sali restauracyjnej na estradę, gdzie nie przeszkadzanoby jej grze brzękiem noży, łyżek, talerzy...

Wkrótce oświadczył się jej i zaręczył się z nią. Wyznaczono nawet dzień ślubu. Ale po daniu na pierwsze zapowiedzi, August spotkał w parku miejskim swego dawnego przyjaciela Louis, który już po raz setny wybierał się do Paryża, ale nie miał grosza przy duszy i klął „świat, który zapoznaje genjusze".

Młody Windbeutel był w żałobie. Matka zmarła przed półrokiem, przejadłszy się ciastami w czasie świąt wielkanocnych. Z ojcem, który chorował na raka, utrzymywał się ze skromnej emerytury i nie był w stanie łożyć na wybryki jedynaka, żądnego wszystkich rozkoszy życia, niby daru należnego „genjuszowi" — Louis zerwał dawno, jako ze starym, stetryczałym nudziarzem. Zarabiał mizernie feljetonami, lecz feljetony jego, pisane na kolanie, mimo pozy na oryginalność, były jeszcze mizerniejsze, niż płaca: były to surowe sądy nad wszystkiem, na czem Louis się nie znał; zwłaszcza były to pozerskie potępienia niemoralności publicznej i uwagi mocno krytyczne o książkach, często nieprzeczytanych przez krytyka. Zresztą encyklopedyczna nie-

wiedza, którą uprawiał autor, zjednała mu poklask zdumienia w szerokich kołach publiczności i potwierdzała sąd autora o sobie: „W Paryżu wypłynąłbym na mistrza feljetonu — ale co można pisać dla Nowego Orleanu?!“

August przejął się nieszczęściem dawnego druha. Zaprosił go do siebie, podzielił z nim mieszkanie, opłacił jego krawca, jako że Louis zaniedbał się był mocno, a bez wytwornego kostjumu nie mógł — jak twierdził — tworzyć i wyjść na drogę sławy. Oczywiście zaznajomił go ze swoją narzeczoną i doznał radości, jakiej doznajemy, mogąc z duszą wybraną podzielić ogrom swego szczęścia.

Louis pochwalił wybór przyjaciela, nie miał słów dla wyrażenia zachwytów nad pięknem oczu, ust, gry młodej dziewczyny. Spędzono wiele miłych chwil we trójkę.

Ale tu wypadki poszły bardzo zawrotnie, krzywiąc się, jak w odbiciu wklęsłych i wypukłych zwierciadeł, stawianych w „Muzeach cudowności“ dla uciechy widzów... Krótko mówiąc, pewnego dnia, gdy August odwiedził narzeczoną w jej mieszkaniu, zastał ją i przyjaciela w nastroju uroczystym. Dziewczyna zbladła. Ale Louis miał rumieniec na twarzy. Nie były to rumieńce wstydu, lecz płomienie zapału, który bił z jego serdecznego przemówienia, rozpoczętego od słów:

— Dobrze, żeś przyszedł! Czekamy na ciebie. Na szczęście — ponieważ ślub wasz wyznaczony został dopiero na przyszłą niedzielę — wszystko jeszcze da

się naprawić i zło, które mogłoby się stać, twoja mądra i szlachetna decyzja zdoła odwrócić.

August słuchał z początku, jak pomieszany. Przecierał oczy, jakby budził się ze snu. O co chodzi?— jakie zło?... Wczoraj dopiero pożyczył większą część swego kapitału przyjacielowi, aby ułatwić mu możność marzonego wyjazdu do Paryża, gdzie oczekiwała go karjera dyplomaty-literata, co najmniej Thiersa lub Gambetty. I Louis, ściskając mu ręce, zapewniał go, że „teraz wszystko jest już dobrze!“ Więc o jakie zło chodzić może teraz? Nie rozumiał długo, ale powoli poczynał rozumieć.

Oto August — zdaniem Louis — nie nadawał się zupełnie na męża dla takiej kobiety, jak miss Emily Blackton. Jej potrzebny jest człowiek genjalny, wytworny, obdarzony gustem estetycznym, czuły na muzykę nieprzeciętnie, bardziej, niż August, ponieważ ona sama jest genjalna, ma wielkie zadatki na pierwszorzędną wirtuozkę, którą naprzód uznać musi Europa, a potem będzie ją nosić na rękach tępa, docna zmaterjalizowana, słuchająca dyrektyw artystycznych ze starego świata, Ameryka! August jest zbyt uczciwy i zbyt szlachetny, aby takiej kobiecie, jak miss Emily — zwłaszcza narzeczonej swojej — mógł zawiązywać los, jedynie dlatego, że „w nieopatrznej chwili wzięła odeń pierścionek, który tak łatwo jest zwrócić“. Nie zechce niszczyć przez zamknięcie w ciasnem gniazdku małżeńskiem skarbów jej talentu — i to gwoli czemu?... „gwoli podłemu męskiemu egoizmowi i nikczemnej chuci zmysłów,

którą bierze za miłość, pożądając ciała, a nie dostrzegając cudów duszy, które chciałby skazać na zagładę!"

Szyling słuchał — otwierał oczy tak, jakby chciał, aby mu wyskoczyły z orbit — był przerażony czarnością spraw, które zamierzał był uczynić. Łuna wstydu biła mu na twarz. Nigdy nie podejrzewał w takim stopniu swej niecności, przepaści, w którą chciał sam skoczyć i wciągnąć do niej inną, drogą mu istotę. Przepaść tę odsłoniło mu krasomówczo głębokie wpatrzenie się w przyszłość naprawdę w tej chwili „genjalnego" przyjaciela, poglądającego chciwie na smaczne usta i pulsujące żywo młode piersi miss Emily. Wszelako serce Augusta biło mocno — jakby darło się na strzępy — nie zdołał nic wymówić, jeno z ciężkim tchem wyrzucił:

— A Emily?... co Emily?...

Spryciarz Louis dał znak milczenia skrzypaczce. Mówił za nią:

— Miss Emily waha się jeszcze. Ona nie śmie zwrócić ci słowa bez twojego upoważnienia. Jakkolwiek sama już zrozumiała, że przy tobie nie zazna blasku sławy, t. j. *jej* szczęścia, że wasza cicha miłość jej nie wystarczy, że ostatecznie... jesteś za biedny, abyś mógł jej stworzyć dobrobyt i wyrwać ją z nędzy. Musiałem, jak chirurg, zadać jej leczniczą ranę i wytłumaczyć twój mizerny stan majątkowy. Będziecie klepali biedę razem — a to zabije ten piękny kwiat, jakim jest wasza miłość!... Ponieważ ona kocha ciebie i ty ją kochasz — Auguście, daj

pierwszy świadectwo miłości prawdziwej, którą jest poświęcenie...

Emily milczała... August miał wrażenie, że spuszczone jej oczy, chwilami podnosząc się, częściej zwracały się ku Louis, który od pierwszego dnia, znajomości magnetyzował ją urokiem swoich słów, niż na niego, Augusta, i jakby w lęku unikały spotkania się ze wzrokiem narzeczonego...

Skończyło się tak, jak skończyć się musiało w imię uczuć wyższych i sumienia, do którego apelował Louis: August zwrócił pierścionek miss Emily. Rozrzewniony Louis ucałował go bratnio, z zapewnieniem, że nigdy nie oczekiwał po nim innego kroku — ucałował także miss Emily, jako że przyjął rolę opiekuna nad jej talentem i jej przewodnika do Europy. Okazało się, że już miał w kieszeni dwa bilety okrętowe Kompanji Transatlantyckiej dla dwóch osób z prawem dojazdu koleją od Calais do Paryża. Miss Emily jeszcze rankiem nie miała odwagi tak odrazu ustąpić burzliwym namowom przyjaciela Augusta, występującego z propozycjami, których nie spodziewała się wcale. Wszelako perspektywy, malowane przez wymownego Louis olśniły ją— był o wiele wytworniejszy od Augusta i w swojej oryginalnej brzydocie naprawdę zajmujący, gdy tak genjalnie kreślił wizje przyszłości paryskiej — miała już dość nędzy i poniżeń. Spadł też ciężar z błąkającego się w niepewności jej serduszka, gdy August sam położył przed nią pierścionek i życzył jej szczęścia!...

Louis zawsze szczery, odkrył przed Augustem, że od pierwszej chwili pokochał wyższem uczuciem miss Emilly, że ona też niewątpliwie go kocha, gdyż są „kongenjalni", ale nie śmiała się do tego przyznać przed zwrotem słowa Augustowi — (tu niewinne kiwnięcie głową ze strony Emily) — że jutro o świcie jadą razem...

— Jakto, nie pobierzecie się przedtem? — wybąkał August.

— Miss Emily nie będzie żądała tego ode mnie — rzucił uroczyście Louis. Po pierwsze już na to nie mamy czasu, a powtóre byłby to ze strony miss Emily zbyt burżuazyjny dowód braku zaufania do mojej miłości, którego duma moja nie zniosłaby nigdy. Sakrament jest zabezpieczeniem przed niewiernością ludzi marnych i przeciętnych. Dusze genjalne zaślubiają się same na wieki!

Noc przed wyjazdem spędzono na rozmowie podniosłej, na pakowaniu miss Emily, na snuciu marzeń o wielkiej przyszłości Louis w Paryżu i powrocie znakomitej skrzypaczki w triumfie do Ameryki, na pokrzepianiu się winem i zakąskami, po które zbiegł August do restauracji na dole — przy uczcie ciekły mu łzy ze szczęścia, którego twórcą „dla trojga" był on jeden, według skromnych zapewnień Louis. Wreszcie do samego rana — aż do momentu wyjazdu miss Emily grała, topiąc nieraz słodkie i smętne oczy w Auguście, którego lubiła tak bardzo.

August odprowadził młodą parę na przystań. Emily bardzo płakała, rozstając się z nim. August

miał oczy rozpalone, suche, błędne. Louis mocno uścisnął mu na pożegnanie rękę i rzekł: „Jestem dumny z ciebie... Nie zmień się nigdy, drogi chłopcze!“

Ostatnią pieśnią, którą Emily zagrała przed wyjazdem Augustowi, była „Kołysanka“.

Potem już nigdy nie słyszał o nich. Nie pisali oboje. Później przez pisma przebiegła wieść głucha — o samobójstwie Emily Blackton w Nicei i jakimś incydencie przy stole gry, który spowodował areszt jej „kuzyna“, niejakiego L. W. — potem już nic...

Z czasem August przebolał ten srogi zawód. Bodaj nigdy nie uświadomił sobie w pełni stopnia niecności „przyjacielskiej“, której padł ofiarą. Ale dodajmy, może sam sprawca krzywdy nigdy nie ocenił należycie, jak nikczemną rolę odegrał w tej sprawie. Albowiem Louis należał do oryginalnego typu szubrawców, takich, którzy oszukując świat, oszukują i samych siebie. On wierzył własnym słowom, był komedjantem, który przejmuje się swoją uczciwą rolą, wierzy kłamstwom, które sam dziś tworzy na poczekaniu, i zapomina o nich nazajutrz, gdy innych zawiódł. Przekonany o swojej wyższości nad pospolitą rzeszą ludzką, udzielał sobie przywileju korzystania z cudzych dóbr i praw, a za niepowodzenia własne zawsze czynił odpowiedzialnymi wszystkich prócz siebie. Nigdy nie mógł mieć niesłuszności; owszem „krzywdzili go ludzie mali, okoliczności, świat cały“. W gruncie rzeczy nie zaznał też nigdy triumfów pełnych, — ledwo utrzymywał się

z trudem małą blagą na powierzchni. Albowiem leniwy i bezwolny mógł zrobić w jednym miesiącu sto lekkomyślnych podłostek; nigdy nie potrafił „dźwignąć się“ do podłości w większym stylu, która albo schwytanego na gorącym uczynku lamie odrazu wyrzuceniem za nawias społeczeństwa, albo zamaskowanemu chytrze daje soczyste owoce, ślepiąc oczy sprawiedliwości...

Szyling nie rozgryzł nigdy psychologji przyjaciela. Myślał o nim, jako o człowieku, który miał dobrą wolę i zawiódł go wbrew własnym lepszym zamiarom, czyli w ocenie zbliżał się do narzuconej mu o sobie samym opinji przyjaciela. Wprawdzie chwilami budziła się w nim gorycz; lecz silił się kryć przed sobą swój sąd surowy, gdyż sam najbardziej cierpiał nad rozczarowaniem, odkrywającem mu zło w ludziach, których raz pokochał. Chciał się łudzić, bo to było ładne...

Zresztą w danym wypadku szybszemu wyleczeniu rany sercowej pomogła szczęśliwa okoliczność.

Przybyła do Nowego Orleanu w interesie ojca, dzierżawcy młyna gdzieś w Nowym Meksyku, Lotta Becker — daleka jego kuzynka ze strony matki. Poznała Augusta, oceniła jego poczciwą duszę, upodobała sobie jego miłą twarz i, niewiele myśląc, oświadczyła mu się sama, gdy prosił, aby pozostała jeszcze parę dni w gościnie dla jego przyjemności: „Pozostałabym, gdybym wiedziała, że się ze mną ożenisz... Bo inaczej moglibyśmy zakochać się w sobie... i potem cierpieć w rozłące“.

I August ożenił się z kuzynką. Miał wówczas lat 30; ona — 19. Już w początkach małżeństwa oczarowała go swojemi zaletami, zarówno, jak wadami, jeżeli wadą można nazwać jej wybuchowość, prędkość,zmienność humorów, słowem kapryśność, która stanowiła raczej zajmujący czar jej osoby i zdwajała wartość pogody po burzy. W gruncie rzeczy jej nerwowość i burzliwość, jako też dziwna szybkość oświadczyn, były objawem potrzeby macierzyństwa — właśnie jej, a nie temperamentu szczerze zmysłowego. O ile zdawała się gorącą na pierwszych etapach pożycia małżeńskiego i porwała Augusta Szylinga nieznanym mu urokiem kobiecości, o tyle po wydaniu szóstki dzieci, ostygła i bodaj usuwała się od pieszczot mężowskich, jakby stawiając kres — „dosyć" swojem nasyceniem i obawą nowych porodów. Nie idzie za tem, aby przestała być zazdrosną o męża. Augusta uważała za swoją własność bezwzględną, podobnie jak dzieci, — za swoje najstarsze dziecko. Wychowała go swoim umiarem na dobrego ojca; uspokoiła, jako małżonka, wyrażając swą niechęć dla tego, co było „wybrykiem" tam, gdzie już sześć gardziołek krzyczało: „jeść".

Demon zmysłów, dręczących tak często wiek młody płci męskiej, nigdy nie obudził się w Auguście Szylingu na dobre. W małżeństwie był na uwięzi zasad, przeciw którym nie śmiał się buntować. Może ten demon drzemał zatajony, oczekując stosownej godziny...

Doznał był krzywdy okrutnej, gdy jeszcze nie wy-

dobył się z obsłonek młodzieńczego idealizmu — kiedy to Louis zabrał Augustowi z przed nosa przedmiot jego pierwszej miłości. Przeżywał krzywdę w małżeństwie, rozdrażniony tamą, stawianą przez kobietę, której wystarczało macierzyństwo, co prawda, przy pilnem stróżowaniu nad obowiązkową wiernością męża, gwoli zasadzie moralnej i czułym obawom, iż przywiązanie odleci wraz z zachwianiem się wiary małżeńskiej. Równocześnie sam uspokoił się, ochłódłszy wobec chłodu zmysłów i nierad pieszczotom, które wypadłoby wypraszać i otrzymywać wyraźnie bez podziału. Ale może demon czaił się gdzieś w głębi duszy pana Augusta, tam, skąd chwilami tryskały łzy tęsknoty przy zasłuchaniu się w kołysankę, gdzie tkwiła odrobina goryczy z powodu jednostajności małżeńskiego, rodzinnego i zawodowego szczęścia — ten demon czekał chwili wyrwania się na wolność dla pomsty za swoją krzywdę...

. . . . . .

W tem usposobieniu wyjeżdżał pan August, obarczony ważną misją — do Chicago.

Na wyjezdnem żona pogroziła mu zlekka palcem:

— Stary! a nie zapatrz się na jakąś dziewczynę w Chicago... Tam są podobno ładne kobietki.

— Lotuś! co ci też po głowie chodzi?... W Chicago nie obejrzę się za żadną suknią. Z kolei na giełdę — z giełdy na kolej!

Podniósł dwa palce, jakby do przysięgi.

— Ale — dodał śmiejąc się — mogłabyś już raz przestać nazywać mnie starym. Lat 40 to jest dopie-

ro początek młodości. I gdybyś była wolna, ożeniłbym się z tobą po raz wtóry.

Śmiała się również...

August obszedł wszystkie trzy łóżka dziecinne — ledwo musnął ustami włosy każdego z sześciorga dzieci, aby i pocałować każde na pożegnanie i żadnego nie obudzić...

Poczem małżonkowie uściskali się w progu...

I pan August ruszył w świat...

Było to dziwne uczucie.

Od dnia małżeństwa nie rozstał się nigdy z żoną dłużej niż na pół dnia...

Było mu markotno w drodze do kolei...

Ale gdy rozsiadł się w wagonie i uczuł powiew świeżego powietrza, wpadający przez okno biegnącego z szaloną szybkością ekspresu, doznał uczucia jakiejś dziwnej ulgi...

Był wolny!...

Nie potrzebował tej wolności do niczego, nie zamierzał jej nadużyć. Ale wystarczało mu, że jechał sam — oddany sobie samemu — bez poczucia bliskości żadnych więzów — ot! jest sobie wolny...

Była to miła pauza w wyczuciu tysiąca codziennych zależności... Jest się mężem, ojcem, urzędnikiem — trzy szczęścia na wczoraj i na jutro... W podróży jest się tylko panem samego siebie! — czwarty rodzaj szczęścia — doskonały na czas krótki i na przestrzeni od Nowego Orleanu do Chicago. Śród obcych jest się rozkosznie samotnym!... Najlepiej z nikim nie zagadać... Tak czuł...

CZĘŚĆ II

POKUSA I UPADEK.

ROZDZIAŁ VIII

Błogosławiona Rachaba.

Wylew Missisippi pomiędzy miastami Belmont i Columbus szerokiem rozpostarciem wód na zachodnie pola zepsuł w pewnem miejscu tor kolejowy, co zniewoliło podróżnych w połowie drogi między Nowym Orleanem i Chicago przesiąść się do podstawionego za przerwą komunikacyjną pociągu.

Szyling z ręcznym kuferkiem przedarł się przez tłum pasażerów na torze do prawie przepełnionego wagonu i zajął miejsce na krótszej ławce poprzecznej naprzeciw innego próżnego miejsca, składając na niem w pośpiechu swój kapelusz. Poczem rozwinął nabytą na jednej ze stacyj płachtę gazeciarską i pogrążył się w czytaniu. Artykuł wstępny zajął go mocno: mówił o zestarzeniu się „babci Europy",

o konieczności wzięcia jej w kuratelę przez „wnuki Stany Zjednoczone", o olbrzymio rosnącym wywozie z Ameryki i napływie do niej zapasów złota ze Starego Świata. Autor przewidywał wybuch wielkiej wojny śród zgniłych państw europejskich i obliczał zgóry, ile Ameryka na interwencji zarobić może..

Wszystko to było tak interesujące, że August zaledwie zwrócił uwagę na to, iż dama, która w chwili gdy wchodził, dopalała papierosa w przedsionku wagonu — niespostrzeżona przez niego — obecnie zlekka kołyszącym się krokiem powróciła na swoje miejsce. Zresztą raczej odczuł, niż dojrzał, że jakiś kształt ludzki zatrzymał się pomiędzy ławkami i czeka. Zrozumiał, usunął swój kapelusz z przeciwległego cudzego miejsca, mruknął nawet zdawkowo grzeczne: „przepraszam" i rozparłszy się, a nogę założywszy na nogę, przykrył się znowu swoją płachtą gazeciarską.

Dama była, w całem znaczeniu tego słowa, szykowna. Może tylko zbyt jaskrawie szykowna, jak osoby, chcące kolorami i niezwykłym krojem szat rzucać się w oczy. Miała zresztą prawo narzucać się uwadze, gdyż była przedziwnie piękna. Pod artystycznie wygiętym łukiem kapelusika à la „Diable m'emporte" odznaczało się białą smugą inteligentne czoło śród złotawego połysku pukli nieco rozwichrzonych włosów, a nadewszystko uderzały widza ogromne rzęsy powiek, opadających jakoby zmysłowem znużeniem odaliski: — niesamowity blask strzelał przez szpary tych oczu i jakby ostrzegał, że gdy

się rozewrą, sparzą zielonym ogniem pokusy tego, kogo sobie upatrzą za ofiarę! Dalej nos drobny, trochę impertynencko zadarty, o zlekka poruszających się nozdrzach, jakby zapowiedzią szału i groźbą wybuchu — usta skrojone w serduszko, drobne, ironiczne, subtelne, jakby powstały na wyżynach arystokracji, łyskały w śmiechu dwurzędną bielą zębów, jak usta niefrasobliwej dziewczyny z ludu, albo bachantki.

Cała gama zmiennych wyrazów tej twarzy — śniadej, jak twarz kreolki, którą zdawała się być, gdyby zagadka mieszanych jej rysów pozwoliła się łatwo odcyfrować — cała ta czarująca wrażliwego widza gama oczywiście nie dawała się ogarnąć odrazu, rozwijała się przecie przy sposobności w mgnieniu oka.

Jeszcze stojąc przy oknie, melancholijnie patrzyła na dobywające się w blaskach ranka z oparów nocy rozległe łąki i białe fermy na horyzoncie — jeszcze z wyrazem znużenia i nudy wciągała dym z długiego papierosa i niedbale rzuciła niedopaliwszy do końca—jeszcze niecierpliwa i zła, bez słowa, oczekiwała, aby jakiś tam ciężki pasażer, wyglądający na jakiegoś żubra, zabrał swój kapelusz z jej miejsca; a oto ledwo usiadła, usta jej ściągnęły się uśmiechem drwiny—wesołym śmiechem do samej siebie, niepodzielanym z nikim. Ogromnie zabawił ją but sąsiada *vis-à-vis,* a raczej sterczące niedyskretnie nad wełnianą pończochą wysokie ucho tego buta, kołyszące się miarowo wraz z ruchem wagonu. Śmiała się

z dowcipu, który rodził się w jej główce na widok tego „ucha":

— Ten stary osioł nie wie, że jego but podsłuchuje!

Ze starym, brodatym osłem, rozczytanym w jakiejś z pewnością głupiej gazecie — jak osądziła jednym rzutem oka — nie warto było wszczynać rozmowy, do której zresztą sąsiad z przeciwka nie kwapił się wcale. Przyłożyła głowę do ściany wagonu i usiłowała się zdrzemnąć.

Naraz zjawił się konduktor. Zwrócił się do niekontrolowanego jeszcze pasażera: „Bilet!"... Szyling znalazł się w kłopocie. Przeszukał kieszenie tużurka, kamizelki, potem kieszenie powieszonego na haczyku przy oknie palta. Gdzież, u licha, podział się ten bilet!... Nagle przypomniał. W roztrzepaniu i pośpiechu włożył go przy kasie do portfelu. Wyciągnął tedy wpół złożony, — ku ostrożności umieszczony w kieszeni szczelnie zapiętego tużurka na piersi — portfel... Otworzył go — wysunął plikę papierów procentowych, które przy silniejszym rzucie wagonu rozsypały się na jego kolanach; odnalazł sążnisty bilet, wydawany za umową z koleją komisantom banku na prawo przejazdu tam i zpowrotem; podał do przecięcia konduktorowi — poczem bilet schował właściwiej, do kieszeni, uporządkował papiery i umieścił je w portfelu. Portfel zniknął znów za klapą szczelnie zapiętego tużurka... Konduktor odszedł...

Ale ów nikły moment poszukiwania wystarczył

wprawnym oczom interesującej kobietki do oceny, iż jej sąsiad nie jest byle kim. Na widok stosu papierów procentowych oczy jej błysnęły pożądliwie. Przeobraziła się w jednej chwili. Już odechciało się jej spać. Rozsunęła końce puszystego boa — ukazała w ponętnym wykroju sukni na białej szyjce medaljonik złoty w kształcie serduszka — i ona także nie jest byle czem! Wyjęła z podróżnej torebki lusterko i ołówek, służący toalecie damskiej jeszcze w czasach żywej Pompei, podkreśliła karminem swoje usteczka — była zadowolona z oględzin swej twarzy w zwierciadełku. Wreszcie podciągnęła zgrabnie i tak nie za długą jedwabną spódniczkę, założyła nogę na nogę tak wysoko, aby uwydatniły się obciągnięte cielistemi pończoszkami misterne łydki a nawet kolanka — i czekała...

Postukiwała zlekka nóżką. Kiedyż ten zaczytany błazen zwróci uwagę na niedalekie skarby?...

Zauważył!...

Bilanse wywozu pszenicy, węgla i żelaza ze Stanów Zjednoczonych do krajów Europy odrazu przestały być interesującemi. Do licha! jakie ładne nóżki bywają na świecie... W gruncie rzeczy nie należałoby czegoś podobnego pokazywać... Alkohol i wystawa łydek, to powinno być wzbronione przez każdy rozsądny rząd. Bo np. Lotta jest ładna, bardzo ładna — ale takiej pary łydek nigdy nie miała. Wobec ich ponęty porządny obywatel Nowego Orleanu nie jest w stanie skupić się przy czytaniu aktywnego bilansu Zjednoczonych Stanów...

Oczy Szylinga już nie widziały wierszy druku... litery zlewały się w czerń bezsensowną... Gazeta mimowoli posuwała się brzegiem wgórę. Jeszcze niewidziany pod przykryciem i niewidzący twarzy sąsiadki zprzeciwka Szyling z musu podziwiał z pod gazety imponujące łydki i powabne kolanka...

Dama naprzeciwko uśmiechała się. Jeden rzut oczu z ponad gazety wystarczył do skonstatowania, że właścicielka tych nóżek posiadała twarz śliczną — była w całości apetyczną. Czego u licha, ona się śmieje? To jest nieprzyzwoita zaczepka ze strony kobiet, które nie liczą się z obyczajnością, z któremi się nie rozmawia, gdy się jest ojcem rodziny, szczęśliwym mężem i ma się na głowie poważną misję finansową. Do djabła!... ta impertynencka osóbka wyraźnie śmieje się... Z niego?... człowieka niezmąconej powagi!... Te „osóbki dwuznaczne" nie mają w sobie za grosz wstydu... Dokoła są ludzie — wprawdzie obcy — nie znający Szylinga, ale co sobie ktoś pomyśli, gdyby się odśmiechnął? Samo przypuszczenie któregoś z towarzyszy podróży, że on, poważny obywatel, oczkuje z jakąś istotą, wyraźnie poszukującą przygód — już kompromitowało Szylinga we własnej opinji albowiem samo przypuszczenie takie oznaczałoby możliwość czegoś podobnego, a możliwość jest stanem przed realizacją... Jakież bajeczne nóżki!... I jaki szatańsko-słodki uśmieszek!...

Gorący dreszcz przejął Szylinga. Stanowczo artykuł o perspektywach wojny z Europą jest głupi...

Ci dziennikarze tylko dla zarobku od wiersza zawracają głowy głupim ludziom perspektywami wojen, lub sami wywołują swą pisaniną widma, które wcielają się potem, popychane ich złośliwą ręką ku krwawej rzeczywistości!...

Ze wstrętem odłożył gazetę. Pani Lotta włożyła mu do kuferka na drogę stary numer miesięcznika p. t. „Wiem wszystko", który obiecywał sobie zawsze przeczytać. Odnalazł broszurę w kuferku; wzgardliwem spojrzeniem przesunąwszy po bezwstydnicy z przeciwka — starał się czytać.

Doprawdy, istnieją ciekawe okazy ryb w naturze! Np. te śledzie, które udają się z otwartego morza na piaski nadbrzeżne dla wspólnych orgij miłosnych. Po co?!... — skoro węgorze dla tarła udają się akurat naodwrót z rzek w morze... Czemu pisze się o tych awanturach? Komu to potrzebne?... Ach! te kolanka... Lepiej widzi się je z pod małej broszurki, niż z pod wielkiej płachty dziennika... „*Zanclus cornutus*" — „*Platac Ehrenbergii*", „*Aulostoma chinensis*"—jakie dziwne kształty i barwy mają te ryby, pochowane w ciemnicy morskiej... Tylko te nazwy łacińskie są takie nudne!... Ona ciągle się śmieje!... Niepodobna czytać!... Przetrzyjmy okulary... Trzeba zrobić minę wzgardy. Niech ta głupia kobieta nie sądzi, że się ją widzi!... Czytajmy!...

Co ta natura wymyśliła!... Samiec-ryba udaje się ze swojej kryjówki na dnie morza po samicę, pływającą na wierzchu wód — wprowadza ją do swego kawalerskiego mieszkanka — a potem sam opiekuje

się małemi, żeby ich matka nie pożarła... Nadzwyczajny gatunek! — jedyny! — ojciec, spełniający funkcje matki... To śmieszne!...

Mimowoli roześmiał się...

Sąsiadka wybuchnęła śmiechem...

Mój Boże!... jakie ona ma oczy.

Przecież to takie same zielone oczy, jakie miała biedna Emily, która tak pięknie grała Kołysankę Szuberta. Że też tego nie spostrzegł odrazu!...

— Czy wolno wiedzieć, czemu szanowna pani się śmieje?

— Śmieję się, ponieważ pan się śmieje.

— Ja się śmieję, bo pani się śmiała.

— W takim razie pytanie, kto pierwszy się śmiał? Napewno pan!

— Niewątpliwie pani... Pani uśmiecha się już od kwadransa.

— Oho! to pan mnie obserwuje?... A zdawało mi się, że pan czyta z takiem zajęciem. To musi być coś interesującego — to, co pan czyta.

— Bardzo!... o rybach.

— Fe!... ryby są zimne... zapewne tak, jak pan!

— Oho! dlaczego pani tak przypuszcza? — niemal się uraził. I pogląd pani na ryby jest całkiem niesprawiedliwy. Są gatunki ryb, które z głębi morza udają się w podróż na powierzchnię by poszukiwać przygód miłosnych.

— Czyżby?!... To bardzo mądre ryby... Ale pan taką rybą nie jest — odparła figlarnie.

— Hi! hi!... Kto wie? — roześmiał się wesoło.

Książka została już odłożona na siedzenie. Obcy ludzie dokoła gruntownie zapomniani.

— Wiem!... Pan wygląda na żonkosia.

— Co to znaczy?

— To jest taki, którego żona zawija w flanelowe koszulki...

— Nigdy ich nie noszę! — zoprotestował...

— To w szlafrok... haftuje mu szlafmycę i pantofle... i trzyma pod kuratelą... A on nie ośmiela się widzieć świata poza swoją połowicą.

— O! proszę... Raczy pani nie wspominać o mojej żonie! — nachmurzył się.

— Przepraszam! — ulękła się nieco, lecz nie tracąc kontenansu, szybko przeskoczyła... „Chciałam tylko powiedzieć, że pan jest wzorowym mężem i wzorowym tatusiem..."

To mu pochlebiło.

— Może... Nie jest to zasługa — to instykt, który daje szczęście...

— Ma pan kupę dzieci... prawda?... Ile?!...

— Niech pani zgadnie!...

— Dwanaście!

— O! o! o!...

— Za mało powiedziałam?...

— Za mało!

Oboje pokładali się ze śmiechu.

— Więc dwa tuziny ?

— Trochę przecenia mnie pani...

— Naprawdę, ile pan ma dzieci?

— Sześcioro!...

— Winszuję!... Dla takiej szóstki trzeba dobrze się napracować. Wyobrażam sobie... musi pan robić dobre interesy...

— Niezłe!

— Jedzie pan do Chicago?... Tak?

— Zgadła pani!... A pani?

— Jadę też do Chicago...

— W dobrym interesie? — mruknął.

— W niezłym! — odparła z lekką drwiną w głosie... Czem pan się zajmuje?

— O! tak obcesowo?... Wszystko mam opowiedzieć osobie nieznajomej?...

— Cóż łatwiejszego, jak zaznajomić się?... Jak pan mi powie, kim pan jest — to będziemy znajomi.

— Tak, galopem?!... Proszę zgadnąć...

— A więc... więc... — namyślała się — jest pan... dyrektorem banku.

To mu jeszcze mocniej pochlebiło, niż uprzednia pochwała: „wzorowy ojciec“ i „mąż”. To znaczyło, że wygląda na dyrektora banku. Nie chciał jej wyprowadzać z błędu.

— Zgadła pani!

Z jej oczu posypały się skry.

— Człowiek, który ma własny bank, a nie potrafi używać, jest głupcem... Nie zasługuje na majątek!

— To ostro!...

— To sprawiedliwie!

— Pani sądzi, że jestem... głupcem?...

— Nie! — pochyliła się ku niemu, szczerząc ząbki.

— Myślę, że nie! — pochylił się również ku niej.

I oboje śmieli się do siebie, jak para dobrych znajomych.

— Pan lubi dobre wina?

— Przepadam za niemi!

— Zna się pan na dobrej kuchni?

— Jestem ogromnie wybredny!...

— No, to zafunduje mi pan śniadanie. W wagonie restauracyjnym jest wyborna kuchnia. Idziemy!

Powstała...

Szyling też powstał, szedł za nią automatycznie... Wszelako na jednej z platform w harmonijce zawahał się nieco. Z kim idzie?!... Odgadła rodzący się w nim sprzeciw wewnętrzny. Zła zmarszczka zarysowała się na jej czole. Tupnęła nóżką:

— Pan jest świętoszkiem!... Wstydzi się pan iść ze mną!...

Uląkł się tego gniewnego błysku w jej oczach...

— Nie... nie!... pani ma oczy pewnej mojej znajomej... dawnej znajomej... Chętnie z panią idę...

Chłodny pot zrosił mu czoło...

— Przytem... ja... ja... nikim nie pogardzam... Rachaba biblijna wpuściła lud wybrany do miasta nieprzyjaciół... i nawet święty apostoł Jakób nazywa ją „błogosławioną"... A przecież była... nierządnicą i zdrajczynią — bełkotał, ostatnie słowa kończąc niewyraźnym szeptem, jakby tylko dla siebie, jakby usprawiedliwiając się przed czyimś niewidzialnym trybunałem ze swego złego towarzystwa.

— Kto taki?!

— Błogosławiona Rachaba!

— To ja nią jestem?

— Pani!

Pociągnęła go, śmiejąc się, za rękę... Szedł za nią już wesoły. Weszli do restauracyjnego wagonu.

ROZDZIAŁ IX

Przy śniadaniu.

Siedzieli przy wspólnym stoliku. Służbista-kelner, murzyn, czarny, jak smoła, rozdymał chrapy, i skwapliwie notował zamówienia wytwornej klientki, niezwykły posiadającej apetyt, w przeczuciu, iż otrzyma sute napiwne. Szyling był jednocześnie zachwycony i zakłopotany sposobem zamawiania potraw przez jego ekscentryczną towarzyszkę.

Zachwycony, ponieważ jej żywość nie miała nic równego sobie — tak żywą była tylko Emily. Jak mógł nie zauważyć wprzód, że prócz oczu nieznajoma miała usteczka zupełnie do tamtej podobne? I nawet gest... Tak jest! tamta tak samo podnosiła dwa palce do góry, trzaskała niemi, mówiąc: „proszę podać!"... i mlaskała językiem, lub ściągała buziak w przewidywaniu smaku zamówionych potraw. Tylko ta znała się znacznie lepiej na jadle i poprostu imponowała swemu amfitrjonowi wybrednym smakiem i znajomością nazw francuskich z karty restauracyjnej. To było poprostu cudowne, jak szyb-

ko porozumiewali się brzmiącemi dlań obco terminami francuskiemi: ona i murzyn. August miał wrażenie, że asystuje znowu, jak zamłodu, przy konwersacji francuskiej drogiego Louis z kelnerem! Ale zarazem był Szyling nieco zakłopotany. Nie uchodziło damie stawiać kresu w zamówieniach; wszelako jej apetyt, lub tylko kaprys, żądający wszystkiego celem poskubania i posmakowania, zdawał się tak bezgraniczny, że biedak uczuwał zimny dreszcz, przewidując olbrzymi rachunek, który wypadnie zapłacić za jedno „skromne śniadanko" — jak wyraziła się dama na wstępie zamówień: „Prosimy o skromne śniadanko *à la carte*". Liczył w myśli, ile to może kosztować ogółem, ale mimo zdolności wyjątkowej do rachowania rychło zaprzestał liczyć, gdyż nie mógł podołać zadaniu sumowania wydłużającej się błyskawicznie kolumny z cen, których zresztą nie nadążył odnaleźć w drugim egzemplarzu „*menu*", żałośnie obracanym w ręku. Wprawdzie pocieszał się tem, że dyrektor, przewidując, iż pomyślne wykonanie jego misji giełdowej może zniewolić komisanta do zatrzymania się w ciągu tygodnia, lub dwu w Chicago — wyłożył wyjątkowo obficie na koszta pobytu, awansując także pewien procent na rzecz należności mr. Augusta za wykonanie rentownego przedsięwzięcia. Ale jeżeli „błogosławiona Rachaba" zamówi całą kuchnię i winiarnię restauracyjnego wagonu, to o dłuższym pobycie w Chicago niepodobna będzie pomyśleć. Pocieszał się, że ma zapewnioną podróż powrotną.

Nieznajoma rozkazywała:

— *Omelette aux asperges*... dwie porcje!...

— Co to jest? — pytał Szyling.

— Szparagi!... szparagi!... idealne!

— Nie lubię szparagów...

— Doskonale!... Zatem dla pana *„oeufs en jambon"*.

— Co to?

— Jajka na szynce!... To żre każdy mężczyzna... Wiem o tem.

— A dla odmiany — zwracała się do murzyna — dwie porcje *oeufs molles* z sosem pomidorowym... Mają tu świetny! — mlaskała językiem...

Rzut oka na kartę — i dalszy nakaz:

„...Sandre à la Parisienne"... Sandacz po parysku. Rozpływa się w ustach... Tylko błazny na tem się nie znają... Więc i dla pana — tak?

— Naturalnie, jeżeli błazny...

— Zgoda!... dwie porcje... To na zakąskę... Trzeba coś pożywnego także... *Pâtée de volailles*... Zresztą pasztet to też zakąska... A więc... *foie Nelson*... wątróbka Nelsona. Był taki znakomity kucharz w Anglji... Nelson!...

— Nie słyszałem...

— Nie chce pan?... Dobrze!... Dla mnie Nelson... a dla *tego* — pokazała go palcem wzgardliwie — *beefsteck à la Tartare* — befsztyk tatarski... Słyszałam, że Tatarzy przygotowują go, wysiadując mięso na siodle... Ciężkie! — to dla pana...

— Na siodle... wolałbym nie jeść...

— Zje pan!... Zapewniam!... W każdym razie dla odmiany *Chachlick de filet* — to musiał pan jeść!

— Nie pamiętam.

— Ach!... to koniecznie podać... Szaszłyk — też potrawa tatarska!... Zresztą to na żołądek męski... Dla mnie *Tranches à l'Hongrois* — zrazy węgierskie... Smakołyk pierwszorzędny!... Dla pana dużo pieprzu!.. Prawda?

Kiwał głową, choć już czuł gorycz w ustach..

Murzyn zabierał się do odejścia.

— Nie!... odrazu zamówimy inne dania... żeby było prędzej. Ale co?... *O, pieds à la Viennois*... nóżki po wiedeńsku... Pan lubi nóżki?...

— Hm... jak jakie!

— Zatem dwie porcje!... I jeszcze *vermicelle au gratin*... Delicje!... Dwie porcje... Naturalnie?

Oczy Szylinga biegały napoły niespokojne, napoły roześmiane z powodu własnej bezradności — oczarowane i przerażone wizją tylu półmisków, jakiej oczekiwał na stole — kiwał głową na niezrozumiałe nazwy...

Wreszcie zdecydował się na nieśmiałą uwagę, która ukośnie kładła kres mnożeniu dań środkowych.

— A możeby coś na wety?...

— Wety! wety!... bezwątpienia. Pan lubi także wety?... O, smakosz!... Panie negr... *Crepes aux fruits, salade d'oranges, coupe aux cerises* — puhar z wiśniami! jak ja to lubię, o! o!... — *crème à la vanille*...

— I *glaces à la crème* — podyktował murzyn, już zapisując.

— Naturalnie!... lody... dwie porcje...

— Radziłbym jeszcze *poulet à la Polonaise*... — rzekł kelner.

— Polonaise?... to taniec taki?

— Nie, to kura po polsku... Nowy specyfik, wprowadzony przez naszego kucharza.

— To przecie nie wety! — zlekka zaprotestował Szyling.

— Nie! nic nie szkodzi!... Nowe trzeba poznać.. daj pan to także...

— A jaki ser?

— Wszystkie... wszystkie!... Wypróbujemy... I wina, wina... francuskie, węgierskie... jakiekolwiek — trzepała. Potem wybierzemy... A teraz byle co do przepłukania gardła... I prędzej zakąski... Bo umieram z głodu!

. . . . . .

Siedzieli i jedli. Właściwie dwóch pomocników wraz ze starszym kelnerem znosiło nieustannie półmiski, które po napoczęciu natychmiast wędrowały zpowrotem do kuchni. Oryginalna para tak absorbowała cały personel służbowy, że inni goście poczynali już głośno sarkać na zaniedbanie ich potrzeb. Obruszali się też na to, że tych dwoje napełniało głośnym śmiechem i gwarem salon restauracyjny. Ale para rozgorączkowana winem, rozweselona rozmową, rozkoszując się trafnym wyborem dań — nie zauważała niezadowolenia obecnych. Pan August lubił zjeść

dobrze — pozwalał sobie jednak na to rzadko — teraz podżegany do wykwintnej uczty przez uroczą towarzyszkę, której nosek stawał się przez pryzmat wina coraz bardziej podobnym do noska przepadłej dlań nazawsze miss Emily — popadł w doskonały humor.

— Czuję się przy pani człowiekiem! — mówił do niej.

— Myślę!... Przy mnie wszyscy ludzie czują się ludźmi! Ja już jestem taka...

— Jaki kraj wydał tak czarującą istotę?

— Którą?

— Tę... słodką siąsiadeczkę z przeciwka...

— A!... mnie?... Proszę zgadnąć...

— Niebo!

— Nie... trochę niżej... Brazylja!

— Urodzona na dworze królewskim?

— Ej, gdzie tam?... Pod płotem!... — śmiała się, wychylając kielich szampana, wybranego przez dzierżawcę salonu restauracyjnego według wskazówki murzyna: „kazała dać najdroższą markę... nic więcej!"

— Pani żartuje!... Pod płotem nikt nie uczy się tak *perfect* po francusku.

— Ja znam tylko nazwy potraw!... To przez dobre towarzystwo!... Miałam takiego fryca — francuskiego dyrektora kopalni.

— Fryc — to przecie Niemiec...?

— Ten był francuz!... Znałam fryców — niemców. anglików, hiszpanów, holendrów... Ty jesteś też fryc!

Już była z nim na „ty". Śmiał się...

— Wykształcona jesteś, maleńka...

— Naturalnie!... Wyrzucono mnie przecie z trzeciej klasy...

— Oj-ej! rodzice musieli się dopiero zmartwić.

— Jacy rodzice?

— No, każdy miał rodziców! — wybałuszył zdziwione oczy.

— Przesąd!... Nie każdy!... Są takie, które rodzone są przez ciotki.

— No, jednak... miałaś matkę.

— A nie łaska — macochę?... Macocha zbiła mnie na kwaśne jabłko... Uciekłam z domu, mając trzynaście lat... He!... he! he!

— Biedna!... jak gorzko się śmiejesz!...

— Gorzko?... tak, gorzko!... Zostać na bruku — to nie jest satysfakcja...

— Ale ojciec... nie osłonił cię przed macochą?

— Ojciec?!... Pił — miał zatargi z policją — i bał się mojej macochy, jak ognia!

Tym razem w istocie roześmiała się gorzko. Nawet posmutniała na chwilę. A raczej oczy jej pokryły się chmurą, z pod której strzelił groźny płomień — niby nienawiść do całego świata.

Poczciwe serce pana Augusta ścisnął jakiś żal wielki. To biedne stworzenie, rzucone na bruk, nie znające pieszczoty rodzicielskiej, tak szczerze spowiadające mu się ze swojej doli!... To nic, że spowiedź tę wyrywał jej wpływ alkoholu. Dla niego

była nieszczęśliwą istotą, nieodpowiedzialną w obliczu świata za swoje błędy...

Ujrzała łzy w jego oczach.

— Co to?!... Pan płacze?!...

— Żal mi ciebie!...

Nieomal rozwaliła się w krześle, zachłystując się śmiechem:

— Pan mnie żałuje?... Po co?!

I błysk wdzięczności w oczach...

Potem moment powagi:

— Z pana jest bardzo dobry człowiek!

Uścisnęła mu przez stół obie ręce.

I zaraz potem krzykliwie, wesoło:

— Ej, furda!... Pijmy!... Zaprowadzę pana na zabawę w Chicago... dobrze?

— Dobrze!

Naraz spojrzenie na jego brodę.

— Nie! nie pójdę z panem...

— Dlaczego?!

— To obrzydliwe... taka broda!... Pan jest żubr!...

— Żubr?!...

— Tak!... z takimi się nie chodzi. Zaprowadzę pana na zabawę, jeżeli się pan ogoli...

— O-go-lić się? — schwycił się za brodę, jakby mu chciano wyrwać rzecz najdrogocenniejszą w świecie — kawał duszy. — To niemożliwe!

— Musi się pan ogolić!... Inaczej nie pójdę z panem nigdzie... I kwita z przyjaźni...

— Ależ...

— Pan jest dziad!...

— Jednak, duszyczko...

— Dziad!... dziad!... dziad!... Pan musi się ogolić!... Ja pana odmłodzę...

— Jednak — — ...

Bezradnie rozkładał ręce. Czego ta dziewczyna wymaga od niego?... A gniewa się zupełnie jak Emilja!...

Murzyn w bufecie salonu restauracyjnego komunikował dzierżawcy:

— Oho! ta dziewczyna wzięła go w kleszcze i już nie wypuści... Ha! ha! ha!

Obaj śmieli się w kuchence do rozpuku.

ROZDZIAŁ X

Samson i Dalila.

Przybyli do Chicago o późnej popołudniowej godzinie. Z dworca pojechali razem samochodem, wszelako do hotelu, którego nazwę napisał dla Szylinga na arkusiku instrukcyj dyrektor banku. Tu już pan August uparł się, jakkolwiek nieznajoma nadmieniła, że jest to hotel solidny, w którym nie będzie mogła z nim stanąć, gdyż panuje tam okrutna pruderja: wpuszcza się tylko ponurych samotników, albo pary małżeńskie, wylegitymowane papierami, „jakby one robiły coś innego, niż przygodne!“ wyraziła się złośliwie. Jednakże Szyling nie dał się przekonać; pod tym względem nie może ustąpić, bo „drugi dyrektor” doradził mu ten hotel i „nie może go obrazić lekceważeniem jego rekomendacji!”

W gruncie rzeczy chodziło o coś wcale innego. Pan August był podochocony nieco szampanem, ale bynajmniej nie pijany. Jeszcze godził się z tem, iż jeździł z osóbką, wcale wytwornie wyglądającą,

w samochodzie po ulicach nieznanego i nieznającego go miasta. Lecz w biały dzień zajeżdżać z obcą kobietą do hotelu?! — ta myśl mierziła go. Eskapady pewnego gatunku możliwe są w ostatecznym wypadku na godzinkę, pod rozgrzeszającym cieniem wieczora! Ale afiszować się z przygodną znajomą w hotelu, gdzie się zamieszkuje i wpisuje do księgi swoje uczciwe nazwisko, byłoby to uprzywilejować istotę niższą, niejako podnosić ją do rangi żony.

Dojrzawszy w pobliżu olbrzymi szyld z firmą wskazanego mu przez dyrekcję hotelu, zatrzymał samochód i wysiadł.

— Poczekasz na mnie. Zostawię kuferek i zaraz powrócę.

Patrzyła nań z pod oka niedowierzająco, gniewnie, nie bez zdziwienia. Co za dziwak! Czy nie zamierza jej uciec?

— Wykręcasz się!... Chcesz mi umknąć.

— Ależ nie!... Czekaj u podjazdu.

— Jest ich pięć. Nie mogę czekać na wszystkich frontach!... Dlaczego nie chcesz mnie wziąć z sobą?...

— Będziemy cały dzień razem...

— Chcę być z tobą w hotelu!

— Nie żądaj tego ode mnie, kochanie!... Przepraszam, jak ci na imię?...

Gryzła chusteczkę. Milczała.

— Zrozumiej... Ostatecznie człowiek w moim wieku... mieszka tylko z żoną. Nie gniewaj się, kochanie. No! jakże ci na imię?

— Lilith!

— Masz... widzisz sama!...

— Co widzę?

— Nawet twoje imię nie pozwala... Nie gniewaj się, ale... to imię wskazuje mi, że...

— Że co?!... co pan sobie ubrdał z tem imieniem?

— Przebacz, Lilith... Ale to imię jest imieniem bogini grzechu, apokryficznej pierwszej żony Adama.

— No! jeżeli żony... to mógł z nią stać w hotelu razem. Co to za Adam?

— Dziecko! nie mógł stać z nią w hotelu. To był pierwszy człowiek. Nie było wtedy hotelów... Mieszkali w raju, kiedy się ożenił drugi raz... z Ewą.

— Dziwny gust!... mieszkać w raju z żoną.

Śmieli się znowu razem.

— No! Lilith... poczekaj tu... Zaraz wrócę.

— Słowo honoru?

— Słowo!... Ależ zależy ci na mnie!... prawda?

— Przywiązałam się do ciebie! A ty?...

— Oj — oj!... ty jesteś głupiutka!

— Co—o?

— Wyobrażasz sobie, że... mógłbym uciec od ciebie drugiemi drzwiami. Przecie... ja nie mam nikogo, prócz ciebie... w całem Chicago!...

W istocie uporał się w pięć minut. Powracał rozpromieniony. Dojrzał ją zdala u węgła ulicy.

— No! marsz... idziemy.

— Nie!

— Jakto, nie?...

— Bo akurat dobrze się złożyło... Spójrz tylko!

— Co takiego?

— Wstąpisz tutaj...

Pokazywała mu wielką szybę sklepową, na której mosiężne litery wpoprzek świadczyły, że na rogu ulicy mieścił się zakład fryzjerski... *„Barber"!*

Podniósł rękę do brody. Zrozumiał, że ponowiono zamach na jego świętość.

— Nie, Lilith! — chodźmy.

— Ani kroku dalej!... Wejdziesz tu i ogolisz się.. Inaczej nigdzie nie pójdę z tobą.

Tupnęła. To dziw! — jak te kobiety prędko wchodzą w rolę żony. Doprawdy ta już rozkazywała mu, jak Lotta. I to tylko po zjedzeniu jednego wspólnego śniadanka...

— Zrozumiej, że... kiedy wrócę... taki goły... na twarzy, w domu nie poznają mnie dzieci!... Żona powie: „nieprzyzwoicie!..." Poprostu nie pojmie, dlaczego tak się... zeszpeciłem...

— Hm!... hm!... żubr!

Wzruszała ramionami. Była poprostu zła. Jak on śmie być tak upartym... ten prowincjał?!...

— Patrz! — wskazała palcem przechodnia...

— Co takiego?

— Brodacz... czy ogolony?

— Ogolony!

— A ten drugi... jak?

— O—go—lo—ny!

— A trzeci?

— O-go-lo...

— A czwarty?

— O-go...

— A ten piąty?

— O — — — o — — —

— Widzisz więc!... Wszyscy przyzwoici ludzie w Chicago golą się! To powiesz żonie!... No — naprzód — śmiało!... Ja posiedzę w poczekalni...

Jeszcze próbował wyprosić miłosierdzie kornemi spojrzeniami poczciwego dużego psa. Brał za klamkę — przestępował próg — i cofał się, trzymając się klamki...

Ale ona tupała nóżką nerwowo po bruku.

— Nie pójdziemy razem na zabawę — na wyborną zabawę... Z „zabawy“ będzie figa, jeżeli — —

Ten ton kategoryczny — a zwłaszcza to słowo „zabawa“ wymówione pieszczotliwie, obiecujące, wieloznaczne — i groźba usunięcia się od niej — wywarły wreszcie pożądany wpływ, zwłaszcza, że jeden z subjektów fryzjerni, zaintrygowany przydługą walką przechodnia z drzwiami, które przecież funkcjonowały dobrze, otworzył je naoścież i zaprosił nieśmiałego klienta do środka.

Pan August westchnął. Ogarnął szereg foteli, na których rozciągnięci byli delinkwenci... mój Boże!... ludzie, ogałacani z najpiękniejszej ozdoby męskiej. Co się stało z kobietami, że wymagają jakichś placków zamiast twarzy męskich?!... Co za powszechna zniewieściałość!... Niedługo nie będzie można odróżnić mężczyzny od kobiety...

Jednakże naprzekór tym intencjom siedział już w jednym z foteli w długim szeregu.

— Przystrzyc?—zapytał wzgardliwie młody operator wspaniałego brodacza...

— Nie!... zgolić... precz!... żeby nie zostało nic! — znęcał się z determinacją nad samym sobą pan August.

— *All rigth!* — wszyscy porządni ludzie z Chicago golą się u nas zauważył subjekt... Proszę zobaczyć tu... i tam...

Podwoił liczbę golących się, ukazując prócz rzeczywistości odbicia zwierciadlane...

— Tylko żywo!... Pragnę zapomnieć o brodzie!...

— *All rigth!... So much the better...*

Jeden ruch nogą, naciskającą jakąś tajemniczą maszynerję u dołu i pan August poczuł, że jakby z fotelem wywraca się w przepaść, a coś zimnego łyska mu przed oczyma... Tak! to było naturalne!.. tak zaczyna się egzekucja... Przypomniał z miesięcznika „Ja wiem wszystko" opis odwagi zbrodniarzy, umierających z uśmiechem na elektrycznem krześle— uśmiechnął się zwycięsko... Nie jest tchórzliwszy od tamtych...

— Tnij pan! tnij!... *Shortly!... Everything!*

Subjekt nie czekał. Stalowe nożyce hulały ostro wokół fizjonomji pana Augusta, który z uśmiechem męczennika, widzącego podczas tortury rozwierające się nad nim niebo, poglądał w sufit, gdyż w swojej pochyłej pozycji i w szponach subjekta fryzjerskiego nie mógł myśleć o śledzeniu w lustrze zabiegu operacji.

Po nożycach — brzytwa. Dziwne dotknięcie. Jed-

nak ludzie są szlachetni... „Przecież taki człowiek, gdyby chciał, mógłby mi poderżnąć gardło... jak nic!... Cobym mu zrobił!?...
trupa!... A sprawiedliwość? Powiedziałby: „omyliłem się!“ Jak dowieść mu, że się nie omylił?... Ale jakże on gęsto smaruje tem mydłem... Tak! tak!... trzeba zamydlić oczy człowiekowi, oślepić go, kiedy pozbawia się go patrjachalnej ozdoby ojca Abraha ma. Tak! Abraham nie pozwoliłby tak skrócić się... na twarzy!...“

— Co to?... pan dwa razy goli?

— *All rigth!... two!*

— Jednakże nie mam dwóch bród...

— Tak czyściej, gładziej...

— A no! rób pan, jak umiesz!...

— *All rigth!*

— A wąsy gdzie?... — spytał Szyling, podnosząc palec do nosa.

— Poszły precz!... Pan powiedział: „wszystko“ *„everything“*.

— Już nic niema?

— Nic!... gotowe!... Proszę wstać!...

Ruch nogą. Pan August został jakby wysadzony z siodła. Już ktoś inny leżał na jego miejscu... A on przystępował z lękiem do zwierciadła...

Co to za jeden... ten tam... w zwierciadle?

August uśmiechnął się. To jakiś facet, obywatel z Chicago, który goli się z zasady. Zasłania mu w lustrze jego odbicie.

Nie! coś się nie zgadza. Tamten byłby za nim —

więc nie mógłby w zwierciadle stać przed nim, a ten w lustrze nie chce ustąpić. Rusza się, jak on... Zbliża się i cofa, kiedy on to robi... Oj-ej!... ten okropny golec — to przecie on, August Szyling!... Nieprzyzwoicie smarkatowaty... z włosami przyczesanemi gładko, wylizanemi... okropność! — czy znowu trzeba będzie chodzić do szkoły?...

Macał się po brodzie... Ani włoska!... Krzywił się... Jak Boga kocham! tylko wleźć napowrót w powijaki... i krzyczeć o zmianę podściółki!

Zapinając kołnierzyk, ze wstrętem odwracał się od zwierciadła. I tu czekała go gorycz najwyższa. Szczotka usługującego dryblasa przesuwała od stóp fotela, na którym siedział, masę kłaków ku kątowi, w którym zbierały się śmiecie... To były znikome szczątki, jego wspaniałej brody, którą mógł był ongiś rywalizować z Fryderykiem Mądrym!...

Marność nad marnościami i wszystko marność!... Zeszpecił się na nic...

— Ślicznie pan wygląda! — rzekł subjekt, który go ogolił, wyczuwając palcami niezwykle hojną zapłatę... Kobiety będą szalały za panem!

Mówił to samo tyle razy, że głos jego brzmiał naturalnie, bez cienia aktorstwa...

I pan August odrazu rozpromienił się. Spojrzał w zwierciadło. „To wcale miły pasażer jest ten Szyling!" — pomyślał...

W poczekalni siedziała Dalila, która uplanowała zamach na moc Samsona i dokonała go z pomocą filistyna-fryzjera. Przeglądała ilustracje...

Samson stał w progu poczekalni — nie czuł się wcale słabym; przeciwnie, odmłodzony przez komplement fryzjera — oczekiwał nagrody za pokorę.

— Pi-i-i-i! — gwizdnął.

Lilith poruszyła się. Spojrzała na człowieka, który tak bez ceremonji gwizdał na nią. Odwróciła się.

— Ti-ri-li! — zanucił śpiewnie, jak słowik, pan August.

Lilith podniosła oczy z ponad ilustracji wzgardliwie i rzuciła zaczepającemu:

— Osioł!...

A wtedy pan August wybuchnął wesołym śmiechem:

— Jesteś cudowna, że nie dajesz zaczepiać się byle komu... Dziękuję za tego „osła".

Aż otworzyła usta ze zdumienia. Błysnęły dwa rzędy ząbków. Mrużyła oczy, jakby ją oślepiło nagłe światło... Wskazywała nań palcem.

— To pan... pan?!...

— Ten sam... z pociągu!...

— Dyrektor?!

— Tak! — twój dyrektor...

— Ha! ha! ha!

— Nie poznałaś?

— Nie!... Ha! ha! ha!... tylko po głosie.

— Ha! ha! ha!... no, jak wyglądam?

— Ależ jesteś nadzwyczajny!... Mówiłam, że robisz z siebie dziada... A jesteś młodzieńcem. Ha! ha! ha!

— Będzie zabawa?

— Będzie! — he! he! he!...

Trzymając się pod rękę wyszli z zakładu tak weseli, że właściciel fryzjerni zauważył:

— Para warjatów, która wzięła ślub... Dziwne, że się ich wypuszcza z domu obłąkanych bez opieki drużbów...

ROZDZIAŁ XI.

Rozjazdy.

Przybyli do Chicago — jak się rzekło — o późnej godzinie popołudniowej, kiedy giełda była już zamknięta. Szyling postanowił odłożyć wszystkie interesy na jutro. Dzisiejszy dzień poświęcał całkowicie „weselu" ze swoją towarzyszką, która działała nań jakimś urokiem magicznym. Nieśmiało stroniący od kobiet zamłodu, później sparzony pierwszym ogniem miłości zawiedzionej i wreszcie pogrążony zupełnie w szczęściu małżeńskiem z „jedyną kobietą" i pochłonięty obowiązkami ojca rodziny, przykuty równocześnie do taczek pracy zawodowej — w obecnej swojej towarzyszce, jakikolwiek był jej poziom umysłowy i moralny, odczuwał nieznany mu czar kobiecości. Przedewszystkiem była tak ładna, że mogła była zawrócić głowę nawet człowiekowi, obdarzonemu o wiele wyższym smakiem estetycznym: było naprawdę rozkoszą patrzeć w jej twarz zmienną, na której każdy kaprys znaczył się jakąś nową prześliczną miną — odruch gniewu rozdymał nozdrza, krzesał iskry w oczach, — wzruszał widza ściągnię-

ciem ustek, zawziętem tupaniem nóżek, bawił i rozbrajał, a humor tryskał fontanną, kołysał całą postacią, wywoływał żywe kolory na licach, porywał towarzysza.

Zapewne, nie imponowała moralnością, nawet szokowała swemi cynicznemi uwagami poczciwego pana Augusta, ale ten cynizm wydawał mu się czemś zzewnątrz narzuconem jej przez złe wpływy — bądź nieświadomem i prostackiem, bądź chwilami budzącem jakieś refleksje w jego zacnej duszy, czy aby on sam nie mylił się, iż wszystko jest tak prostem, jak zwykł był sądzić, lub chciał, aby było na świecie. Nie była wcale głupia — odurzała go zdolnością wymowy, pamięcią, obserwacją; nie rozumiał, w jaki sposób pewne myśli błyskały w tej lekkiej główce, pewne zdania „przemądre“ wychodziły z tych „dziecinnych“ ust, gdyż nie zdawał sobie sprawy z tego, że była niezmiernie pojętną małpką, doświadczoną nad wiek, znakomicie kopjującą mądrość wielu niezwykłych mężczyzn — w tym rzędzie malarzy, rzeźbiarzy, literatów — z którymi stykała się przelotnie w swojem obfitem w przygody życiu. Nie mylił się pan August, że była „nadzwyczajną“ — może jakieś nieznane a wartościowe pierwiastki dziewczęce drzemały w tej dziewczynie, krzywionej od dziecka, wychowanej przez bruk uliczny, które w innych warunkach utorowałyby jej drogę do karjery wielkich awanturnic, niekiedy ocierających się o tron.

Nie chcemy wcale rzec przez to, że te uboczne wartości, poza zwyczajnem „wieczno-kobiecem“, tłu-

maczyły nagłe zboczenie poczciwego i solidnego pana Augusta z dróg wierności małżeńskiej — że żadna inna ładna dziewczyna nie usidliłaby wyrywającego się z klatki małżeńskiej, obdarzonego nagle wolnością, usuniętego z pod kontroli małżonki i współobywateli Szylinga. Ale inna zabrałaby go na znikomy moment, mniej lub więcej miły, ściśle fizycznego zapomnienia, z natychmiastowem zdegustowaniem do samego siebie, z mniej lub więcej długiemi wyrzutami sumienia — w każdym razie nie oczarowałaby go tak, jak ta przygodna znajoma, która pozyskała nad nim moc Dalili i wymogła nawet zrzeczenie się... brody. A wraz ze stratą włosów pękła siła cnoty filistra-Samsona.

— Oddaję ci się na cały dzień! — rzekł do niej. *Dziś* jest twoje i moje!... Proszę cię, nie przypominaj mi, że jestem żonaty, dzietny... że jestem kasjerem... t. j. chciałem powiedzieć — dyrektorem banku.

— Owszem.. rozumiem!.. To taka nudna rzecz, że porządny człowiek ma tylko jedno życie... Ja mam kilkadziesiąt!

— Pozwól, że będę cię nazywał „Emily...“ Na dzisiaj jesteś „Emily“.

— Zgoda!... A ty, jak się nazywasz?

— Właśnie, że nie chcę wiedzieć, jak się nazywam. Bo ten, który tak się nazywa, jak ja — nie jeździłby z tobą, mała, samochodem w dzień jasny po Chicago...

— To tamten, co się tak nazywa jak ty, jest idjota. I nie chcę go znać!

— Doskonale... Ja go też dzisiaj nie chcę znać.

— Będę cię więc nazywała... Nero.

— O! to... podobno okropny tyran! — żartował.

— Wcale nie... to mój poczciwy stary pies, którego przypadkiem strułam czekoladą.

— Doskonale!... jestem Nero... Tylko nie dawaj mi czekolady.

Właściwie nie odczuwał przy jej boku żądzy. Był poprostu sztubakiem, który wyrwał się z pod opieki nauczycieli na wagary. Ponosiła go wesołość. Czar jej buziaka, żywość jej gestów, nieustanna jej paplanina działały nań nie inaczej, niż ów niezwykle piękny dzień wiosny, niż parodniowe zwolnienie od wielu trosk, niż opętany gwar tego miasta, w którem znalazł się po raz pierwszy, a które po względnie skromnym Nowym Orleanie było dlań objawieniem wspaniałości gromadnego życia i wielkoświatowego pulsu kultury. W istocie, Chicago jest największem miastem w Stanach Zjednoczonych po New-Yorku, a jedynem w dziejach co do szybkości rozrostu, czy to pod względem rozbudowy, czy zaludnienia, czy nagromadzenia bogactw, czy wogóle tętna handlu i przemysłu.

Wsiedli do samochodu i pod dyrektywą nowokreowanej Emily, znającej Chicago, jak najstarszy tubylec i znakomity *cicerone*, szofer przerzucał ich z błyskawiczną, o ile pozwalały przepisy jazdy, szybkością z jednego krańca miasta na drugi, środkiem wspaniałych bulwarów, dokoła olbrzymich parków, poprzez szerokie, tętniące gwarem ulice, przed fron-

tem gmachów, których szczyty ginęły w obłokach.

— Pędź! — krzyczał Szyling na szofera — chcę zobaczyć całe miasto... wszystkie ulice!

— *All right!* — odpowiedział szofer, najęty na godziny — to można... Przejedziemy tylko 3277 kilometrów.

— Do licha!... Kiedyż tę przestrzeń zabudowano. Czterystu lat nie starczy! — dziwił się Szyling.

— Gadanie! — roześmiała się Lilith. Ledwie przez sto! W 1830-ym roku było tu tylko 13 domów!...

— I od tego czasu tyle drapaczy nieba?! — —

— To nic!... W roku 1871 był pożar... zniszczył 20.000 gmachów publicznych, kosztował życie kilkuset ofiar, zrujnował przeszło 100000 ludzi —recytowała jak z książki.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — pokręcił Szyling głową z podziwem.

— Skąd?... jeździłam po mieście przez miesiąc z architektem z New-Yorku... On mi to wszystko mówił... A mnie dość raz powiedzieć... To był bardzo ładny blondynek... i głupi! Puścił mnie w trąbę.

— Hej!.. a to co za dom?.. ile ma piętr?

— Dwadzieścia!... Dom wolnomularski. „*Massonic Temple!*“

— Djablo wysoki!... Zawraca się w głowie...

— To nie zadzieraj głowy... jeżeli masz tak słabą! — śmiała się Lilith.

— Emily!... mądrze!... uczysz mnie skromności.

Widzieli w przejeździe gmachy, które przepychem i ogromem mogłyby zawstydzić mozolnie dźwigane

przez lat tysiące miasta starej Europy — ratusz, wielką operę, akademję, bibljoteki, szpitale, szkoły, fabryki, teatry.

— Co to?!... znowu dworzec?!

— Jest 8 dworców! — recytowała Lilith.

— Aj-ej!... a ile kościołów?

— 315!

— O!... a ile banków?

— 79!

— Żartujesz!...

— Nie!... architekt czytał mi z przewodnika...*)

Gdybyś tak pożyczył, Nero, w każdym banku to, co jest w kasie — zabawilibyśmy się dziś na potęgę w „Luna - Parku".

— A tam drogo? — spytał.

— Zawsze coś trzeba mieć w kieszonce na zapas! — roześmiała się.

Szyling zamyślił się. Nie zamierzał wcale wydać całej gotówki, którą zabrał na koszta podróży i reprezentacji. Ale sądził, że nie zawadzi zmienić choćby jednego z papierów procentowych. Zorjentuje się jaki jest kurs na nie dzisiaj. A skoro giełda zamknięta, zmieni jeden papier, w którymś z banków portowej dzielnicy nad jeziorem Michigan, którą właśnie przejeżdżali.

— Stój! — zawołał na szofera.

Zmienił papier. Powrócił do samochodu. Tak pędzili przez kilka godzin po mieście, gawędząc wesoło.

---

*) Dane cyfrowe z końca ubiegłego wieku (P. A.)

Zjedli razem obiad w wykwintnej restauracji. Zwolnili szofera, aby przejechać się łódką po jeziorze. Przeszli przez wielką halę przy rzeźni centralnej, wdychając zapachy nagromadzonych tutaj warzyw i mięs. Obejrzeli westibul jednego z 25 teatrów Chicago... Lilith nie odstępowała towarzysza ani na krok. Chodzili pod rękę i bawili się wszystkiem, jak para dzieciaków, nie pamiętająca o wczoraj, nie myśląca o jutrze... Wsiedli znów do samochodu.

— Emily, tyś bajeczna dziewczyna! — mówił do niej z zapałem. Zastępujesz mi kogoś, kogo mi zdmuchnięto przed laty...

— To pojedź ze mną do Europy na miesiąc...

— Ej!... za daleko.

— To do New-Yorku na tydzień.

— To za blisko!...

— No, jak chcesz... W Luna-Parku w Chicago zabawimy się też niezgorzej... Zobacz-no, która godzina.

— Wpół do siódmej...

— Mamy jeszcze pół godziny... Zajdźmy do kościoła.

Otworzył ze zdziwieniem oczy.

— Ty się modlisz, Emily?... To bardzo ładnie!

— Modlę się... i gram na loterji...

— Nie rozumiem!

— Myślę, że modlitwa jest, jak bilet na loterję. Może się nic nie wyprosi u nieba... ale zawsze, jeżeli nie prosi się o nic Pana Boga, to nie ma się żadnych szans na wygranie. Przytem... jak mam zgrzeszyć, to

wypraszam sobie zgóry przebaczenie u nieba. Zawsze to lepiej.

— Masz zamiar zgrzeszyć?

— Tak!... z tobą.

Był zdumiony. Co się w tej duszy działo?!

— Zatrzymaj szofera... tam kościół otwarty... Wejdę na chwilę... A ty — nie pójdziesz ze mną?

Zdjął go dreszcz... Pójść razem z tą dziewczyną, która obiecała zgrzeszyć z nim — nie byłoż to świętokradztwem?!...

— Nie, Emily!... idź sama.

— Dobrze... A nie uciekniesz mi?

— Nie!...Z dziewczyną, która... modli się... można iść wszędzie — rzekł cicho.

Zaczerwienił się, jak rak. Czuł, że staje się nieco bliski jej sposobowi myślenia.

Popatrzyła mu mocno w oczy.

— Wejdę na chwilę... Wiem, że nie uciekniesz...

Ale jeszcze zwróciła się do szofera.

— Pamiętaj... nie odjedź... Pilnuj mi tego pana. Zapłaci ci dobrze...

Szofer zaśmiał się:

— Bądź paniusia spokojna!...

. . . . . .

Powróciła za chwilę jakaś cicha, skupiona w sobie... Ale wsiadłszy do samochodu, rozśmiała się swoim rozkosznym śmiechem:

— Teraz szaleć!... Do Luna - Parku!...Wio!..

Z pociemniałego nieba mrugały tajemniczo pierwsze gwiazdy...

ROZDZIAŁ XI.

Zabawa.

Luna-Park huczał gwarem olbrzymiej ciżby ludzkiej, jaśniał setkami lamp elektrycznych. Wszystko, co współczesna technika amerykańska, która prześcignęła olbrzymio starą Europę rozmachem, bogactwem, nowością pomysłów, zdołała obrócić na cele zabawy, — skupiło się w tym czarodziejskim kotle uciech. Mieszały się tu wszystkie stany, zrównane demokratycznie żądzą zabawy. Na obszernym placu wpośród starych drzew i stłoczonych bud i namiotów, ponad grającemi odbiciem barwnych świateł kilku stawami, na sztucznie usypanych wzgórzach, z których wiodły w wielu kierunkach spadziste ścieżki śród traw i liczne szerokie schody z kamienia, — schodzili się robotnicy i robotnice, niosący tu zaoszczędzony na rozrywkę grosz, tak samo, jak zamożne mieszczaństwo, które używało tu droższych zabaw za specjalną dopłatą, jak wreszcie arystokracja i wielka finansjera, obie pragnące pod-

niecić zblazowane nerwy widokami szczerej uciechy prostaków, lub w niewymyślnych i tanich zabawach odnaleźć oryginalny urok po nudzie i przesycie wielkoświatowych rozkoszy.

. . . . . .

„Emily“ i „Nero” popadli odrazu w tak zwany „humor szampański”. Wypróbowali, zda się, wszystkie przyjemności Luna-Parku, a przynajmniej najsensacyjniejsze i obiecujące „wielki dreszcz“.

Na samym wstępie Szyling wprawił w szczery zachwyt swoją towarzyszkę popisem siły fizycznej. Uderzył młotem w sprężynowy aparat — z taką mocą, że gałka, wskazująca na wysokiej skali jakość wysiłku, podskoczyła niemal do szczytu — w każdym razie tak wysoko, że właściciel, aparatu, przy oklaskach otaczających rekordzistę współzawodników i gapiów, wręczył mu wspaniałe cygaro za „wyciśniętych“ kilka tysięcy gramów.

— Brawo! brawo! — wrzeszczała Lilith, jak opętana. Oto mężczyzna!... Nie chuchro! nie cherlak!

Entuzjazm jej, zdradzający się wyrzucaniem prawej ręki w górę i podskokami, szerokiem rozszerzaniem ust i gamami śmiechu, nie był ani trochę sztuczny. W mężczyznach imponowała jej przedewszystkiem siła fizyczna. Gardziła niepomiernie „chuchrakami“ i „cherlakami”. Może nawet wogóle gardziła istotami męskiemi — poza tymi, którzy mogli imponować pięścią innym w obronie jej słabości niewieściej. Pan August był jej z początku obojętny, jak każdy inny towarzysz podróży, od

którego zresztą domagała się jakiego takiego wyglądu, twarzy gładkiej, gdyż posiadała swoje kanony estetyczne na poziomie kultury Chicagoskiej. Był znajomością, jak każda inna, którą się zawiera na dziś z pewną rachubą materjalną i zapomina się o niej nazajutrz. Ale jego rekord siły napełnił ją dlań szacunkiem i sympatją, którą budziła poczciwa, roześmiana twarz „ogolonego Nero"; podniósł je do stopnia dosiężnego przy jej lekkiem usposobieniu, a to przez dumę, iż chodzi pod rękę z takim krzepkim „chłopem", który przytem nie jest chłopem, ale „dyrektorem banku"!

— Poczekaj!... zrobię jeszcze raz tę samą sztukę.

...Znowu nacisk walącego się młota na sprężynę— znowu podskok gałki, znaczącej w gramach ilość „zrobionych" kilo na skali — znowu wściekłe brawa „galerji", triumfujący okrzyk rzekomej Emily, i rozjaśniona, jak tarcza słoneczna, twarz pana Augusta, chowającego do kieszeni nagrodę — drugie cygaro z gatunku Hawany, podług zapewnień właściciela aparatu, zarabiającego zarówno na siłaczach, jak niedołęgach niezgorzej.

Nieopodal był bufet z ciastkami i strzelnicą. W pierwszym Lilith osiągnęła rekord w pochłanianiu wafli, zwiniętych w trąbki, napełnione kremem — w drugiej pan August, wbity w dumę przez zachwyty towarzyszki, dowiódł niezwykłej celności oka. Nasadziwszy złote okulary na nos, mrużąc jedno oko, wytężając drugie, marszcząc się tak, jakby chodziło o dosiężenie śmiertelnego wroga, dokonał kil-

kakrotnie cudu, trafiając w cele ruchome — złocone jajka, tańczące na srebrnym słupie wodotrysku, i w centry wirujących białych tarczy, zwodzących oko jakiemiś mieniącemi się w ruchu spiralami, malowanemi czarną farbą. Znowu entuzjastyczne wiwaty czarującej Emily i wylew dumy radosnej na ożywioną, szeroką twarz odmłodzonego Szylinga!...

Potem znaleźli się na karuzeli. Wirowali na arabczykach z drzewa, rozdzieleni całą długością średnicy puszczonego w ruch obrotowy koła, i posyłali sobie wzajem pozdrowienia, jak podróżni, rozjeżdżający się w odległe strony. Powietrzne pocałunki cwałującego, jak syn stepów, podtatusiałego jegomościa, już zlekka zsuwającego się z siodła pod wpływem paru kieliszków wódeczki, opróżnionych w bufecie przed zawrotną podróżą, oraz wspinającą się na czarnym „rumaku" smukła postać sylfidy, powiewającej chustką z wołaniami: „Do widzenia! do widzenia!" — budziły wesołość wszystkich współpasażerów, napełniając śmiechem obwieszoną brzękadłami i huczącą muzyką w środkowej budzie karuzelę. Ponad wszystek gwar wznosił się basowy śmiech pana Augusta, roznosząc się wśród sztucznej jaśni wieczora, zwabiając na okolny placyk publiczność i zarażając ją weselem.

„Prr!" wołał Szyling, ściągając lejce i doznając zawrotu głowy na swoim kołyszącym się i wirującym równocześnie, drewnianym rumaku. „Do djabła!... Wysiadam!... Stać!" Karuzelę zatrzymano...

Rozhukana dwójka odetchnąwszy nieco w bufe-

cie przy piwie, pośpieszyła na rotacyjną, wypukłą powierzchnię, na której mnóstwo amatorów czyniło daremne wysiłki, aby utrzymać się przydłużej rękoma na wygładzonej arence z desek, gdyż po kilku obrotach wyrzucani bywali nieubłaganie wirem poza sferę obrotu na miękie wyścielania kolistego pobrzeża... August i Lilith, podobnie jak inni, wdzierali się na czworakach do centrum koła, przewracali się, turlali, staczali się ze śmiechem na okolne poduszki...

W pół godziny potem, zażywszy wielu podobnych, a różnorodnych przyjemności, znaleźli się oboje na ławeczce djabelskiego młyna i tu, ulatując pod gwiazdy i za moment skacząc w przepaść, aby znowu wylecieć i znów się pogrążyć — porywani rozkosznym ruchem, przytulili się do siebie po raz pierwszy, jak zresztą czyniły to i inne pary, górujące nad nimi, w mgnieniu oka ślizgające się wdół pod ich wyniesione kolejno postaci. Inicjatywę do uścisku dał pan August, nie pod wpływem przestrachu i potrzeby oparcia, ulegając li rozkosznemu zawrotowi głowy w tej podróży, nie mającej celu, ni sensu — a przez to właśnie przyjemnej, jak szał zapomnienia!...

. . . . . .

Już było dobrze po północy, kiedy opuścili Luna-Park i udali się w samochodzie na wieczerzę. Pan August nie badał, do jakiej knajpy jadą, gdyż jego towarzyszka wiedziała wszystko, rządziła wszystkiem i zapewniała go, że jadą do „knajpy pierwszo-

rzędnej", gdzie „ubawią się, jak nigdy w życiu", Pósłówkami i mruganiami, a wymowniejszemi nad nie przytuleniami się rąk i bioder, czasem lekkiem szczypaniem w dłoń ze strony pana Augusta, lub kokieteryjnem muśnięciem jego twarzy złotą falą włosów pochylonej nagle i znów figlarnie oderwanej główki Lilith — zapowiadaną była jeszcze jakaś inna, kresowa zabawa. Ale nasza miła Emily nalegała, że wprzód muszą udać się do poleconej przez nią knajpy, dobrze zjeść, wypić, potańczyć — bo „ona tak zawsze robi".

Szyling nie oponował... Samson pozbawiony był woli. Poddawał się kaprysom Dalili, jak rozkochany student, który znalazł się w ręku doświadczeńszej odeń w sztuce uciech kobiety. Co najwyżej, w przeczuciu obiecywanej zabawy, która już kusiła zagrzane bliskością młodego kobiecego ciała zmysły i pobudzone weselem i alkoholem nerwy — usiłował zyskać przywileje, odmierzane mu skąpo w trafnej rachubie na podniesienie waloru łask przez kokieterję, którą gotów był w naiwności swojej brać za wstydliwość. Ten opór rozpalał jego zmysły; a jeżeli w mózgu pana Augusta jawiła się rankiem tego dnia, czy w biegu wieczorowej zabawy w Luna-Parku, myśl, iż pofiglowawszy niewinnie, wyrwie się z nieuchwytnych pęt w imię miłości, którą pozostawił był w domu — to te błyskawice gasły wobec pozorów niedostępności nieznajomej kobiety, której zbytnia dostępność mogłaby zrazić czystego i moralnego małżonka pani Lotty.

Kiedy wyruszyli z Luna-Parku, chciał ją koniecznie pocałować w samochodzie.

— Nie chcę! — żachnęła się. Całować się na ulicy?! Tylu ludzi patrzy! Za nic w świecie!... Na to nie pozwalam nigdy...

— Ależ tu przecznica! — skamlał z miną pocieszną. Nikt nie patrzy. Wszyscy, przechodząc, zajęci są troską, aby ich nie przejechali.

Śród śmiechów wspólnych wyjednał sobie prawo całowania jej przy każdej przecznicy, mijanej przez samochód...

Druga... trzecia... jedenasta... siedemnasta...

Naliczył przecznic dwadzieścia cztery — i tyleż razy pocałował ją w szyjkę ,rozchylając boa...

— A tutaj — patrz! stłuczona lampa elektryczna... Ciemno!... Muszę cię pocałować w usta...

— Na! masz... całuj!... Tu właśnie wysiadamy.., Nasza knajpa jest właśnie tu!

Gospoda, do której przywiozła Lilith Szylinga należała do gatunku dość poślednich. Schodziło się do niej wdół po wąskich schodach, jak do piwniczki. Ale bawiono się tutaj „na psa urok". Panował gwar nieopisany. Goście darli się na całe gardło, podśpiewując pod takt muzykantom. Orkiestra, złożona z szóstki drabów, odzianych w zatłuszczone marynarki, spodnie w kratki, kolorowe kamizelki, bieliznę, nie zasługującą na to miano — tak czarne były kołnierzyki, mankiety i rzekomo białe kokardy krawatów — rzępoliła, fałszując niemiłosiernie: skrzypce prze-

ścigały pianino, klawisze kłóciły się z waltornią, trąbka i flet nie chciały się porozumieć, a bęben zagłuszał wszystko, nawet kłótnie o damę i o rachunek w tym lub owym kąciku. Ale wesele było szczere. Poślednia publika zaznajamiała się ze sobą w mig. Sąsiedzi stanowili jakby jedną rodzinę. Tłuste anegdoty podawano sobie z rykiem śmiechu od stołu do stołu. Bombardowano się zwiniętemi w kulki papierowemi serwetami, tu i ówdzie gruchały pary miłosne wcale jawnie, w przekonaniu, że soczysty całus i schwytanie damy za łydkę pod stołem są sprawami nieobcemi nikomu i godnemi szerokiego naśladownictwa, jako rzeczy nieodłączne od sensu życia. Posługacze uwijali się pośród par, tańczących w wąskiem kolisku między stolikami, starając się, o ile możności, nie uronić kufli, napełnionych piwem, nie zalać wytartych tużurków i podkasanych spódniczek, nie oberwać guza od zuchwałego gościa, nie usłyszeć wymysłu od damy: „Bydlę"!... Ludzie chwiejący się na nogach, z głowami, zaprószonemi dobrze przy oblężonym nieustannie bufecie, podchodzili do stolików ludzi obcych i śród brzęku talerzy, noży i widelców, opowiadali im ze łzami w oczach swoje biografje, bełkocąc i bijąc się w piersi z powodu jakichś grzechów, które wywoływały współczujący śmiech w nierozumiejących nic słuchaczach... Powietrze przesycone było mieszaniną wszelkich aromatów, jakie wydawać mogą podejrzane sosy i swędy z pobliskiej kuchni, z której dochodziły naganiające krzyki kelnerów, obronne wymy-

sły kuchcików, brzęki tłuczonych naczyń. A wszystko razem — od zaśmieconej niedopałkami cygar, resztkami jadła i kośćmi rzucanemi psom, malowanej na czerwono podłogi aż do wilgotnej powały i wypełnionej widzami antresoli, gdzie hałasowano, żarto i pito niemniej, niż na dole — opasane było gęstemi smugami dymu tytoniowego, który niełatwo byłoby pokrajać nawet dobrze naostrzonym nożem.

A przecie śród tego brudu, hałasu, zamętu, pomiędzy tą zbieraniną niekrępowanych konwenansami gości, w tłoku rozfiglowanych par tanecznych, w tej atmosferze lubieżności i pijaństwa, śród tej orgji — pan August Szyling czuł się doskonale. Może zaćmiony niepomierną dozą alkoholu pod wszystkiemi postaciami: wódki, wina, piwa—nieprzyzwyczajony do oparów spirytusowych, mózg jego nie był już zdolny do krytycyzmu i odruchów estetyczno-etycznych. A może raczej była to przytrafiająca się najczcigodniejszym obywatelom, najlepiej wychowanym ludziom, najszanowniejszym małżonkom i ojcom rodzin — reakcja nerwów, zmęczonych już nazbyt uporządkowanem życiem, znużonych stałemi wymogami powszednich obowiązków, znudzonych wieczystą tresurą obyczajową, karbami małżeństwa, szrankami uległości względem opinji i przełożonych, jarzmem pracy, regularnością powtarzających się co dnia zajęć i monotonnością przesypianych według zegarka nocy! Subtelni badacze zboczeń psychicznych w specjalnych studjach wskazują takie chorobliwe momenty szału, w których ku zdumieniu po-

wszechnemu człowiek mści się za porządek swego życia — opuszcza lśniącą czystością jadalnię, wytworny salonik, miły gabinet pracy, aby na jedną chwilę unurzać się w błocie!

W tym nastroju utrzymywała tego wieczora Szylinga „błogosławiona Rachaba", wprowadzając wybrańca obyczajów bożych do obozu jego nieprzyjaciół — szaleństw zmysłowych i chaosu dzikiego wesela, wszelako nie po to, iżby zwyciężył, ale żeby został pokonany. Uczyniła to raczej, jako Dalila; jej Samson znalazł się w gospodzie „Filistynów", która należała właściwie do Mr. Jima Riley, króla paserów, istoty, bądź nieuchwytnej dla przenikliwych oczu policji, bądź znajdującej się z tąż w stosunkach przyjaźni, która wszystko rozumie, wszystko dzieli i wszysko przebacza. Ten Samson, zarówno jak ów legendarny, który, póki miał czuprynę, rozdzierał lwy, nosił bramy miejskie na plecach i oślą paszczęką pobijał wrogów — teraz po utracie włosów, acz tylko na brodzie, został niejako oślepiony.

Nie widział, jak jego towarzyszka, filuterna Lilith, „bogini grzechu" z knajpy Mr. Jima — kiedy po brawurowym tańcu opuścił ją na chwilę — zbliżyła się szybko do znajomego kelnera i rzuciła mu szeptem: „ Ralf! sprowadziłam ci złotorunnego barana... ostrzyż go dobrze!" — na co ten kiwnął z chytrym uśmiechem rozczochraną głową.

Co gorsza, zajęty gawędą z muzykantami, których dobrodusznie obejmował w wylewie wdzięczności za świetną grę do tańca, czując niepohamowany pociąg

do wytarmoszenia najmłodszemu grajkowi obfitej czupryny na znak uznania, — pan August nie zauważył jeszcze ważniejszego ruchu swojej zaufanej „miss Emily“.

Oto skokiem tygrysim zbliżyła się do małej estrady, przeznaczonej przez Jima Rileya dla najdostojniejszych gości — i tu mocno ściszonym głosem zamieniła kilka słów z wysokim jegomościem, poglądającym w ponurem milczeniu na salę, jakby on jeden nie brał udziału duchowego w powszechnym szale zabawy i pijatyki. W istocie twarz jego nosiła wyraz surowej wzgardy. Orli nos, wydatna szczęka, czerń włosów, ciemna cera, błyszczące śród grubych czerwonych warg ostre zęby, przenikliwe spojrzenie zimnych oczu — wszystko to nadawało mu cechy drapieżnego zwierzęcia, świadomego swojej siły, miarkującego ją aż do wybuchu, a zarazem człowieka, przywykłego do władzy, do rozkazywania niższym, wynoszącego się ponad tłum wiarą w jakieś swoje przyrodzone prawo przywództwa. Jakkolwiek twarz jego była szorstką, grube kiście rąk i jawna siła fizyczna mówiły o pochodzeniu z nizin życia, to przecie gest był pański; a w zmrużonych oczach było tyle dumy, że wydawał się kimś, co wyrósł wysoko ponad swoją sferę i w życiu zajmował pozycje wyższe — choćby to była tylko pozycja herszta bandy zbójeckiej. Uderzało zwłaszcza to, że ręce jego, jakkolwiek silne, były białe i wypieszczone — kazały domyślać się, iż nie podejmowały się twardej pracy; należały raczej do człowieka, znającego zby-

tek, choćby tylko migawkowy i zdobywany na drogach krętych.

Pod piecem na estradzie siedziało trzech ludzi, kryjących się w cieniu, zapijających w milczeniu piwo. Oczy ich śledziły owego dziwnego człowieka z wyrazem jakiegoś uwielbienia. Znać było, że starczyłoby milczące skinienie jego ręki, aby porwali się kupą i na rozkaz jego szli wszędy, kędy iść im każe — choćby w ogień.

Lilith zbliżyła się do estrady, na której górował ten człowiek wzrostem nad innymi, i szepnęła:

— Czarny Bill! dziś znalazłam... Jest kąsek...

— Kto? — zapytał.

— Ten, z którym tańczyłam.

— Grubas?

— Tak.

— Interes dobry?

— O! nie bój się.

— Sama zrobisz?

— Tak, sama... To głupstwo! Mam iść tam, gdzie ostatnio?

Chwilę namyślał się.

— Nie!... lepiej zmienić — to pewniejsze... Masz adres... nieużyty jeszcze?...

— Zachowałam kartkę, którą dałeś mi w niedzielę.

— Dobrze!... Fox czeka z karetką. Nie omyl się, aby nie ściągnąć kogo na kark. Będzie czekał całą noc i odwiezie cię...

— Gdzie spotkamy się?

— Fox już wie, gdzie będę jutro rano,

— Czarny Bill! kochasz mnie?...

— Głupia! — mruknął przez zęby. — Kto o tem mówi teraz? Idź... załatw wprzód interes...

Odeszła kornie. Cała ta rozmowa odbyła się szeptem błyskawicznie... Bill ledwo się nachylił ku niej. Pijana hałastra dokoła nic nie zauważyła.

Lilith powróciła do Szylinga, któremu Ralf przedstawił sążnisty rachunek za wieczerzę. Szyling zwyczajem, nabytym w życiu oszczędnem i oględnem, usiłował z początku skontrolować rachunek:

— Ej!... skąd tu bażant?... Nie jadłem.

— Pani stalowała...

— Hm... nie pamiętam... Osiemnaście likierów?.., Nie było!

— Było, wielmożny panie! Liczono w bufecie...

— Łżesz!... Po oczach widzę, że łżesz...

Nasadzał okulary bezwiednym ruchem; te spadły. Oczy Szylingowi zachodziły mgłą. Głowa się kiwała. Był okrutnie pijany. Pokój chodził przed nim kołem. Chciało mu się niepohamowanie śmiać...

— Jesteś szelma!... Wiem dobrze... Ale było — nie było... wszystko jedno. Dziś mój dzień. Na! naciesz się i ty...

Już nie licząc, nie sprawdzając rachunku, poprostu wyrzucał z kieszeni zgniecione garści asygnacyj... Miotał je kelnerowi, który bałuszył oczy i kłaniał się temu niepospolicie hojnemu gościowi. Ile razy kelner pomnożył istotną należność, ani też, ile razy Szyling przepłacił zuchwalstwo rachunku, nikt

nie potrafiłby sprawdzić. Niedbale rzucane ręką pijanego asygnacje fruwały w nastawione chciwie łapy Ralfa. Niewątpliwie nadszarpniętą została już sumka, otrzymana przy wymianie w banku — cudza własność!...

— Masz!.... naźrej się złota!... Pieniądz to świństwo! Trzeba odrzucać go precz... Pieniądz psuje człowieka... Żyć i dawać innym żyć!... — bełkotał.

Lilith stała przy nim...

— Emily!... a teraz jedziemy... jedziemy... Wieź mnie, dokąd chcesz. Świetna zabawa!... Ha! ha! ha!... Emily!... Słodka Emily!...

I zwracając się do kelnera rzucił:

— Podziękuj pani, hultaju, żeś się wzbogacił!

A do otaczających go pijanych ludzi obcych zwrócił się:

— Przedstawiam wam moją narzeczoną... miss Emily!... Sformować szpaler honorowy!... Otworzyć drogę!... Najsłodsza kobieta na świecie... miss Emily!... Ha! ha! ha!

Ujęła go pod rękę — prowadziła ku wyjściu.

— Stój! Poczekaj!... Jeszcze muszę potańczyć z tym brodaczem!

Wyrwawszy jej ramię, chwycił oburącz przechodzącego przez środek sali solidnego z wyglądu jegomościa z siwiejącą brodą — jakiegoś urzędnika biura podatkowego — który przypadkiem zabłąkał się tego wieczora i zaszedł na kolację do jadłodajni Jima... Poważny i ociężały gość nie wiedział jak się stało, że nagle ktoś jął nim obracać, porwał go

w wir tańca, zmusił do przypomnienia dawno zapomnianych *pas*, a hasając, wołał z hucznym śmiechem:

— Bóbr!... bóbr... jak Boga kocham!... Bobry trzeba nauczyć tańczyć... Ha! ha! ha!... A jak ja tańczę!... co? Jak baletmistrz!... Bom odmłodniał!

Wreszcie oburzonego, nie mogącego przyjść do słowa z tak niespodziewanego obrotu rzeczy i jego osoby, Szyling puścił, klepnął w ramię i rzekł:

— Bóbr!... ogól się!... powiadam ci... ogól się!...

Cała sala huczała śmiechem, gdy wesoły jegomość wychodził, pociągany przez również roześmianą i nieco podchmieloną śliczną towarzyszkę...

Lilith znosiła dobrze alkohol, albo wystrzegała się upicia w chwili, gdy chodziło o ważny interes. Pomogła panu Augustowi wejść pierwszemu do karetki, oczekującej nieopodal, która na jej znak podjechała. Potem zanim wsiadła, wsunęła nieznacznie kartkę w dłoń stangreta. Ten rzucił na nią okiem w świetle latarni...

Milcząco kiwnął głową...

Lilith zatrzasnęła drzwiczki...

Karetka ruszyła, unosząc wesołą parę w pomrok ulic...

„Zabawa“nie skończyła się jeszcze...

ROZDZIAŁ XIII.

Bez tytułu.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

ROZDZIAŁ XIV.

Przebudzenie.

Obudził się...

Głowa ciążyła mu ołowiem. Uczuwał w niej tępy ból. Szumiało mu w uszach. Właściwie nie zdawał sobie sprawy, że boli go głowa. Dźwigał ją ciężko z poduszek. Miał wrażenie, iż jest bezwładny, rzucony w ciemność, opadnięty przez jakieś moce, które cisnęły mu pierś, krępowały ręce, nie dawały powstać.

Z wysiłkiem otwierał oczy. Jedno otworzył; drugie, oporne, kleiło się jeszcze. Wreszcie podniósł omdlałe ręce. Przetarł powieki. Oczy mrużyły się zaspane, złe, niechętne, spotykając z przykrością bijącą w nie niespodzianie jasność dzienną. Właściwie nie była to promienność poranka, lecz rażące jeszcze światło popołudniowej godziny. Rażące dla oczu, wychodzących z ciemni snu, przerwanego łopotem w mózgu i tajnym niepokojem duszy, wyrwanej ze zwykłej kolei życia.

August Szyling siedział na zmiętem łożu śród chaosu byle jak rozrzuconych poduszek i rozglądał się ciekawie po pokoju. Nie rozumiał jeszcze, gdzie się znajduje. Co to za nędzna szafa naprzeciwko?... Skąd ten strzęp nawisłej u pułapu brudnej tapety?... Albo ta pajęczyna w kącie?... Wreszcie to krzesełko o trzech nogach, wywrócone na dziurawy dywanik? Nic podobnego nie widział w domu. Czy śpi? — uszczypnął się w rękę — nie! jest w jakiemś obcem miejscu. A! w zajeździe... w Chicago... Tak! ale wczoraj nie najmował tak ordynarnego pokoju. Przecie stanął w pierwszorzędnym hotelu... Kuferek postawił przy kominku obok pięknej sofy... Ani kominka!... ani sofy!...

Rozwierał oczy coraz szerzej. Powoli wracała świadomość. Wracała ciężko, z trudem, bo wczoraj był na nogach co najmniej dwadzieścia cztery godziny — utrzymywał się w stanie czuwania dzięki pobudzeniu przez alkohol, mszczącemu się obecnie stępieniem myśli i bólem głowy.

Nagle przypomniał — przypomniał wszystko... Był tu wczoraj z... obcą kobietą!... Drgnął — skrzywił się... Zdjął go wstręt do siebie... Co on, August Szyling, wczoraj wyrabiał?... Był pijany!... Potem zasnął!... Ile godzin spał?!... Gdzie się podział zegarek?...

Powstał ciężko — na poręczy krzesła wisiała kamizelka. Z kieszonki zwieszała się dewizka zegarka. Szedł chwiejnym krokiem ku niej — znowu ciężko zamykały się powieki — ołowiana kula na karku chyliła się na bok, prostowała z trudem — znowu zaćmienie pamięci nawrotem oparów alkoholu, dręczących mózg — znowu chwilowa utrata jaźni. Stanął przy krześle; zapomniał, że zamierzał spojrzeć na zegarek. Przed nim w toalecie znajdowało się zwierciadło. Wpatrzył się w nie... Kto tam wyjrzał naprzeciwko?... Nie znał tej twarzy... Mrużył oczy — przysunął się ku ścianie, wspierając się ciężko pięściami o blat toalety.

Poznał!... to on... August Szyling!... Jaka okropna fizjognomja — oczy asymetryczne, twarz zmięta, poszarzała!... Bez brody!... Co za wstyd!... W gwałtownym skręcie wywrócił butelkę i rozlał resztki wina na jakąś książkę... Zainteresował się na moment zniszczoną okładką — szkodą, którą uczynił — zalane litery złocone na wierzchu znaczyły książkę adresową...

Ba! wczoraj wieczorem jeszcze pili we dwoje szampana w tej dziurze... Zawstydzony uciekł od zwierciadła na łóżko... I dopiero teraz — dopiero teraz

w jaskrawem świetle obrzydzenia, które biło zeń mocniej, niż jasność dnia, targnięciem sumienia powiedział sobie: „Ale przecież ona tu musi być jeszcze!...“ Wszakże nie pożegnał się z nią!

I spojrzał na próżne łóżko... Uderzyła go przykro leżąca na kołdrze szpilka do włosów... Był zdumiony!... Przecież wczoraj tamta „osóbka“ legła właśnie przy ścianie... Gdzież się podziała?... Miął kołdrę i prześcieradło, jakby mógł się doszukać niewidzialnej na łóżku. Niema jej!... Rozglądał się po pokoju. Zatem poszła... Dobrze, że poszła sobie — machnął ręką... Najlepiej zapomnieć o „głupstwach”, które czynił wczoraj... Należy oporządzić się — i zająć się misją, którą mu powierzył bank Nowo-Orleański...

I nagle — nagle jakby olśniony błyskawicą...

Gdzież jest jego portfel z papierami?

Na Boga!... nie leży obok — niema go w kieszeni tużurka, rzuconego na stoliczek nocny... Ręce mu drżały, jak w febrze...

Czy nie zgubił portfelu?!...

Nie! nie!... to być nie może... Portfel musi być tam — w jednej z kieszeni palta... Tak jest!... pamięta... przełożył go czujnie tam właśnie, kiedy przybyli nocą do hotelu.

Skoczył ku paltu... Zagłębił rękę w jedną kieszeń — w drugą... Niema!...

Jeszcze jest kieszeń w podszewce... Odwrócił palto... Jest! jest!... co za szczęście!...

Otworzył portfel...

I oczy stanęły mu w słup...

Papierów procentowych nie było!...

. . . . . .

A więc ktoś je wyjął!...

Ze złożonego we dwoje portfelu nie mogły wypaść same...

I coś zimnym dreszczem przebiegło od stóp do głów — szarpnęło serce — poruszyło mózg:

„Ona! — ona! — ona!"

. . . . . .

„Złodziejka!... złodziejka!"

Ten krzyk wydobywał się zdławiony, ochryply ze ściśniętego bezgranicznem przerażeniem gardła Szylinga.

Już wiedział, że był haniebnie oszukany, ograbiony, ale jeszcze nie wierzył. Pojmował, że stało się coś okropnego, ale nie był w stanie ogarnąć rozmiaru skutków, pełni katastrofy. Tylko jeszcze ten podły cień nadziei, że przecież niepodobna było z nim tak postąpić — tak go skrzywdzić!... I za co?! — i kto?... Dziewczyna tak młoda, z tak wesołemi oczyma, tak szczerze śmiejąca się... pieszczotliwa... tak całowana przezeń i oddająca pocałunki — niechaj to był moment, ale przecie on wiąże ciała, więc wiąże choćby odrobiny duszy; nie może być zetknięciem się ludzi, rozchodzących się wrogo...

Ona tylko żartowała... figiel dziecka, nierozsądny, głupi... Jest tu jeszcze w hotelu, za drzwiami... schowała się, ale znajdzie się...

Wargi mu latały... Naciskał dzwonek gwałtownie — nikt się nie zjawiał — co za podła dziura!...

Ubierał się, jak nieprzytomny. Ciągle coś zapominał — wkładał część odzieży i zdejmował bez potrzeby... I znowu dzwonił...

Wreszcie ktoś wszedł, jakieś indywiduum zamorusane, rozczochrane, w kamizelce i spodniach, źle zapiętych, bez marynarki, ze szczotką i ścierką w ręku:

— Pan dzwonił?

— Ta dziewczyna... ta dziewczyna!... gdzie jest?...

— A! poszła...

— Jakto, poszła?... Powiedziała, że wróci?

Jakiś uśmiech chytry na bladych ustach wyrostka i spojrzenie zamglone z podełba i poskrobanie się w głowę... Jakby przypominanie... Potem:

— Nie wiem... Zapłaciła za pokój... i za wino... Mówiła, żeby pana nie budzić...

— I nic więcej?

— Nic!... Może szwajcar coś wiedzą.

Ledwie trafiwszy ręką w jeden z rękawów palta, drugiego bezpłodnie szukając na schodach, napół nieprzytomny, zbiegł na dół.

Dopadł do szwajcara, który siedział za ladą, dłubiąc w zębach.

Świdrował go oczyma, pięściami wsparty o ladę, aby nie upaść. Bez tchu zapytywał:

— Ta pani... co ze mną była... wyszła?... tak?!

— O! wyszła... przed paru godzinami.

— Wróci?!... wróci?!

— To pan wie najlepiej... Skąd ja mogę wiedzieć?

— Okradła mnie!

Milczenie. Potem wzruszenie obojętne ramion.

— Hm... to się zdarza. Jeżeli tak jest, jak pan mówi— to nie wróci. Takie nie wracają...

— Zabrała mi olbrzymią sumę!

— Oj! — pokręcił szwajcar z miną obojętnego pożałowania. Tem bardziej nie wróci.

Szyling podniósł pięści do głowy. Walił niemi po czole. Nagle przypomniał coś z dawnych opowiadań doświadczeńszych kolegów. Rzucił z rozpaczliwą pasją:

— Ale... ale... przecież wy nie macie prawa wypuszczać *takich*... nie pytając gościa! Powinniście byli mnie uprzedzić...

Szwajcar zrobił minę obrażoną.

— Proszę pana... Znamy swoje obowiązki i spełniamy je. Ale pan przyszedł tu pod noc... nie zameldował się... I w dodatku pan sam, wchodząc wczoraj wieczorem, przedstawił tę panią: „To moja narzeczona!"... No, skoro narzeczona, jakże mogliśmy ją zatrzymywać?!

— Ja tak powiedziałem?!...

— Mogę zawezwać lokaja, który był przy tem. Zaświadczy!

Szyling pochylił głowę.

— Może... może! — bąkał, czując cały ciężar swojej winy. Ale czego to nie mówi się po pijanemu?

— My w to nie wchodzimy, kto jest trzeźwy, kto pijany.

Milczenie. Jeszcze próba:

— Zemeldуję policji, że zostałem u was okradziony.

— Oho!... jakże pan dowiedzie, że pan miał pieniądze — ile — i czy... po pijanemu pan nie zgubił w drodze?...

Argument był zabójczy. Szwajcar oderwał się od gościa. Pan August złożył ręce błagalnie:

— Panie!... zechciej dopomóc mi... Może jaka wskazówka... Ktoś ją zna... Nazywała się Lilith...

Uśmiech złośliwy.

— To szanowny pan nie wie, że one nazywają się na każdą noc... inaczej.

— Ale gdzież ja ją znajdę?

— Ba! może tam, skąd ją pan wziął...

I szwajcar odwrócił się dość szorstko, jakby znużony przydługą rozmową z natrętnym gościem — i dłubiąc sobie w zębach, siadł przy misie, stojącej w kącie na stoliku. Był to znak, że audjencja jest skończona.

„Tam, skąd ją pan wziął!“

Zawsze-ć to była wskazówka.

Zgarbiony starczo wyszedł Szyling z hotelu.

Postanowił *ją* odnaleźć.

ROZDZIAŁ XV.

Stłuczona lampa.

Decyzja była desperacka.

Znaleźć! — tak... Ale w jaki sposób?...

W powodzi gmachów Chicago?!... W obcem mieście, gdzie nie znał nikogo... nie mógł nikogo się poradzić... od nikogo nie mógł otrzymać wskazówek. Zresztą, gdyby nawet nie wstydził się pytać — jakąż nić sam posiadał w ręku, by trafić na ślad przepadłej? Toć wczoraj był tak pijany, że nie zapamiętał ulicy, na której znajdowała się przeklęta knajpa, ani nie był w stanie określić drogi, którą przybył do hotelu, lub czasu, zużytego na jazdę od piwiarni do podejrzanego hotelu. Poprostu nie orjentował się, gdzie się znajduje.

Wszelako, gdy tak wlókł się, rozmyślając o sposobie odnalezienia garkuchni, w której prawdopodobnie Lilith bywała stale — przywitano ją tam z honorami, jak bywalczynię — zamajaczył mu w perspektywie szerokiej ulicy olbrzymi dom wolnomular-

ski „*Massonic Temple*“, najwyższy gmach w Chicago, szczytami tonący w chmurach, które zbierały się na niebie, grożąc ulewą...

Słaby błysk radości oświetlił jego zmęczone oblicze. Jawiła się wiotka nić, mogąca doprowadzić do kłębka. To pamiętał: w okolicach „Massonic Temple“ znajdował się blisko Luna-Park. Odnajdzie go po murach, rozległym pasem obiegających park. Nie będzie nawet pytał policjanta...

Ale co dalej?...

I dalej była jaka taka wskazówka...

Do knajpy naliczył był wczoraj od parku 24 przecznice... Zawstydził się na to wspomnienie... Dwadzieścia cztery idjotyczne pocałunki — etapy podróży do hańby — droga rozkosznej głupoty do ruiny życia... Ale mniejsza o to!... teraz była to nić zbawczej rachuby — promyk nadziei... Po 24 przecznicach, oznaczonych numerami, a nie nazwami — skręcili w jakąś wąską uliczkę... Tam znajdowała się jedna lampa stłuczona — nieoświetlona — tuż przy niej była knajpa. Biedny mózg ograbionego kasjera-rachmistrza wysilał się na odbudowanie tych drobnych wspomnień, jedynych, jakie ocalały z zamętu pijanej wyobraźni dnia wczorajszego.

Dosięgnąwszy „domu wolnomularskiego“ rozpoczął swoją wędrówkę, opartą na rachubie 24 przecznic. Była to podróż niezmiernie długa — gdyż fronty domów były rozległe i przecznice następowały po sobie w odstępach dalekich. Przytem nogi uginały się pod nim — gdyż ociężał niezupełnem wyspaniem

się po nadużyciach wczorajszej nieprzespanej doby i szałach wieczora i nocy, a lęk, iż nie odnajdzie zdrajczyni, paraliżował chód nieszczęśliwego. Dosięgnął dwudziestej czwartej przecznicy — nowa rozpacz!—nie było tu poszukiwanej wąskiej uliczki, należącej widocznie do dzielnicy staromiejskiej. Był plac szeroki, na którym budowano nowe drapacze...

Serce tłukło się w nim okrutnie. Przysiadł na kamieniu i gorzko dumał. Czyżby się omylił? — nie! naliczył z pewnością 24 przecznice—był pewny swojej rachuby. Co to znaczyło?!... Czy nie szaleje?!... Gotów był uwierzyć, że zawisła nad nim kara Boża, która przez noc przeobraziła miasto...

Wtem myśl szczęśliwa!... Zmylił napewno kierunek... Poszedł na prawo, miast w lewo. Wypadało powracać do Luna-Parku... Na piechotę!... Był ograbiony tak doszczętnie, że nie zostało mu nawet paru drobnych monet na samochód... Ba! oddał je wszystkie boy'owi przy karuzeli.

Jest znów w Luna-parku... Obchodzi jego rozległe przestrzenie — i przekonywa się, że jest tu siedem wyjść. A niemal od każdego rozpraszają się, niby promienie okręgu, szerokie i długie ulice, przecznicami, tworzącemi koła koncentryczne wkrąg parku, położonego w środku miasta... Ruszył naprzód...

Sam nie wiedział, ile razy jeszcze przedsięwziął swoją męczeńską wędrówkę od bram parku, których nie zapamiętał, tak samo, jak ulic. Jeśli nie były podobne, to bądź tonęły w ciemnościach wieczora, gdy jechali wczoraj tędy, bądź nawet przy jarzącym

blasku lamp, nie wyryły się w pamięci, zmęczonej przez wychylone kufle piwa, a bardziej jeszcze przez szał, który wionął na podochoconego od jego pięknej towarzyszki. Nie wiedział, ile razy zmylił się — i liczba 24 nie przywiodła go do celu... Raz nawet trafił na uliczkę, która wydała mu się podobną do tej, gdzie mieściła się knajpa z nieznaną dlań firmą... Lecz nie było tu nigdzie stłuczonej lampy — nie było piwniczki!...

Zimny pot skroplił mu czoło...

— A jeśli lampę naprawiono dzisiejszego ranka? Wówczas nie odnajdzie nigdy poszukiwanego miejsca.

— Boże! Boże! — modlił się w duchu — spraw cud, żeby lampa była stłuczona.

I znowu metodycznie, z niecierpliwością człowieka, który zrzucony został w ciemną przepaść i wygrzebuje się z niej po stromych brzegach, obrywając się i siląc po sto razy wedrzeć się znów, dopóki ma iskierkę nadziei i odrobinę sił — zawracał do punktu wyjścia, „Luna-Parku", i zgarbiony, opierając się o mury, nie widząc nikogo z przechodniów, dreptał ku tajemniczemu celowi...

Zapadły ciemności wieczorne. Znowu 24 przecznice. Znów wszedł w wąską uliczkę... Teraz już podniósł głowę do góry — i tylko poglądał na wysoko zawieszone lampy... — szukał tej jednej niezapalonej, jako wczoraj...

Jest... jest!...

O mój Boże! — zakołatało mu serce tak mocno, że

oparł się o mur, by nie runąć obok schodków, które wiodły do piwniczki...

Wczorajsza knajpa!...

Teraz jedno pytanie: czy ona tam będzie?!...

Raczej spadł po schodach, niż zeszedł...

Tak... to tutaj!... tutaj!... To samo pianino w kącie... Bufet w tem samem miejscu!... Oto stół pod estradą, gdzie siedzieli wczoraj!...

I kupka gości... Osób było niewiele, czy dlatego, że od południa groził deszcz i wiatr przykry wiał od jeziora: tedy goście pośpieszyli przed burzą do domu... czy dlatego, że ta knajpa pośledniego gatunku właściwie winna była już być zamknięta po kresie dozwolonego policyjnie czasu czynności zakładu. Bodaj tak!... Chłopiec przy wyjściu ofuknął go: „już zamknięte!" — i pan August, odepchnąwszy go siłą, wdarł się do wnętrza...

Zataczał się... Zamglone spojrzenia szeroko rozwartych oczu ślizgały się po tych niewielu gościach z zaufanej klienteli „króla paserów", którzy pozostali tu bodaj jedynie po to, żeby podzielić zyski z poprzednich wycieczek przeciw własności i obgadać przy wódce nowe wyprawy na noc bieżącą. Rozmowy zacichły naraz wobec tego człowieka, chwiejącego się na nogach i przekrwionemi oczyma badającego wszystkie kąty...

Ona!... ona czy tu jest?!

Na nitce tego pytania kołysało się życie Szylinga.

Czy ta nić się nie zerwie?...

ROZDZIAŁ XVI.

Kamień.

Ona była tutaj...

Nie zauważył jej, gdyż stał odwrocony do niej plecami, niemal tuż pod galeryjką, na której siedziała w towarzystwie jakiejś dziewczyny z półświatka i jej alfonsa. Ze swego górującego stanowiska, odwrócona od sali, ona również nie mogła go dostrzec. Zresztą była nazbyt zajęta rozmową ze swymi przyjaciółmi. Paplała wysoce podniecona, promieniejąca... Pokazywała przyjaciółce wspaniałą mufkę szenszylową, na którą poszła cała skóra jednej kozicy, i chlubiła się nowym kostjumem z bogatej materji, szykownie skrojonym, świetną broszą, kosztownemi kolczykami — prezentami swego „drogiego czarnego Billa". Przyjaciółka z podziwem kiwała głową, oddając hołd wspaniałomyślności kochanka czarującej Lilith, która — zdaniem alfonsa — zasługiwała na te cenne dary. Oboje z całą skromnością korzyli się wobec bogactwa istot wyż-

szych, którym w fachu trudno było dorównać... Ba! czarny Bill i jego wybranka — to jakoby para królewska mętów...

Lilith nie wyjaśniała, jaką drogą otrzymała dziś te prezenty. Nie było powodu wtajemniczać istoty niższe we wszystkie swoje sprawy i postponować Billa, którego potęgą i łaskami lubiła się pochwalić. W danym wypadku Bill nie miał trudnego zadania. Poprostu, kiedy zjawiła się u niego rankiem z ukradzionemi papierami procentowemi, schował je do swojej kieszeni, którą mianował „jej *safesem*"; potem wyszli na spacer; zmienił papiery na gotówkę, następnie udali się do magazynów, gdzie nasprawiał jej mnóstwo rzeczy, lwią część zarobku nocnego zachowując oczywiście dla siebie, zresztą na potrzeby wspólne. Było to zasadą w ich stosunku, przeciw której nie protestowała. Wszakże Bill był jej opiekunem, on dawał jej wskazówki i rady, wysyłał ją na zyskowne wyprawy — rządził nią i dodawał jej odwagi; wiedziała bowiem, że w potrzebie znajdzie zawsze jego obronną pięść i dzięki jego sprytowi uniknie sieci policyjnych.

Imponował jej swoją siłą fizyczną, zimną krwią, umiejętnością rozkazywania członkom znanej a dobrze zgranej szajki, małomównością istoty dostojnej, nie tracącej słów napróżno, i tajemniczą swoją przeszłością, o której ludzie jego ledwo pozwalali sobie szeptać: były tam „sprawy mokre", t. j. grabieże połączone z mordem, były więzienia i perspektywy elektrycznego krzesła i genjalne ucieczki, które sta-

wiały na nogi policje rozmaitych Stanów, a ostatecznie niebezpiecznemu opryszkowi udawało się zawsze ujść pogoni.

Lilith słuchała rozkazów „Czarnego Billa“ niewolniczo — to on odnalazł ten „diament” w błocie bruku miejskiego, rozpoznał jego blask, szlifował swemi naukami. Przywiązała się do niego, ponieważ ocalił ją od głodu i nędzy, zabił w niej głupie skrupuły sumienia i uczynił swoją faworytą. O miłość „Czarnego Billa“ dobijało się tyle innych kandydatek jej fachu, że jego wybór podniósł ją we własnych oczach. To jej ślepe przywiązanie potrafił wyzyskać na swoją korzyść, gdyż w stosunkach z płcią niewieścią był naogół powściągliwy, rozkazodawczy, chłodny, jako że nią gardził. Rzadkie jego pieszczoty tem wyższą miały cenę w oczach wybranki; zdały się nagrodą za korną służbę mądrym planom. Oto czemu Lilith, wystrojona na urząd, przyszła pokazać się w gospodzie Jima Rileya i niemal wierzyła samej sobie, gdy mówiła radosna:

— O, czarny Bill nie żałuje mi niczego!...

. . . . . .

Był człowiek, który odgadł powód zjawienia się Szylinga i przyczyny rozpaczy, wyrytej na jego twarzy. Widział szumiącą jedwabiami nowej spódnicy i potrząsającą triumfalnie wielką szarą mufą Lilith, gdy wchodziła po schodach na galeryjkę. Skombinował, skąd pochodziły „dary Billa“. Człowiek ten pożałował pana Augusta, gdyż przypomniał pieszczotliwy ruch jego ręki, która wczoraj pogłaskała go

po czuprynie. Zrobiło mu się żal nieznajomego o poczciwej twarzy. Młody muzykant zresztą miał podstawę realniejszą do wdzięczności: wczoraj pan August wsunął mu grubą monetę, nadmieniając, że gra lepiej od swoich kolegów i obiecując przysłać mu skrzypce z Nowego Orleanu.

Jakkolwiek ostatniej obietnicy nie można było brać na serjo — skrzypek powodowany litością bezinteresowną, jął mrugać nieznacznie Szylingowi, wskazując ruchem głowy galerję — nieznacznie, albowiem dokonywał niejako zdrady wobec solidarności, obowiązującej gości jadłodajni i jej personel.

Szyling, kierując się tym znakiem, spojrzał wgórę.

Dostrzegł Lilith...

Bez tchu podążył po schodach...

W pierwszej chwili speszyła się na jego widok... Powstała — nawet zlekka pobladła...

— Gdzie masz moje pieniądze?! — wyciągnął ku niej ręce.

Rozpaczliwy ton jego głosu sprawił, że drgnęła i zmieszała się. Jakiś głos lepszy przemówił w niej na chwilę. Bąkała onieśmielona:

— Ja doprawdy... nie wiem nic... Nie wiem, czego pan chce... nie wiem, jakie pieniądze... Doprawdy, nic nie wiem... nic! — broniła się jakby przed samą sobą. Proszę, niech pan mi da spokój!

Nawet oczy spuściła.

Pochwycił ten ton niepokoju w jej głosie. Lękał

się ją rozdrażnić. Liczył na to, że raczej wzruszy ją prośbą. Złożył ręce błagalnie:

— Lilith, tyś modliła się wczoraj... Nie możesz być zła... Prawda, ty zwrócisz mi te pieniądze?...

Już opanowywała się. Wcale nie życzyła sobie, aby ci ludzie na dole — mogli być śród nich obcy — wiedzieli o jej sztuczkach złodziejskich. Nie chciała przyznać się przed przygodną przyjaciółką i jej kawalerem, jaką drogą przyszła do dzisiejszej elegancji. Zresztą te pieniądze — nie były już w jej rozporządzeniu. Część poszła niepowrotnie na kostjum i klejnoty. Z pozostałą większą cześcią nigdy Bill się nie rozstanie. Ten człowiek wymaga od niej rzeczy niemożliwych. Więc jeno wzruszała ramionami i milczała.

— Nie żartuj, Lilith!... Pomyśl, że... te pieniądze to moje życie, to życie mojej żony i dzieci... Nie mogę wrócić bez nich — nie mogę!...

W głosie jego były nuty łkania...

„Jeżeli wrócę bez nich, czeka mnie hańba, utrata stanowiska, więzienie... Moje dzieci — moje maleńkie dzieci — zmarnieją!"

Zmarszczyła brwi, gniewna na samą myśl, że ten człowiek może ją wzruszyć. Przyznawała w duchu, że był poczciwy — dobry dla niej. Ale dlaczego śmiesznie skamle? Czy mu nie wstyd?... I napewno kłamie! Przecież jest dyrektorem banku... ma pieniędzy wbród. Jakże ci „bogaci burżuje" są skąpi!... A choćby nawet mówił prawdę, to przecie... i ona

i „czarny Bill“ żyć też muszą! Stało się nieszczęście— cóż ona może teraz poradzić?...

Tupnęła nogą — odwracała się, aby nie patrzeć w jego oczy, rozpalone, błyszczące łzami:

— Powiedziałam... że nic nie wiem!... Niech pan się odczepi!

— Lilith... Kłamiesz, kłamiesz!... Modliłaś się wczoraj, boś już planowała grzech...

Ten wyrzut rozgniewał ją. Zwróciła się znów ku niemu:

— To może odmodliłam swoje... Ej! nie chcę słuchać tych głupstw!... Proszę mnie przepuścić!...

I skierowała się ku schodom...

Naówczas zastąpił jej drogę... Już nie błagał. Wyprostował się. Był groźny. I naraz padło twardo:

— Łotrzyco! łżesz... spiłaś mnie i okradłaś podle! Nędznico!

Stał jej na drodze — rozwiódł ręce, tamował przejście...

Dwoje jej towarzyszy nie miało chęci mieszać się do skandalu. Lilith nawarzyła piwa, niech je sama wypije... Sądziła teraz, że ocalić ją może jedynie tupet.

Roześmiała się. Zwróciła się do obojga przyjaciół, przysłuchujących się napół obojętnie scenie, która ich bawiła.

— Jak wam się podoba ten jegomość?! Upił się!... oszalał!... Ja miałabym ukraść jego pieniądze?!... Co za bezczelność!... Taki łapciuch... Komu on to śmie miotać w oczy te nędzne wymysły?!... Niesłychane

rzeczy!... Ja — złodziejka?!... Pierwszy raz pana widzę, mój panie!...

Ten jej odpór oszołomił go — nigdy w życiu nie stał jeszcze oko w oko z taką bezczelnością. „Kamień! kamień!“ — to słowo świdrowało mu mózg... A ona unosiła się coraz bardziej. Wyrazy: „łotrzyca“, „złodziejka“ — oburzyły ją naprawdę. Grając komedję, czyniąc gesty obrażonej dumy — wchodziła w rolę. Rzekłbyś, że wierzyła już samej sobie, iż ktoś opadł ją dzikiemi pretensjami.

— No, dosyć tego!... Wstydź się pan robić takie skandale w publicznem miejscu... Taki starzec, jak pan, powinien siedzieć w domu... Radzę panu iść i przespać się... No! — proszę mnie przepuścić... Nie znam pana!

Był tak zdumiony i pełen zgrozy, że odstąpił, aby przypatrzeć się kobiecie, która mogła tak w żywe oczy zaprzeczać mu prawdy ich okrutnej znajomości.

Skorzystała z tego, aby przecisnąć się między nim a ścianą... Już była na schodach... Wtedy ocknął się... Zrozumiał, że jeżeli pozwoli jej wymknąć się, jest stracony... A jakkolwiek ona zbiegła chyżo, jak sarna — on, jak tygrys, poskoczył za nią.

— Policja! policja! — wrzeszczał.

Dopadł ją u drzwi wyjściowych — pochwycił za ręce, nie puszczał. Cofała się znowu ku schodom na galerję — trzymał ją:

— Dziewko! — chrypiał — ja ci pokażę! Policja!...

A wtedy nagle objęły go jakieś dwie szorstkie

ręce. Kelner Ralf przychodził z pomocą Lilith — zatykał mu usta — zatrzymał Szylinga. Renoma garkuchni nie pozwalała, aby gość wyszedł na ulicę z wołaniem: „policja!“ Lilith udało się wyrwać z żelaznego uścisku dłoni Augusta dzięki interwencji Ralfa. Wbiegła znowu na schody wewnętrzne, szukając schronienia na antresoli...

Ale i Szyling, jakkolwiek oszołomiony na chwilę wdaniem się obrońcy, nie dał za wygraną. Po krótkiem szamotaniu się odepchnął napastnika. Oczy zaszły mu krwią. Stał w pośrodku izby — rozglądał się: kędy umknęła ta dziewka?... Dostrzegł ją znowu — pogoni za nią... pochwyci, nie wypuści z rąk...

— Po — li — cja!...

Wtem stało się coś niespodziewanego. Ktoś wszedł bocznemi drzwiami — z pokojów prywatnych Rileya, — ktoś, co znał tajne wejścia i wyjścia garkuchni, bywalec, który tu krył się nieraz przed okiem władzy. Ten ktoś stał na estradzie — wyprostowany, dumny. Jego wielkie czarne oczy błyszczały zimnym ogniem... Ten ktoś skinął muzykantom. I nagle orkiestra — posłuszna woli tego, który był tutaj samowładcą — zagrała hucznego marsza. Hałaśliwe akordy pianina, uderzonego ręką brutalną, grzmot bębna, piski skrzypiec zagłuszyły wołanie Szylinga: „Policja!“ i zdezorjentowały go na chwilę, gdy zamierzał skoczyć ku uciekającej...

Skoczyłby przecie, gdyby nie to, że ów ktoś jednym susem zstąpił z estrady. Miał w ręku ciężkie

krzeszło — dźwigał je wgórę — i z tyłu wymierzył nagle potężny cios całym ciężarem krzesła w głowę Szylinga.

On nie widział zachodzącego z tyłu — nie spodziewał się ciosu. Nie krzyknął — nie jęknął — jeno chrypiąc zwalił się, jak kłoda, na podłogę...

Kilka osób wrażliwych — bo i tacy tu byli — krzyknęło. Na chwilę zmilkła orkiestra. Czarny Bill groźnie spojrzał na muzykantów... Majestatyczny ruch jego ręki znaczył „grać, dalej!“ — i znowu zabrzmiały huczne tony muzyki. Był to zarazem znak, że obecni mają siedzieć spokojnie i nie mieszać się do sprawy, która ich nie powinna obchodzić.

Czarny Bill brał wszystko na siebie. On się znał na tem — wiedział, co czynić należy. Biada głupcowi, co zechciałby się wmieszać! Nogą powoli odwracał ciało, nieruchomo leżące na podłodze. Trzech drabów — ci sami, którzy wczoraj siedzieli pod piecem, a teraz jakby wyrośli z ciemnego kąta u drzwiczek na estradę, — na jego skinienie stanęło przy swoim panu, oczekując na rozkazy.

— Czy żyje? — spytał Bill.

Jeden z drabów pochylił się nad ciałem — przyglądał się, badał...

Równocześnie Lilith z wysokiego stopnia pochyliła się, jakby chcąc licom leżącego przyjrzeć się zgóry i odpowiedzieć sobie na pytanie Billa: czy żyje?...

Na jej pociemniałem pod niespodziewanem wrażeniem obliczu — na wąskich, subtelnych ustach, dziwnie skrzywionych w tej chwili — był grymas raczej

obrzydzenia, niż żałości. Trochę żalu było w oczach szerzących się, naraz układających się asymetrycznie. Ale obrzydzenie przemagało żal. Nie znosiła trupów... I nad poczuciem, że stało się coś okropnego — że człowiek niewinny, poczciwiec, którego wczoraj obdarzała pieszczotą, padł ofiarą przedewszystkiem jej złodziejskiego czynu — przemagał niepokój o bezpieczeństwo Billa, który przyszedł jej z pomocą. Ale bodaj niepokój nie był tak silny, jak ciekawość: co się właściwie stało i jak Bill wszystkiemu zaradzi?

Byłaby może pożałowała tego człowieka, którego dotykał but Billa, jak rzeczy martwej — gdyby nie ta myśl, zaczerpnięta z nauk kochanka, że świat jest knieją, w której oni, Bill i ona, są tropieni, jak zwierzyna, i muszą się bronić przed prześladowcami. Władza, policja, prawo, porządek — to były dla niej tylko siły przeciwne ich instynktowi życia i potrzebie użycia: tamci, grożący artykułami kodeksu i krzesłem elektrycznem, lub szubienicą — to byli wrogowie, z którymi wypadało się ścierać nieubłaganie, aby zwyciężyć, lub zginąć. Dopóki Bill miał broń palną, pięść, kastet, dopóki dopisywały mu spryt, zręczność, maska, nogi — powinien był ratować swoje cenne dla niej życie!... A tacy ludzie, jak ów, co leżał teraz bez ruchu — byli baranami, przeznaczonemi zgóry na ofiary dla takiego pysznego okazu zwierza, jakim był jej Bill!... Co ostatecznie mógł ją obchodzić jeden z miljonów głupich, który jeno dlatego, że miał pieniądze rościł sobie prawa

do nocy z nią... Jeżeli zginie, tak przeznaczył los — na jego miejsce jest tylu innych! A Bill jest jedyny! Bill ma zawsze słuszność — Bill bronił jej. I ona nie powinna mieszać się do niczego! Bo on ma wolę i mądrość: wie, co czynić trzeba, by ostać się we wrogim dla nich świecie, z którego dóbr mądrzy, silni, piękni mają prawo korzystać...

— Oddycha! — zadecydował drab, podnosząc głowę i zwracając się do Billa. Ale niewiele mu się należy...

— Hm!...

Jedna sekunda namysłu. Potem gest rozkazujący i jedno słowo, rzucone przez zęby:

— Podnieście go!

Dwaj ludzie podnosili tego, co zdawał się już trupem. Trzeciego zatrzymał Bill wzrokiem. Ów stanął przy drzwiach. Niby bawił się brauningiem. Ale uśmiech na jego ustach znaczył, że nikt z gości nie powinien ruszyć się z gospody, zanim sprawa nie będzie załatwiona. Albowiem komuś mogłoby niepotrzebnie przyjść na myśl, że dałoby się coś zyskać na wsypaniu Czarnego Billa, nim rzecz da się pokryć tajemnicą. Było to wątpliwe wobec grozy, którą wywierała mściwa szajka Billa, ale nie zawadziło udzielić przestrogi mniej pewnym...

Czarny Bill nie spojrzał na Lilith. Ona w tej chwili nie liczyła się. Ależ bo nie ruszyła się z miejsca — tylko zatrzymała się o poręcz schodów, gdy dwaj ludzie wynosili ciało z izby, a Bill milczący, majestatyczny kroczył za nimi. Zrobiło się jej zlekka

słabo. Lecz przymknęła zsiniałe wargi i nagle zmatowiałe oczy...

Cóż miała powiedzieć?

Bill był sędzią w świecie jej myśli. On wydał wyrok na człowieka, który mógł stać się niebezpiecznym, gdyby ożył... Ona była korną społecznością, która nie śmie protestować przeciw wyrokowi swojej władzy. Władzą jej był Czarny Bill... Byłoby śmiesznem, gdyby stanęła tamą na jego drodze... Milczała...

. . . . . .

Trzej ludzie z czwartym, który był tylko noszą, zniknęli w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ XVII.

Na plancie.

Trzydzieści pięć odnóg kolejowych dochodzi do miasta Chicago.

Jedna znajdowała się wpobliżu gospody.

Znanemi sobie zaułkami, później polami, dwaj ludzie nieśli bezwładne ciało w kierunku plantu kolejowego. Trzeci kroczył przed nimi spokojny, czuwający, wskazujący drogę. Mrok nocy osłaniał czarne dzieło. Śród ciszy rozlegały się ich kroki. Innych ludzi nie było dokoła — miasto spało. Mrok i cisza były sprzymierzeńcem tych trzech.

— Tutaj! — zabrzmiał głucho głos Billa.

Wiedzieli zgóry, co mają zrobić.

Położyli ciało na szynach kolejowych.

— Już kipnął! — zachichotał jeden z drabów.

— To nie czyni różnicy maszynie, czy kraje martwe, czy żywe! — zauważył filozoficznie drugi.

Bill milczał.

— Ułożyliśmy, jak ostatnio... Koła przejdą przez

gardło... Rodzony ojciec jutro go nie pozna! — zachichotał znowu pierwszy.

— Możecie odejść! — rzekł sucho Bill, Powiedzcie Lili, że będę ją czekał na rogu trzynastki. Niech przyniesie kiełbasę i piwo... Wyprawimy ucztę dziś u Foxa.

Odeszli.

. . . . . .

Bill jeszcze sprawdzał ich robotę. Przykrył leżącego na szynach płaszczem...

Wtem uderzył się w czoło. Doprawdy, nie spisali się, jak należy. Wszystko ten pośpiech!... Postępują. jak ludzie roztargnieni. A i jemu brak już zimnej krwi. Jak można oddawać ciało na żer lokomotywie z myślą, że rankiem sam djabeł nie rozezna, kto zginął, i trup nie naprowadzi na niczyje ślady, nie przeszukawszy kieszeni ofiary?! Postąpił ku szynom — wistocie w kieszeni zmarłego znalazł dowód osobisty... zabrał go. Co jeszcze?... Ach! ten systematyczny baran ma przyszyty na podszewce palta pasek z nazwiskiem: „August Szyling". Wyjął nóż — odciął pasek — schował.

Nieopodal na plancie paliła się latarnia gazowa. W żółtawo migającem świetle dostrzegł Bill połyskający na palcu ofiary pierścień. „Lilith jest rozrzutna! — pomyślał — nie zostawia się takich rzeczy". Zdarł pierścień i obrączkę z palców ofiary i nałożył sobie. Zabrał pusty portfel z napisem: „Germanja". Co jeszcze?... Ba! któż pozostawia ze-

garek pasażerowi na tamten świat? Przecież nie będzie on badał, o której godzinie przejedzie go ekspres... O, już zbliża się pociąg... W oddali płoną białe oczy reflektorów — słychać oddech lokomotywy...

— Zabierzmy zegarek i... pożegnajmy tego śpiocha!

Pochylił się ku leżącemu bezwładnie i z pośpiechem wydzierał z kieszeni zegarek...

. . . . . .

Nagle — —

Ów leżący na szynach otworzył jedno oko.

Szyling nie był martwy. Był ogłuszony okrutnym ciosem w głowę — omdlały. Teraz ruch palców koło jego kieszeni — łaskotanie dłoni, wydzierającej szczelnie siedzący w ciasno opiętej kieszeni kamizelki zegarek, przywróciło mu przytomność. Przez chwilę w blasku latarni przypatrywał się cieniowi, który pochylił się nad nim i operował w jego kieszeniach. Nagle zrozumiał...

Bandyta!

I wróciła mu z falą krwi, która gwałtownie uderzyła do głowy — cała przytomność umysłu. I zagrała w nim złość wszystkich krzywd, jakich doznał tego dnia — i odwaga, jakiej nabył w ciągu życia, które było proste, szczere, śmiało ludziom patrzyło w oczy — i ta jego siła fizyczna, jaką popisywał się nieraz w kręgielni, a wyrobił ją w sobie ćwiczeniami gimnastycznemi. Wreszcie w pasję zmienił ją sam instynkt samozachowawczy.

Szyling uniósł się ruchem mocarnym w górę,

chwytając bandytę za gardło jedną ręką — drugą automatycznie pochwycił za dewizkę, broniąc swojej własności...

Dwaj ludzie znalezli się w śmiertelnym uścisku. Milcząc, chrypiąc, pasowali się ze sobą...

A koła ekspresu dudniały coraz bliżej — i bliższe były gorejące oczy lokomotywy — i jej sapiący oddech już, zda się, owiewał tchem swoim dwóch ludzi, którzy tarzali się w uścisku walki — obaj zziajani, zaciekli, broniący swego życia!...

Upadli — podnieśli się i znów upadli — i na nowo podnosili się w kurczowym oplocie walczących ramion.

A naraz jeden z nich dobył z siebie wszystką moc nerwów i mięśni — cały zapas żądzy życia — i odrzucił potężnym wysiłkiem drugiego, który sięgał mu do gardła.

Ten drugi powalił się z krótkim krzykiem na szyny.

Krótkim! — przeszły go koła nasuwającego się błyskawicznie potwora-lokomotywy.

Ten drugi był zmiażdżony — martwy...

Pierwszy trzymał w ręku ocalałą dewizkę i rozwartemi przerażeniem oczyma patrzył na to, co uczynił...

Był to August Szyling!...

ROZDZIAŁ XVIII.

Nad przepaścią.

Nie wszędzie noc przerwała ruch życia...

Były ulice, które kipiały gwarem.

Krótka ulewa, co to spadła w chwili, gdy Szyling prowadził bezpłodną rozmowę z kamiennem sercem Lilith, odświeżyła powietrze — i mnóstwo przechodniów wyległo na oświetlone, szerokie ulice wielkiego miasta. Ci, zaskoczeni burzą w obcem miejscu, powracali do domu; inni, młodzi, zażywali przechadzki; owi śpieszyli do przybytków zabawy, których wrota otwierają się w późne godziny nocy, wabiąc muzyką miłośników tańca...

Śród tej ciżby ludzkiej szedł tego dnia człowiek, obcy wszystkim — i obcy samemu sobie. Nikt nań nie zwracał uwagi. A i on nie oglądał się na nikogo. Potrącany, nie czuł obcesowych dotknięć innych. Jeżeli sam kogoś przypadkiem potrącił, nie wiedział o tem — ofuknięty za nieuwagę, nie słyszał ostrych upomnień, czasami przykrych wyzwisk: „Niedołęga! niezgrabjasz!"

Śród tłoku ludzkiego przesuwał się, jakby stąpał przez pustynię... bo nie było już związku pomiędzy nim a życiem powszechnem...

Jedyną rzecz, którą pozostawił mu bandyta przypadkiem, odnaleziony w kieszeni bilet powrotny do Nowego Orleanu — sam podarł...

On sam zerwał wszystkie węzły...

Jego oczy tkwiły gdzieś w górze — błędnie patrzyły w niebo — obłąkane wpatrywały się w świetlne reklamy, które migawkowo paliły się na szczytach domów. Czytał je w okrutnym lęku, boć znaczyły coś innego, niż zwykle; szydziły zeń, krzyczały nań ognistemi literami z dachów, jakby chciały ujawnić jego zbrodnię przed całym światem...

Oto elektryczność wypisywała na frontonie gmachu:

Złoty róg!

Reklama gasła... Wybuchały litery: *Zło* — —

On czytał: *Złodziej!*

Odwracał oczy w lęku... Naprzeciwko nad dachem zakwitały srebrzyście litery:

„*Cunard Line*"...

Znowu światło gasło... A ledwie wybłyskały dwie pierwsze litery: *cu* — —", on czytał:

Cudzołożnik!

Oglądał się z przestrachem... Teraz spostrzegał ciżbę ludzką... Dlaczego przechodnie tak śpieszą? czy nikt nie widzi, że tam ze szczytu spada na bruk uliczny — na jego barki — wyraz: „*cudzołożnik*"! „*Cunard Line*" było wczoraj nad tym domem —

dzisiaj zmieniło się wszystko... *„Cudzołożnik! cudzołożnik!“* — krzyczała elektryczność.

„Morning Post“ — błyszczy napis na tle ciemnego nieba — napis w barwach czerwonych... Nie! to nie jest gra barwnych lampek elektrycznych... To krew, kapiąca z dachu... I nie jest to wyraz: *„Morning Post“*, lecz oskarżenie groźne i klątwa w jednym wyrazie: *Mor-der-ca!*

Chwilami przez duszę jego przepływał potok rzewnych wspomnień: „Erna i Fryda“ śpią słodkim snem, przytulone do siebie w łóżeczku... Willy wyciąga bacznie piąstki, posłuszny komendzie gimnastycznej ojca... Malutki wylewa mleko i w zabawnym lęku szuka obrony w tatusiu... Karol August i Stefan pocieszznie wydzierają sobie kubek... Godzina muzyki... Kołysanka... Jego poczciwa żona podaje mu kapelusz: „Idź... a nie zawierusz mi się gdzie, stary!“ — grozi mu palcem. Lecz jej sny są pełne miłości i wiary w niego...

Mój Boże!... dziś to szczęście prysło... Jeden moment słabości... Uczta z obcą kobietą w wagonie restauracyjnym... Karuzela...pijatyka w knajpie.., i noc rozpusty w brudnym hotelu...

Jeden moment zapomnienia... a oto stał się złodziejem, cudzołożnikiem, mordercą!...

Wszystkie domy — całe Chicago krzykiem świateł ogłasza jego hańbę... Wszystko pokazuje go palcami...

Skończyło się szczęście!...

Kres nastał wszystkiemu!

Niepodobna żyć!...
A jakże gorzko jest umierać...

. . . . . .

Tak przewłóczył się przez noc całą... Zziębnięty, głodny, nędzny, w odzieży poszarpanej — raczej cień dawnego Augusta, niż on sam — przywlókł się o świtaniu nad jezioro Michigan z jedyną myślą:

— Trzeba umrzeć!...

Przystań spała...

Tajemniczo w budzącym się blasku padały cienie belek pomostu na wody, marszczone wiatrem wschodnim, zrywającym się raz po raz od strony miasta Michigan, noszącego miano jeziora. Melancholijnie brzmiały miarowe pluski fal, bijących w kołyszące się mnogie rybacze łodzie, będące na uwięzi u brzegów. Delikatnie rysowały się we mgłach na horyzoncie maszty żaglowców i kominy parostatków. Leniwie wstawał dzień nowy...

August Szyling całym ciężarem ciała wsparł się o poręcz pomostu i patrzył w czerń wody. Przejmował go dreszcz podwójny — zmarzł fizycznie tej chłodnej nocy; i zimnem napawała go myśl o skoku śmiertelnym w tę toń okrutną. Stał tak godzinę, lub dwie, jakby sparaliżowany niemocą odwrotu i niemocą rzutu wgłąb. Stracił rachubę czasu. Chwilami przestawał myśleć zupełnie; w zapomnieniu znużona głowa chyliła się na poręcz gwałtowną potrzebą snu. I za chwilę porywał się z drzemki i poczynał się modlić. Był religijny; wiedział, że popełnia grzech śmiertelny, uciekając się do samobójstwa, i chciał

zgóry wyjednać sobie przebaczenie u Boga modlitwą. Chwilami wplatał w nią rzewne słowa własne: „Przecież widzisz sam, Panie Boże, że nie mogę inaczej“... I w modłach swoich przebaczał tym, którzy wyrządzili mu krzywdę, pchając go do otchłani.

Właściwie nie winił nikogo, tylko siebie. Osądził się wyrokiem nieubłaganym z wyżyn ideału, który nie znosi żadnego uchybienia. Tak jest! to on sam popełnił krok fatalny, którego człowiek zasad nie powinien był uczynić. To on pozwolił sobie na chwilę igraszki, sądząc, że nie przeciwważy ona szali jego obowiązków. I oto doznaje kary: igraszka swawoli zmysłów urosła o cały ciężar zaniedbania wartości moralnych i powagi życia, zemściła się, dowodząc mu splotem żelaznych konsekwencyj, iż nie wolno mu było poddać się pokusie. Surowy dla siebie, odrzucał przypadek, nieszczęście — potępiał siebie bezlitośnie, aby przezwyciężyć strach przed śmiercią. Grzech wymagał kary. Tedy sam siebie skazywał na śmierć.

Ale w głębinach zdrowego organizmu uparcie tlił się płomyk instynktu samozachowawczego, potężny żal życia, w którem widział uśmiechy sześciu par oczu dziecinnych i łagodne wejrzenie zacnej i pracowitej żony — był to teraz bezmiar szczęścia, oceniony na wagę wartości bytu koniecznością rozłąki. Zostawić wszystko, co kochał, i podążyć w niewiadome, wyglądające z ciemnej masy chłodnych wód— jaka zgroza!...

Więc jeszcze odkładał moment egzekucji...

Pragnął ujrzeć po raz ostatni słońce...

Niech wzejdzie! — gdy poprzez chmury na wschodzie strzeli pierwszy promień dnia, gdy pierwsza jaskółka śmignie nad jeziorem — wtedy skoczy w otchłań. Musi pożegnać się ze słońcem i z ptakiem przed nocą wieczystą...

Z oddali doszły pierwsze gwizdki syren fabrycznych, wiatr doniósł jakieś dźwięki — szli ludzie do roboty, rozmawiali — potem krzyki: to roznosiciele biegli ze świeżemi dziennikami, obwołując ich nazwy...

„*Morning Post*“.... „*Morning Post*“!... — zahuczało gdzieś w pobliżu. Odwrócił się... wiatr wyrwał biegnącemu chłopcu numer gazety i poniósł nad jezioro...

Co to?!...

Już strzela pierwszy promień świtu — już pierwsza jaskółka musnęła skrzydłami tuż przed nim szybę wód...

Pora! pora! — nie ociągaj się, leniwcze!

Więc przykląkł na pomoście — wysadził głowę pod poręczą — przechylał się całym ciężarem ciała — stoczy się zaraz... w odmęt...

Wtem przed oczyma jego zajaśniała papierowa płachta: — kołysał się na wodzie, zatrzymany między burtą łodzi i słupem, podpierającym pomost, numer wielkiego dziennika „Morning Post“. Było już tak jasno, że mógł rozeznać litery drukowane na pierwszej karcie, jakkolwiek zlekka zalewała je woda. Oczywiście tylko te duże litery tytułowe, któ-

remi opowiada się wielkie wypadki świata i nadzwyczajne sensacje doby ubiegłej...

Pochylony czytał przez szkło wód:

Zabójstwo kasjera „Germanji"
Augusta Szylinga.

W mgnieniu oka sięgnął ręką ku powierzchni jeziora — porwał dziennik — czytał:

„*Nocy wczorajszej na odcinku kolei Brown-Pacific na północnej stronie miasta nieopodal od budki Nr. 213 znaleziono na plancie zwłoki zmiażdżonego przez lokomotywę człowieka. Jakkolwiek zmasakrowana przez koła twarz stanowiła masę, nie pozwalającą rozeznać rysów nieszczęśliwego, z dokumentu osobistego i wydartego z palta paska z napisem, zdołano ustalić niewątpliwie, że zmarły był kasjerem banku „Germanja" w Nowym Orleanie i nazywał się August Szyling.* Poszarpana w wielu miejscach odzież, zadrapania na rękach, kurczowo zaciśnięty w dłoni zegarek, leżący tuż opróżniony portfel i charakterystyczne ślady na piaskach plantu obok miejsca katastrofy wyraźnie wskazują, że Szyling padł ofiarą walki z bandydatami prawdopodobnie w obronie powierzonej mu własności, gdyż znaleziono w kieszeni jego odnośną specyfikację papierów wartościowych — tych zaś i wogóle żadnej gotówki nie było. Bandyci oszołomionego ciosem pchnęli pod koła pociągu i sami z łupem zbiegli!"

Tak brzmiała notatka. W danych warunkach była wywodem logicznym. Któż mógł wiedzieć np. że towarzysze Czarnego Billa, zaniepokojeni jego nieobecnością, powrócili i w żałości oporządzili kieszenie zmarłego, nie zdoławszy jeno wydrzeć ze stężałej dłoni zegarka, czy też umknęli, zasłyszawszy kroki dróżnika?... Kto mógł przeniknąć prawdę pozbawionej ludzkiego wyrazu krwawej masy, przedstawiającej niedawno twarz ludzką, i rozeznać pomiędzy mordercą i ofiarą...

Prawda, czy nieprawda — wszystko jedno!... August Szyling podniósł oczy dziękczynnie ku niebu... I odetchnął głęboko, z ulgą...

Bóg ocalał go!... Pokrywał tajemnicą jego błąd — zacierał hańbę przed oczyma ludzi...

Pozwalał mu żyć — dla pokuty!

ROZDZIAŁ XIX.

Zatrzymany zegar.

Wieść tragiczną rozniosły po śmierci dzienniki... Zapukała w drzwi domku rodziny Szylinga. Zdruzgotała w jednej chwili szczęście rodzinne...

Pani Szylingowa była kobietą mężną. Musiała pamiętać, że jest matką sześciorga sierot. Z tą cichą pokorą, która odznacza dusze dostojne — przyjęła cios, nie dający się odwrócić. Wdławiła ból na dno serca — odłożyła łzy na noce samotne, bezsenne...

Z twarzą bladą, jakoby wykutą z marmuru dłutem niemej boleści, stąpała po pokojach. Nie było funduszów, aby sprowadzić ciało. Nie znalazła się też na pogrzebie — o nakazie pochowania ofiary zbrodni na miejscu z rozporządzenia władz Chicago dowiedziała się w sam dzień pogrzebu, gdyż nikt nie miał odwagi wcześniej donieść jej o tragicznej śmierci męża. Dopiero sąsiadka w tym dniu ostatecznym, po kilku słowach przygotowania, zwróciła jej uwagę na fatalny numer gazety, odłożony na

biurku męża pod opaską. Czyż miała czas na czytanie pism?...

Więc w trzy dni po katastrofie, w niedzielę fatalną, gdy doszła do niej wiadomość, przekreślająca jej szczęście — urządziła nieboszczykowi w domu pogrzeb symboliczny..-

Sześcioro sierot zgromadziło się przed portretem ojca, spowitym w krepę, ustawionym w wielkich ramach, w oświetleniu mnogich świec — świateł zadusznych. Przybrane odświętnie dzieci śledziły stroskanemi w odczuciu powagi chwili i zatrwożonemi oczyma matkę, tak dziwnie wyglądającą — odzianą w czarne szaty, przyciskającą chustkę do ust i oczu, milczącą, stąpającą majestatycznie, przybierającą dziwne ruchy.

Oto zasłoniła wielką ciemną płachtą zwierciadło w salonie...

Oto zatrzymała wskazówki wielkiego zegara, wiszącego nad półkami, na których mnóstwo drobiazgów świadczyło o darzącej ręce zmarłego.

— Mamo! dlaczego zegar nie może chodzić? — spytała Erna.

— Bo tatuś dziś legł w ziemię na odpoczynek wieczny... Dzieci! tatuś już nigdy do was nie wróci!

Karol August wybuchnął płaczem.

Mały Fryc ozwał się z gniewem:

— To nieplawda!... Nie placz, Kalolek!... Tatuś chodzi... Tatuś wlóci!...

CZĘŚĆ III.

POKUTA.

ROZDZIAŁ XX.

Na tułaczce.

Lata biegły...

Raczej — wlokły się okrutnie...

Czem bowiem jest czas poza człowiekiem, który go odczuwa...?

Godzina — dzień cały — jest przeskokiem barwnego motyla z kwiatka na kwiatek sąsiedni dla tych oto dzieci szczęśliwych, całą duszą oddanych zabawie w pięknym parku śródmiejskim...

A minuta — kwadrans — bywa pełzaniem ohydnego gadu bezkresnej nudy na pustyni niedoli bez końca, czemś, co wlecze się sennie, potwornie długo — dla kogoś, co cierpi, co już nie ma przed sobą nic — żadnego celu, żadnej nadziei!... Jeno śmierć, która złośliwie ociąga się z przyjściem...

I z takich chwil, bezbarwnie dłużących się, splatają się całe lata dla kogoś...

Ot, dla tego starca, który w tym-że parku idzie zgarbiony, w wytartej odzieży, w wykoszlawionych butach, okryty kurzem, ze zbielałą brodą... I oczyma zagasłemi pod siwizną powiek pogląda na piaski alei — przystając, gdy ujrzy jakiś papierek na ziemi... Ma w ręku kostur — zakończony ostrzem — nakłuwa na nie napotkany papier i składa do fartucha, którym przepasał się, jak worem...

On nie widzi nieba... musi baczyć uważnie na ziemię, na której szuka śmieci. Gdy fartuch jest przepełniony, człowiek ten dochodzi do drewnianej skrzyni, stojącej na skrzyżowaniu ścieżek, podnosi pokrywę, zsypuje śmiecie... I znów podąża w swoją uciążliwą drogę... Człowiek-śmieć do zbierania śmieci!

Czasem usiądzie na ławce, aby wytchnąć na chwilę... Nie podnosi głowy ku niebu, bo wiek i praca zgarbiły go okrutnie, albo może jakieś wspomnienie z przeszłości odjęło mu prawo dumnego prostowania postaci... I uczyniło go starszym o wiele od jego lat — męka życia! Siadł... czy słucha wesołych krzyków dzieci, bawiących się w gry na placu pobliskim? — może przypomina podobne krzyki radosne własnych dziatek, które pieścił ongi na kolanach? A może już nic nie słyszy?...

Bo oto już wstał...

I idzie dalej... dalej od gwaru dziecięcego... i ślepi matowemi oczyma po ziemi... Ot, tam znowu szmata, którą trzeba podebrać...

Bo i w tem zajęciu należy być sprawnym... nie

można go zaniedbywać... Znalazł to stanowisko cudem...

Ulitował się nad głodnym bezdomnym włóczęgą jakiś ogrodnik i wyjednał mu urząd swego pomocnika... Ale zapowiedział, że administracja parku jest surowa... i lada niedbalstwo może sprawić, że go oddalą...

Od lat kilkunastu pełni swoją służbę... Wziął się do niej, gdy wychudł z głodu, jak szkielet, gdy przywlókł się do jakiegoś obcego miasta na północy Stanów, uciekając przed... samym sobą...

Stara się utrzymać na miejscu... być potrzebnym!...

Człowiek-śmieć, który zbiera śmiecie...

. . . . . .

Tem stał się August Szyling...

Upiór dawnego kasjera banku „Germanja".

Wie, że jest człowiekiem niepotrzebnym...

Ale żyje... przez inercję!

Czeka, aż Pan Bóg powoła go do siebie...

Człowiek-śmieć, który zbiera śmiecie!

ROZDZIAŁ XXI.

Krzyk z muru.

Był w St. Paul... Przybył tutaj z dróg tułaczych, z nieznanego gościńca, na którym znalazł się pewnego dnia w towarzystwie żebraka-ślepca po wyjściu z wrót Chicago... Przebył tyfus głodowy... Ocaliła go od śmierci dobroć starej kobiety, żony ogrodnika, który znalazł go pewnej nocy omdlałego na ławce parku... Dali mu przytułek. Baba leczyła go jakiemiś ziołami. Cudem wylizał się z choroby.

Czy wiedział, że znajduje się w St. Paul. Może i tego nie wiedział. O nic nie pytał. Zda się, o niczem wiedzieć ne chciał... Może choroba odjęła mu pamięć, gdyż zapytywany przez przygodnych opiekunów o swoją przeszłość, zacinał się w milczeniu. Jeno ręką machał, odpowiadając: „Zapomniałem"...

— Jak się nazywasz?

— Zapomniałem...

— Masz żonę... dzieci?...

— Miałem...

— Gdzie?

— Już nie pamiętam... Dobrzy ludzie!... nie pytajcie... Ot, głowa boli...

Czy naprawdę wygasły w nim wszystkie wspomnienia? Może i nie wszystkie... Ale bodaj zakazał sobie pamiętać... W tem była jego skrucha i pokuta. Wiedział jedno: nie wolno mu wrócić do przeszłości, a przeto należało zrzec się nawet pokusy wspomnień. Wypadało natężyć wolę, aby zabić w sobie dawnego Augusta Szylinga. Bo tamten był symbolem hańby... Umarł!... Uwierzył w to świat... Nie należało pogrzebanego przez ludzi — wskrzeszać... Tedy nie pozwolił sobie nawet na ulgę spowiedzi przed kimkolwiek. Żył samotny ze swoją tajemnicą.

Ale jakkolwiek był małomówny, nieomal milczący, smutny i zamknięty w sobie — było w jego oczach tyle łagodności i pokory, tyle staranności w wykonywaniu zajęć, taka skromność w potrzebach, że nie tylko nie zawadzał swoim gospodarzom, u których kątem zamieszkał, ale obudził w nich wiele sympatji. Była to para ludzi również cichych, prostaków, poprzestających na małem, nadto postarzałych, steranych pracą. Babina polubiła towarzysza, który starał się wyręczyć jej męża w obowiązkach dozoru nad czystością i porządkiem w parku, a pełnił za siebie i za niego dyżury; zaś temu ostatniemu chodziło przedewszystkiem o to, aby mógł się wyspać dłużej.

Czasami stary ogrodnik próbował filozofować; rozgadywał się nagle.

— Teraz oczy mi nie dopisują. Ale dawniej czytałem. A wy czytaliście? — zwrócił się do swego bezimiennego lokatora.

— Nie! — odpowiedział krótko Szyling.

— Nie macie czego żałować! Na miljon ludzi jeden człowiek pamięta dzisiaj to, co wczoraj przeczytał w gazecie. A książek, które czytało się w dzieciństwie, nie pamięta się za młodu... To zaś, co się czyta w wieku dojrzałym, zapomina się w starości. Czytanie jest niepotrzebne!... Przytem, im więcej świat czyta, tem bardziej grzeszy. Nieprawdaż?

— Może... nie wiem! — bąkał w odpowiedzi Szyling.

— Jestem pewny... Ot, wy nie czytacie wcale... i z pewnością nie grzeszyliście wiele...

— Owszem... raz jeden...

Stara dozorczyni, gotowała strawę, zdziwiona spojrzała na swego lokatora.

— Raz jeden?... To tyle, co nic... Zapomnieliście wszystko, a ot! chce się wam pamiętać o jednym grzechu...

— Wystarcza raz jeden zgrzeszyć przeciw moralności... — odparł Szyling, powstając. Przepraszam, muszę iść na dyżur.

Po jego odejściu rzekł dozorca:

— To bardzo poczciwy człowiek... Ale zdaje się, bardzo głupi... Jestem pewny, że i ten raz jeden uroił sobie... Pewnie jakie głupstwo... Nawet nie warto pytać, co to było...

Odwrócił się do ściany... Ale nie mógł zasnąć.

Przeszedł był w życiu wiele; imał się mnóstwa zawodów. Nagle przypomniały mu się czasy, gdy był sługą w pewnym domu o charakterze wcale niedwuznacznym... Iluż widział grzeszników z wesołemi minami... A ten jego lokator tak uroczyście powiedział: „zgrzeszyłem raz jeden przeciw moralności!“

— To jakiś bzik! — zwrócił się nagle do żony.

— Już to dawno pomyślałam — odparła. Ale żal mi go... bo jest poczciwy.

. . . . . .

Sprzedawczyni wiktuałów, dzierżawiąca bufet w parku, a nadto utrzymująca sklep w sąsiedztwie z parkiem, osoba energiczna i marząca o rozszerzeniu swego interesu dla dobra kupy dzieciaków, prosiła dozorczynię o zarekomendowanie jej człowieka statecznego, na którym można byłoby polegać, że nie okradnie — chciałaby mu powierzyć roznoszenie pieczonych kasztanów w dzielnicy parkowej.

— A ot, weźcie... naszego lokatora. Was nie ograbi, a dla siebie coś zarobi. Żal patrzeć na niego... taki biedak!

— Owszem... Przyślijcie mi go jutro...

August Szyling przyjął propozycję bez słowa. Powiedziano mu: „będziesz nosił kasztany“ — była zima; w tej porze w parku nie było prawie roboty; miał więc dość czasu wolnego. Dlaczego nie miałby się zgodzić?...

Tedy został roznosicielem pieczonych kasztanów...

Sprawiał się dobrze. Bodaj poczciwą twarzą ściągał najbardziej klientelę. Sprzedawał wiele, bo i to-

war był wyśmienity. Pracodawczyni, dla zachęty, wynagradzała go aż 3% od sumy przyniesionej. Uznawała to za wysoką nagrodę. On zaś rad był, że mógł swojej opiekunce płacić za kąt i ulżyć dodatkowym dochodem jej troskom gospodarczym.

. . . . . .

Pewnego dnia, gdy szedł ze swoją przenośną ladą przez ulicę, ujrzał na bruku cygaro — właściwie połówkę cygara, upuszczoną przez rozrzutnego przechodnia. Rozrzutnego, albowiem on, Szyling nachylił się, aby podnieść ten skarb — niedopałek i skrzętnie schować do starej metalowej cygarniczki... Ocalała ona z dawnej przeszłości — stanowiła więź wspomnień pomiędzy dawnemi i nowemi laty... Zresztą zrzadka służyła mu obecnie, bo nie było co w niej przechowywać...

Ale znalazł się niedopałek... I w Auguście Szylingu — toć człowiek jest słabem stworzeniem — obudził się dawny smakosz dymu tytoniowego. Podniósł rzecz cenną z bruku — schował do cygarniczki — wypali wieczorem...

A gdy zatrzymał się, chowając swój skarb przygodny do kieszeni, nagle oczy jego padły na oboczną ścianę, na której naklejony był olbrzymi afisz...

Coś uderzyło go... Aż przetarł oczy — nie wierzył! Przeczytał nazwisko, wydrukowane sążnistemi literami...

AUGUST SZYLING.

Kto go wzywa z muru?!

Wszakże jest nieboszczykiem! A umarli nie powstają!

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, czytał dalej.

Afisz donosił o występach znakomitego skrzypka Augusta Karola Szylinga, wirtuoza, którego porównywano z Paganinim i Sarasatem. Tak głosiły drukowane na spodzie afisza cytaty z wielu wybitnych dzienników, wychodzących w znacznych miastach Stanów Zjednoczonych. Opinje New-Yorku, Filadelfji, Chicago, Waszyngtonu, Detroit i t. d., zlewały się w jeden chór pochwał... Zapowiadano tylko jeden koncert w St. Paul, urządzony przejazdem przez mistrza tonów na specjalne zaproszenie zarządu miasta. Albowiem wirtuoz, syt chwały, powraca do domu z artystycznej wycieczki i — jak kończyła się zapowiedź — oddaje całkowity dochód na cel dobroczynny dla pogorzelców ostatniego wielkiego pożaru w robotniczej dzielnicy St. Paul.

August Szyling czytał raz — drugi — trzeci... Czytał wielokrotnie, gdyż nie mógł zrozumieć odrazu, o co chodzi — tak serce tłukło się wzruszeniem w piersi starca. Czytał potem jeszcze wiele razy... ponieważ już zrozumiał. Jego syn — jego Karolek August — jest „mistrzem tonów“ — jest wielbiony, kochany, dobry, bogaty — z pewnością bogaty, skoro może służyć nędzy!...

Wprawdzie nędzarze zwykle mogą liczyć tylko na pomoc ubogich. Toć on, Szyling, znalazł pomoc jeno u biedaków. Ale wirtuoz, którego sławią wielkie pisma amerykańskie, w każdym razie nie cierpi nie-

dostatku... Więc i matce jego i rodzeństwu musi powodzić się dobrze...

Starzec oddychał — po raz pierwszy po wielu latach twarz jego rozpromieniła się uśmiechem — a raczej uśmiech przebił zastygłą na twarzy skorupę smutku. Dotąd August Szyling nie śmiał dowiadywać się o los tych, których musiał porzucić, tracąc prawo do imienia swego, do czci ludzkiej, do stanowiska. Nie mógł nic dla nich uczynić — bał się dowiedzieć o mierze krzywdy, jaką im wyrządził... Był to może egoizm — ale okupiony mistyczną wiarą w to, że Bóg rozciągnie opiekę nad jego żoną i dziećmi, skoro on w zapomnieniu będzie odbywał pokutę... Pocóżby inaczej pozwolił mu żyć, gdy życie jego stało się niepotrzebne głowom najdroższym?!

I oto wiara jego dopełniła się — mówił o tem wielkiemi literami różowy afisz... Z jego koloru biła radość...

. . . . . .

Mur krzyczał triumfem jego krwi...

Karolek, w którego talent wierzył, jest gwiazdą muzyczną... To był jednak owoc zabiegów jego pracy ojcowskiej... dobre dzieło jego przeszłości!

Starzec drżącą ręką jął liczyć monety w swoim woreczku, zarobek tygodnia. Obliczył... 3% stanowi 70 szylingów — sumkę dość pokaźną, albowiem wystarczała na bilet 1-go rzędu na galerji 2-go piętra... Wyda cały swój majątek...

Ale zobaczy i posłucha swojego malca!

ROZDZIAŁ XXII

Echa kołysanki.

Przez cały wieczór trzymał się oburącz stalowej barjery, obiegającej wydłużonem półkolem galerję wspaniałego Music-Hallu, w którym odbywał się koncert. Miał wrażenie, że inaczej musiałby skoczyć wdół, na parter, między to morze głów ludzkich, poruszonych tchnieniem entuzjazmu. Doznawał zawrotu głowy — nieomal dziwił się, że podłoga nie usuwa mu się z pod drżących stóp, że wysoki malowany strop nie wali mu się na zgarbione plecy i siwą głowę. Oszałamiało go bowiem wszystko — i ta olbrzymia, efektowna sala, połyskująca srebrnemi zdobieniami na poważnem tle ciemnych ścian, i ta mnogość skupionych ludzi, wystrojonych odświętnie, jako że odwykł był od tłumu, a przedewszystkiem to, co widział na dalekiem podjum. Było tam dwóch ludzi, jeden w głębi przy fortepianie, akompanjator, drugi na przedzie sceny: skrzypek. Ostatni przyciągał jego oczy: poznawał go i nie poznawał. Nie

poznawał, bo czyż ten piękny młodzian o bladej twarzy, z rozwichrzoną czupryną, z oczyma, zwróconemi natchnieniem ku górze, w wytwornym fraku, pewną ręką subtelnie wodzący smyczkiem po strunach — mógł być jego Karolkiem Augustem, tym samym, którego pozostawił kiedyś w krótkich spodenkach, wspinającego się doń na palcach z prośbą o pocałunek ojcowski?! Lecz zarazem poznawał go, bo wiedział, że to był August Szyling *junior*, jak upewniał afisz, bo z jego muzyki szło doń jakieś ciepłe tchnienie krewniacze, bo ta czupryna była urosłą tamtą, w której zanurzał dłoń ojcowską, bo zgadywał z oddalenia błękitną barwę tych źrenic, odbijających takim czarem oryginalnym od ciemnych włosów.

Słuchał — i nie tyle sam podziwiał, ile był zdumiony czemś zgoła dlań niepojętem: tysiąc ludzi siedzi w milczeniu i przysłuchuje się grze jego chłopca— a kiedy smyczek odrywa się od strun, zrywa się burza oklasków i kolumnami sali wstrząsa krzyk chóralny: „brawo! — bis!“... I jego chłopiec kłania się i znowu gra, — a gdy następuje przerwa, wyciąga się mnóstwo klaszczących rąk i starzec słyszy naprawo i nalewo urywkowe słowa zachwytu, a wszystkie stosują się do gry jego Karolka Augusta!

On sam nie klaszcze — nie wypada! To przecie jego syn; „nie może robić mu reklamy“; jego August nie potrzebuje klaki schlebiającej ojca... Więc jeno wodzi oczyma naprawo i nalewo. I ojcowskie serce rozjaśniło twarz dumą radosną. Jego sąsiad z prawej strony tak drze się na całe gardło: „brawo!“

tak wychyla się z galerji, że nieomal wypaść może... A ten nalewo rzuca jakieś słowa niezrozumiałe: „arpeggio! pizzicato, solfeggio“ — i do każdego z tych słów dodaje: „maestro!“ — wszystko o jego synu!...

— Co on teraz gra? — pyta szeptem dama za jego plecami.

— Mozart! — odpowiada ktoś również szeptem.

Znawca z pierwszego rzędu rzuca nieznajomym...

— Ależ nie!...

I spojrzawszy na program, informuje:

— Gra własny utwór: sonatę na trzy tematy: „Miłość — Zdrada — Przebaczenie“.

. . . . . .

Słuchacz z pierwszego rzędu na galerji, starzec o srebrnych włosach, drgnął.

Kurczowo ściśnięte dłonie wsparł na balustradzie: na nich oparł siwą brodę; jego oczy wpiły się w grajka... szerzą się zgrozą, jakby chciały wyskoczyć z orbit... Jest cały we wzroku.

Mój Boże!... przebaczenie — on tego słowa tak dawno nie słyszał. Nikt mu nigdy nie przebaczył. Ani nawet on sam sobie! Nie wiedział, że miłość kobieca przebacza. Nie wierzył, że przebacza społeczność. Wiedział, że prawo karze — kara ściąga hańbę — wzgarda opinji towarzyszy tym, co odkupili winy więzieniem. Niema zapomnienia!...

Ale tony muzyki są coraz słodsze... I starcowi wydaje się, że dźwięki skrzypiec synowskich otwierają niebo, z nieba padają białe kwiaty, powietrze przesyca się tchem aromatycznym i na rozdrażnione

wspomnieniem rany jego serca leje balsam kojący... Przebaczenie!...

Oczy starego Szylinga przesłaniają się mgłą łez, sprawiających ulgę...

. . . . . .

Muzyk zniknął za kulisami... Wywołany burzą oklasków pojawił się znowu. Zapanowała cisza, śród ciszy głos od sceny:

— Teraz zagram państwu kołysankę, którą grałem często w dzieciństwie memu ojcu...

Ból słodki przepełnia całą duszę Augusta Szylinga - ojca. Ow jedyny człowiek, który nie klasnął ani razu, gdy klaskali wszyscy — który znieruchomiał, gdy tłum wyciągał ręce i zrywał się z miejsc, — czuł więcej, niż cała ta tysiącogłowa publiczność...

Któż powie, co przemyślał w tej chwili?... Może był, jak człowiek, który spada z wysokiego dachu, i błyskawicami wspomnień snuje dzieje swego żywota; w mózgu, wstrząśniętym przez upadek śmiertelny, odwracają się kartki przeszłości, ryte tajemniczemi znakami ducha!

Chwilami starzec miał wrażenie, że syn gra dla niego — że ku niemu zwraca się błękitem stęsknionych oczu — że znajduje jego obecność w tłumie... widzi jego palce, wybijające mu takt, jak ongi... Po policzkach spłynęły mu gorzkie łzy... zalały twarz całą... Wstrząsnął się łkaniem — cichem, tłumionem, jakby lękał się, że ktoś z sąsiadów odkryje tajemnicę porozumienia się jego z grajkiem... hań-

bę ojca, spadającą na głowę syna, wykrzyczy przed całym światem.

O, jakże bał się tego ucisku w piersi, który groził, iż wyrwie się rykiem rannego zwierza! Zamknął oczy, aby nie zdradzały tajnych porozumień ze skrzypkiem — usta przycisnął do zimnej stalowej poręczy — i tak zgarbiony pozostał... Zastygł...

Nie zauważył, że gra ustała — tony kołysanki jeszcze przechodziły przez wszystkie jego fibry, ale teraz pieściły kojąco słuch, chwytający echa zamilkłych tonów...

Kiedy wreszcie podniósł głowę, zdziwił się — grajka i akompanjatora nie było — scena i widownia były puste — słychać było gwar oddalających się kroków z korytarzy i przedsionków... Światła gasły...

August Szyling był jedynym „słuchaczem“ w opustoszałym i milczącym teatrze!

. . . . . .

Zerwał się!

— Boże! mój Boże! żeby tylko nie odjechał...

Miał jedną myśl — jedno pragnienie. Wszakże to jego krew... W jej pulsie odczuje przebaczenie... Syn dotknięciem ręki przebaczy mu w imieniu matki, jeśli sam jeszcze nie odkupił reszty swej winy!

Gdy zbiegał po opróżnionych schodach, drżał, że opuścił chwilę sposobności. Nawet nie zobaczy go zbliska...

Na szczęście, młody skrzypek nie odjechał jeszcze.

U podjazdu teatru zatrzymała go garstka zaciekłych wielbicieli — otoczyła — darzyła kwiatami — podsuwała mu albumy z prośbą o autograf.

Uśmiechnięty, szczęśliwy mistrz tonów nie odmawiał nikomu — brał podane mu notatniki i ołówki i wpisywał swoje nazwisko... Nareszcie wydobył się z kółka entuzjastek — i wsiadł do oczekującego nań auta — a jeszcze garść wielbicieli otoczyła samochód, wydając na cześć znakomitego gościa pożegnalne okrzyki: „Wiwat August Szyling!“

Starzec przecisnął się przez gromadkę zapalnej młodzieży — przywarł twarzą do szyby samochodu — i patrzył, patrzył, patrzył, nie mogąc nasycić oczu widokiem syna, nie będąc w stanie ozwać się...

Muzyk zauważył tę twarz zbiedzoną, a promienną, nędzę odzieży a szanowną siwiznę, to korne prostactwo a oczy zachwytne...

Coś drgnęło w podświadomych głębinach jego duszy, ale nie zdołało wydrzeć się na jaśń świadomości. Jeno zastygło w zakłopotaniu myśli: „żebrak, czy... oryginalny wielbiciel?“...

Nie miał czasu rozważyć zagadki, bo już samochód gwizdem dawał znak, że ruszał. Jeszcze zdążył sięgnąć do kieszeni, znalazł w niej jedyną monetę — był to cenny brazylijski pieniądz srebrny, dar zbieracza monet — nie chciał już cofnąć się: wychylił się przez otwarte okno auta i wcisnął w dłoń starca swój dar.

— To nie jałmużna, to... pamiątka! — zakrzyknął jakby chcąc się usprawiedliwić...

I samochód ruszył...

. . . . . .

Rezeszli się wszyscy...

Starzec obejrzał się śród mroków wąskiej uliczki, na którą wychodził boczny podjazd teatru.

Pod murem Music-Hallu siedział woźny teatralny i pykał fajkę.

— Czy pan nie wie, gdzie mieszka... ten skrzypek?... Pewnie w hotelu?

Woźny skrzywił wzgardliwie usta.

— Juźci wiem, ale nie powiem... Czy nie wyżebrałeś dość?... Chcecie dojeść mu jeszcze!... Ot, natrętny próżniak!...

Splunął. Szyling spojrzał na monetę, jeszcze popieścił ją w dłoni, jeszcze podniósł do ust — potem zbliżył się i położył pieniądz na ręku dozorcy.

— To nie to — bąkał... To nie to... Ja tylko chcę go widzieć... Powiedźcie mi...

Obdarzony zdziwił się, chrząknął, monetę schował do kieszeni.

— To rozumiem!... Mogę powiedzieć. Nie dopędzicie go, bo pojechał na kolej... Ale wiem gdzie mieszka... O takich wielkich ludziach wie się wszystko z gazet!... Mieszka w prowincji Nowy Meksyk — w małem miasteczku Fleming, w rozkosznej willi, którą zapisał jego matce i dzieciom zmarły niedawno miljarder, dyrektor banku „Germanja“ — ponoć wielki skąpiec. Ale ruszyło go ja-

koś sumienie przed śmiercią... wedle zasług ojca Szylinga, któren został zamordowany... Zresztą nie mógł wziąć willi do grobu!... Więcej nie pisało w gazetach...

. . . . . .

August Szyling podniósł rękę ku czołu. Szepnął do siebie:

— Boże! wielki Boże!... jak to się dziwnie składa!

Fleming było to jego rodzinne miasto. Wiedział, że dyrektor „Germanji“ miał tam willę, do której jeździł na wypoczynek letni.

Szyling powracał tego wieczoru, knując w duchu postanowienie.

Uciuła trochę grosza ze swojego skromnego interesu, tyle, by nie udać się w drogę o żebranym chlebie.

Pójdzie tam... zobaczy swoich... raz jedyny!

Dotknie ręką ręki syna... nic więcej!...

Może mu powie: „żyję!“ — jemu jednemu. A potem, stanie się, co się ma stać...

Jego syn rozumie, co to jest „Przebaczenie“. Wygrał je tak cudnie na swoich skrzypcach. Może wygra je na strunach duszy matki i reszty rodzeństwa...

Może jeszcze zaświeci tułaczowi szczęście rodzinne przy schyłku życia... I oczy, proszące o sen wieczny, zamkną mu żona i dzieci!

ROZDZIAŁ XXIII

Na cmentarzu.

W miesiąc potem znalazł się w miasteczku Fleming... Przybył tu pieszo, jak pokutnik po drogach ciernistych. Trafił do rodzinnego miasta w dzień świąteczny. Tłumy pobożnych zdążały do kościołów.

Otwarte wrota kościołka, w którym modlił się, będąc dzieckiem — zaprosiły go do wnętrza pieśniami psalmów, intonowanych przez tłum.

Wszedł. Przystanął gdzieś w bocznej nawie, kryjąc się pod filarem, choć wiedział dobrze, że nikt z tych, których znał tu ongi, choćby otarł się o niego jaknajbliżej, nie zdoła go poznać. Lata zmieniły go okrutnie.

Z dawnego Augusta Szylinga, wzoru porządku, nie pozostało nic w tym wyszarzanym na tylu drogach włóczędze. Zresztą któż przypatruje się baczniej żebrakom?...

Zmilkły śpiewy. Na kazalnicy ponad głowami tłumu wyrósł pastor...

Szyling zdawna nie słyszał kazania, podobnie jak dawno nie słyszał śpiewów religijnych. Czy tak wysechł duchowo, że utracił do cna potrzebę religijną młodszego wieku i zobojętniał na głos wiary? Czy może zgorzkniał i nie wiedział, o co błagać ma niebo, które wyczerpało miarę swojej litości, obdarowując go życiem tułacza?... Czy raczej wstydził się w przekonaniu o swojej grzeszności podchodzić do Pańskiego ołtarza, przyjąwszy klątwę, jako wyrok sprawiedliwy i nieodwołalny... Dość, że od wielu lat po raz pierwszy znalazł się w świątyni...

Dziwnie zmiękło mu serce podczas gdy brzmiały śpiewy. Teraz zasłuchał się całą duszą w słowa kazania. Otwierały mu się oczy. Odludek, mieszkający śród ludzi, oderwany od życia, nie wchodzący z nikim w rozmowy, nieciekawy pism — nic nie wiedział... Katastrofa olbrzymiej wojny światowej, której huragany zmiotły miljony istnień ludzkich w starej Europie, przewiały nad oceanami, zaczepiły wichrem o Amerykę — przeszumiała zdala od niego, nie docierając wieścią do przyćmionej latami i niedolą świadomości nędzarza... Teraz słuchał mowy czcigodnego pastora i dowiadywał się rzeczy niedawnych, a straszliwych i bolesnych...

Pastor mówił o grzechu nienawiści, który trapi ludzkość, wywołując wojny między narodami, niszczy żniwo miłości ewangelicznej, sieje zniszczenie, głód, śmierć, klęski... Rozrzuca po świecie szerokim kości ludzi, pomordowanych bratniemi rękoma bliźnich...

Potem z tą rozlewnością, która cechuje wymowę duchownych, przechodził od rozradowań bieżącego święta Bożego Narodzenia do radości zmartwychwstania — do cnoty czci dla umarłych, jako opory ciągłości szlachetnego życia — do miłowania śmiertelnych szczątków bohaterów, padłych na polach bitew za matkę ziemię. Upominał się przykładem innych narodów o zbieranie składek na pomnik dla Nieznanego Żołnierza, którego prochy należy przywieźć z pobojowisk Starego Świata, jako symbol ofiary, którą zniewolona była ponieść Ameryka, gdy już prawo miecza nie dało się odwrócić z dopustu bożego za grzechy ziemi, a każdy winien był bronić sprawy, którą sercem swojem uznał za świętą i słuszną!

„Pod stropami tej świątyni — mówił pastor — ani chwaląc miecz, który powstrzymała dłoń Zbawiciela w Piotrowej ręce, ani nie zamierzając wprowadzać waśni między słuchaczami różnej narodowości, skupionymi przecie w jednej gminie, pragnę dziś oddać hołd pietyzmowi rodzin, które zwłoki drogich bohaterów, (znalazłszy odpowiedni fundusz przy pomocy Bożej), sprowadziły z Europy i pogrzebały na cmentarzyku, przytykającym do naszego kościołka...

„Zresztą bohaterstwo nie jest właściwem tylko stanowi wojennemu. Może ono przejawić się i w życiu cywilnem...“

Już od paru chwil słowa pastora ginęły... Zagłuszył je zrywający się nagle płacz kobiecy... To szlochały matki tych, co zginęli w krwawej zawierusze

i spoczęli w nieznanych mogiłach, na polach Europejskich, pod krzyżami bezimiennemi — we wspólnym dole... Zresztą płakały wszystkie matki, które straciły synów na wojnie...

Znowu doszły uszu Szylinga słowa pastora, mocniejszym wymówione głosem, jako że kazanie dobiegało końca:

„Więc matkom, które nie znają grobów swoich dzieci, należy dać do opłakiwania symboliczną mogiłę „Nieznanego żołnierza", jako że szczęśliwszym jest płacz matek, które mogą przynajmniej złożyć wieńce i łzy na mogile synów, których zwłoki rozpoznane wróciły do ziemi rodzinnej".

Na to w jednej z przednich ławek buchnął płacz kobiety...

Nim uciszył się gwałtownym wysiłkiem wstydzącej się niepohamowania swego w żalu, August Szyling usłyszał szept siedzącej przy pobliskim filarze młodej damy, zwrócony do sąsiada:

— To płacze Szylingowa, matka wielkiego muzyka.

— Gdzie?... gdzie? — zapytał sąsiad, wyciągając szyję.

— Tam w pierwszej ławce... siedzi pomiędzy córkami... A ten obok... blondynek... to właśnie on..., znakomitość naszego miasta...

— Nie!... to jego brat... Tamten z prawej strony.. mocny brunet... to on...

— A! widzę... Szkoda, że nie słyszałem go nigdy.. Mówią, że to czarodziej tonów...

. . . . . .

August Szyling nie słuchał dalej...

Zwłaszcza, że nabożeństwo zbliżało się do kresu i fala pobożnych zdążała ku głównemu wyjściu.

Przeciskał się przez tłum...

Jego bliscy byli tutaj...

Siedem drogich mu głów...

Musi zobaczyć wszystkich...

Śpieszył w obawie, że ich nie rozpozna, że zginą mu w tłoku...

Poznał! poznał!

Bo naprzód ujrzał Karola Augusta...

Prowadził on pod rękę niewiastę, w której — mimo upływu lat — postrzegł August Szyling pewne rysy, ongi tak mu miłe, tak kochane, tak bezmyślnie, bezwolnie zdradzone — tak szanowne teraz pod wymykającem się z pod kapelusza srebrnem pasmem włosów — tak bliskie a tak dalekie... Twarz Lotty była niezmiernie poważna — niejedna zmarszczka nakreśliła ślad przebytych cierpień i trosk — nie obeschły na licach świeże łzy — straciła urok młodości, lecz wiał od niej szlachetny i miły powab matrony...

Za nią szły dwie jasnowłose panienki — obie pełne uroku młodości i pogody dusz, niezmąconych przez brzydkie namiętności życia i przez uciążliwe jego walki — prześliczne, jak kwiaty lilij... Zgadywał, że to są Erna i Fryda... Dziwił się zmianie ich twarzy i postaci — i zarazem sądził, że je poznaje po jakimś ruchu nieznacznym głowy, po długich rzę-

sach, zwłaszcza po podobieństwie do matki, kiedy była młodą... I jeszcze ktoś przyłączył się w przejściu do nich... ten z milutką figlarną twarzą... Ach! to napewno Fryc!... To może być tylko Fryc!

A reszta — a inni dwaj?...

Tak chciwie szukał, odwracając głowę, że na moment stracił z oczu tamtych pięcioro.

„Widać, niema ich w kościele" — pomyślał... I znowu jął przedzierać się przez tłum... Ach! zniknęli... Zdjął go lęk okrutny... Nie! nie! — są tam... przy furtce cmentarnej... kupują wieńce... Znów powrócił doń radosny smutek...

Szedł teraz krok w krok za nimi... Nieco opodal... Wkroczyli za ogrodzenie cmentarza... Śledził ich, kryjąc się za ciżbą, która równocześnie przeciskała się przez furtkę wpobliżu wrót kościelnych, gdyż brama główna miejsca spoczynku umarłych znajdowała się dalej... Ludzie obcy rozsypali się śród mogił, poszukując swoich, śpiących pod ziemią... Tedy poszedł za pięciorgiem najbliższych mu w życiu istot, ukrywając się teraz za krzyżami i pomnikami i stąpając cicho, ostrożnie... Nie przypuszczał, aby mogli go poznać, ale nie śmiał przeszkodzić im swoją obecnością, niedyskretnem śledztwem. Czego oni tu szukali?... Może rodziców Lotty?... Wiedział, że spoczywają na tym cmentarzu. Jego rodzice, spokrewnieni z matką żony, spoczęli na sen wieczny w Nowym Orleanie, acz pochodzili z Fleminga, gdzie on się urodził... Napewno jego dziatwa niesie za przewodem matki wieńce na mogiły dziadka i babki.

I ona dzierży w ręku wianek — hołd pamiętającej o rodzicach dobrej córki.

Przystanął... tamtych pięcioro zatrzymało się przy grupie trzech grobów... Widział, że klękają na płytach kamiennych, modlą się... Dzieci złożyły wianki przy dwóch skromnych pomnikach. Matka zatrzymała się dłużej przy wielkim grobowcu, u stóp którego złożyła wielki wieniec z liści dębowych. Oczy prószyły się mu łzami... Cała ta ceremonja wydała mu się tak tajemniczą — bo i kogóż mogli oni tu uczcić? —

Już porywał się — dojść, zapytać...

Ale to był odruch niepokoju szaleńca...

Błyskawica tej myśli zagasła natychmiast, bo równocześnie spojrzał w zwierciadło, jakie tworzył przed nim czarny marmur szerokich ramion krzyża, przy którym zatrzymał się, aby nie zdradzić swego czułego śledztwa przed tamtymi. W tem czarnem lustrze ujrzał strzęp swojej twarzy — kosmyki siwych na zoranem czole włosów, zwichrzoną szarą brodę, przepastne oczy, z których wyzierała zgroza kilkunastu lat tułaczki po brukach i polach, tak posępne, tak dzikie, tak dalekie od świata pogody, obowiązku, miłości, że... o zejściu się z tamtymi nie mogło być mowy. Oni byli swoi — ale on był obcy!

Ten strzęp twarzy, w zwierciadlanem odbiciu na połyskującym czarnym marmurze krzyża, uprzytomnił mu jego mękę i to, że stał się strzępem człowieka, czemś niepotrzebnem nikomu...

Zwalił się ciężko do stóp krzyża, przywarł cicho do ziemi mogilnej — i przeczekał, aż tamtych pięcioro odeszło od grobów, wyszło za furtkę cmentarną. Nie zauważyli go, acz przeszli obok niego ledwo o parę kroków... Byli zajęci rozmową — już zwróceni ku życiu... Strzępów półśmierci nie zauważa się po drodze!...

Wtedy podniósł się i poszedł ku mogiłom, które odwiedziła rodzina...

Ostrożnie odsunął wieńce na dwóch mniejszych grobach... I dwie zagadki rozwiązały się. A oba rozwiązania były ciosem po ciosie — przeszyciem podwójnem ojcowskiego serca.

Jeden napis na tablicy kamiennej zaświadczył o zgonie na polu chwały, w obronie ojczyzny w roku 1918 nad Marną jego 21-letniego syna Wilhelma, oficera armji U. S. A. Była mowa o krzyżach zasługi...

Łzy ćmiły mu oczy — nie mógł doczytać — nie pytał o rangę — dźwigał się ociężale, tłoczony bólem, aby sięgnąć drżącą ręką do wieńców drugiego grobu, odsłonić drugi napis. Ten powiadomił go, że drugi syn, Henryk Stefan, w kwiecie wieku mając lat 19, zginął, jako lotnik, czasu tejże wojny w r. 1917 w bohaterskiej walce...

— Willy i Stefanek!... już ich niema... niema... niema...

Jego oczy płakały bez łez...

Ale co to za trzeci pomnik?... Wspaniały, imponu-

jący wysokością i pięknym kształtem czerwonego granitu... Przy nim złożyła wieniec żona...

Wszakże zostało czworo dzieci i żona...

Któż więc leży tutaj?... Zgadywał: „Dobroczyńca rodziny... dyrektor banku „Germania“...

Przydreptał ciężko, bo nogi zbolałe długą pielgrzymką wielu dni i uderzeniem w całą istotę dwóch strat, odmawiały posłuszeństwa — i ślepił zamglonemi oczyma napis...

Przeczytał!... Piorun uderza nie tak okrutnie — zabija, lub pozbawia świadomości... Ale tu nastąpiło ogłuszenie, związane ze świadomością, w której zmieszało się wszystko: hańba i cześć, miłość i wstyd bezgraniczny, boleść i ohyda, życie i śmierć, związane najokrutniejszą, bezwiedną drwiną z prawdy!...

Napis na pomniku powiadał:

Tu spoczywa ur. dn. 8 marca 1862 w m. Fleming
ś. p. August Szyling
kasjer banku „Germanja“,
który, wierny obowiązkom,
zmarł śmiercią bohaterską
w obronie powierzonego mu majątku
w dn. 24 marca 1902 roku w Chicago.

Dalej nie mogła iść potworność ironji losu...

Żona składała wieniec czci bandycie, który nastawał na jego żywot — zwłoki łotra poleciła sprowa-

dzić na ten odległy cmentarz tak samo, jako święte prochy obu bohaterskich synów — ofiarując na ten cel może ciężkie oszczędności, lub fundusz, zapracowany talentem, ale i nieustanną pracą najstarszego syna.

On, August Szyling, stał żywy przy rzekomym grobie własnym... A napis wielkiej miłości i czci skazywał go już nieodwołalnie na śmierć cywilną, potwierdzał wyrok, który on sam wydał na siebie — bo zamykał mu prawo do łaski. Jak pokazać żywe oczy bezwstydne, gdy w pamięci żony i dzieci i w opinji bliźnich jest się uczciwym i umiłowanym bohaterem obowiązku?!

August Szyling już nigdy nie będzie mógł podnieść się z prochu zapomnienia.

Bandyta, który zajął jego miejsce, padłszy z jego ręki — jakkolwiek słusznie poniósł śmierć — mścił się swego utraconego żywota, zamykając mu drogi powrotu do życia w słońcu...

He! he! he! — śmiał się Szyling, uciekając z cmentarza.

Ale przy furtce przystanął.

Olśniła go błyskawica myśli:

— Nie!... ten bandyta, który zajął jego miejsce w grobie i odbierał hołd pośmiertny — mimowoli, z rozkazu Boga, zachował mu cześć pośmiertną i miłość w sercach jego rodziny — nieskażone imię po zgonie...

Pomnik Augusta Szylinga za życia był kamienną

maską, kryjącą jego hańbę i błąd — czynił go tedy godnym nazawsze uczuć szacunku i miłości, którym lekkomyślnie uchybił, stawiał go, jako wzór ideału, żywiącego przyszłość dzieci: — „Niepotrzebnego człowieka“, który już tylko wegetował, zmieniał w wizję świętości, żywą w sercach potomków i ogółu!

ROZDZIAŁ XXIV.

Półbohater podnosi się do szczytu bohaterstwa.

August Szyling postanowił nie wyjść z zapomnienia.

Był to człowiek mały, maleńki. Zapewne on sam nigdy inaczej nie sądził o sobie.

Ale czy był naprawdę tak bardzo zwyczajny? Zwyczajni ludzie powracają z drobnej eskapady, której powszedniość tylko przypadek zabarwił tragicznie — z łatwem kłamstwem na ustach. „Cudzołóstwo mężczyzny“ to wcale nie brzmi tak poważnie, zwłaszcza w czasach, kiedy traci powagę nawet „cudzołóstwo kobiety!“ Kradzież? — roztrwonienie drobnej sumy, bodaj nie domagające się kary więzienia, gdyż dające się łatwo pokryć. A nawet w najgorszym razie utrata stanowiska i więzienie są to rzeczy, które znoszą się w życiu tysiąc razy z wszystkiemi przykremi konsekwencjami dla siebie i rodzin, podobnie jak łatwo wybaczają się zdrady mężowskie! Kłamstwo sprytnych, czy wyznanie na-

iwnych — to są właśnie rzeczy powszednie. A mord! — gdzież tu był mord wobec koniecznej obrony?... August Szyling, potępiwszy siebie, wiążąc stratę w jeden łańcuch z winą, rozumował, jak zbyt prawdomówny głuptas...

Może raczej wydałby się bohaterem sobie i pewnym odłamom nowej opinji, gdyby powrócił z czołem podniesionem ze swojej wycieczki do Chicago i rzekł: „Cudzołóstwo? — któż mówi o drobiazgach!... Głupie baby, z których przesądami liczyć się nie warto! Kradzież? — to własność jest kradzieżą! Mord? — kwestja walki o byt; przelew krwi jest drogą postępu! Zabici się nie liczą; zwycięzca ma zawsze prawo do hołdów!...."

Może tak wygląda dzisiaj bohaterstwo „bezprzesądne"?

Albo był też inny sposób przecięcia węzła, którego tragizm przeceniała poczciwa duszyczka małego Szylinga — samobójstwo!... Kto splamił swój honor, jeszcze zasłuży na cześć, jako odważny sędzia swego błędu — zwycięzca nad instynktem samozachowawczym. Przeżyć krach życia tak, jak to uczynił Szyling — byłoby więc podłością wobec bohaterskiej pozy samobójcy... Czyż tak?

A jednak... nie bywa-ż samobójstwo li oskokiem tchórzostwa, niemocą przyjęcia męki, pokuty, odpowiedzialności, ucieczką z pustyni dla tych, którym nie stało już żadnego bóstwa, żadnego ideału — odruchem bankruta, lub gestem chwilowego szału, nie mającym nic wspólnego z rozmysłem i odwagą?

Bezczelność, która usprawiedliwia egoistycznie własne czyny i urąga dziecinadzie lękliwego sumienia, mówiącego: „zgrzeszyłem!“, jest jeno znacznie powszedniejszą, niż załatwienie rachunków z obowiązkami względem żyjących przez skrycie się pod ziemię w beztrosce śmierci! Natomiast wyjście Szylinga z dramatu swego życia — jest w istocie zgoła niepowszednie, znamionuje duszę niezwykłą pod pozorami małości — jest męczeństwem świętego, który narodził się z grzesznika, jakkolwiek było naiwnem i przypominało li wzory średniowiecza. Ostatecznie był... półbohaterem!

Śmiesznym? — tak! dla ludzi, którzy potrafią tylko śmiać się..

Jego tragedja może godna jest śmiechu... przez łzy!... Człowiek maleńki urósł w cierpieniu... Człowiek „niepotrzebny“ stał się piękny...

. . . . . .

August Szyling postanowił odejść...

Lecz jeszcze przedtem chciał raz jeden spojrzeć na szczęście swoich... Zabrać ich nowe obrazy w sercu na dalsze drogi tułactwa, którego kres znajdzie się u wrót śmierci...

Napotkał listonosza. Spytał o dom skrzypka Szylinga.

— Trafiliście dobrze z tem zapytaniem! — odparł ów. Właśnie idę tam... Mam zanieść ten pakiet... Możecie iść za mną!...

Było to powiedziane przyjaźnie. ...Ale wskazywało jeszcze raz dobitnie Szylingowi, czem jest.

Wolno mu wlec się z tyłu za pełnym godności listonoszem...

. . . . . , ,

Szyling ujrzał piękną willę, do której zapukał listonosz...

Otworzyła służąca — na progu ukazał się Karol August. Przyjął pakiet — duże pudło.

— Doskonale!... — zawołał wesoło.

I zwrócił się do służącej:

— Oddasz to pani, kiedy będzie zapalona choinka...

Potem listonoszowi wręczył napiwek...

Ponieważ drzwi były otwarte, Szyling, ukryty za węgłem domu, dosłyszał powyższe słowa.

Postanowił doczekać się zmierzchu.

Narazie odszedł i błąkał się w sąsiednich uliczkach i okolnych polach, zasłanych śniegiem, chuchając w ręce, lub zakładając je w rękawy. Albowiem mróz krzepł...

Zapadł wieczór świąteczny...

Uroczysty wieczór Bożego Narodzenia...

W domu Szylingów dziewczęta zapaliły świeczki na przystrojonej mile choince. Z okien saloniku biły przez szyby światła lamp elektrycznych i czerwone refleksy kolorowych latarenek choinki...

August Szyling widział zapalające się światła... Już od chwili, gdy zrobiło się ciemno, obszedł dom kilkakrotnie, poszukując sposobu wejrzenia w jego miłe sekrety rodzinne. Okna salonu wychodziły na

uliczkę, która była w tej chwili pusta. Ci wszyscy, którzy posiadali dom, podobnie jak rodzina Szylinga, przyjmowali moment uroczysty narodzin pierwszej gwiazdki, zwiastującej po raz blisko dwutysięczny radosną nowinę Ewangelji — w mieszkaniu, w kole bliskich, w cieple przytulnem kominka, w radosnym blasku lamp...

Tedy przez cichą i pustą uliczkę łatwo było zakraść się nieznacznie pod okna domu... Mieściły się na parterze, niewysoko...

I August Szyling — zziębnięty do szpiku kości, zmarznięty, z posiniałą na mrozie twarzą — miał możność zapomnieć o chłodzie i uczestniczyć w radościach swojej rodziny oczyma, przywarłemi do okien salonu od zewnątrz...

W istocie zapomniał o sobie!

To, co widział, było tak piękne...

Matka rozwiązała z opakowania wielkie pudło, odczytawszy na niem adres domu. Odrzucała całe arkusze bibuły, roześmiana, zdziwiona, przeczuwająca jakiś żart, figiel niewiadomej ręki, z pewnością przyjemny...

Ukazało się z pod opakowań nowe pudełko. Widocznie nosiło na pokrywie adres jednej z córek...

— „Frydy", rozstrzygnął za oknem Szyling — bo pudełko śród śmiechu wszystkich członków rodziny przewędrowało do jej rąk... Lecz gdy je otwarła — nowy zawód — nowe masy arkuszy, rozwijanych niecierpliwie i odrzucanych przez ciekawość, co mieści się wewnątrz... Zjawiło się nowe pudełko . .

oczywiście znów mniejsze... I nowy na pokrywce adres: Erna!

To samo powtórzyło się jeszcze dwakroć... Pudełko przeszło w ręce Fryca, który już pewien był, że do niego stosuje się ostatecznie dar. Ale po odrzuceniu mnóstwa opakowań nareszcie ukazało się maleńkie pudełko — to znalazło się w rękach matki i ujawniło skarb: jakąś piękną broszę...

Pięć twarzy promieniało weselem... Szyling z figlarnej twarzy Karola Augusta i wdzięcznego wzroku matki odgadywał trafnie, że darcą był skrzypek, jako najlepiej zarabiający z członków rodziny. Przyjemność, którą uczynił matce, przejednała niezwłocznie wszystkich zawiedzionych niewinnym żartem z ich chciwości wobec prezentu.

August Szyling bawił się za oknem figlem swego ulubieńca...

Naraz w progu zjawiła się służąca...

Wszyscy w salonie powstali.

Czuły „szpieg" zrozumiał, że rodzina udaje się do jadalni na wieczerzę...

Obszedł dom... Teraz jaśniały dwa okna, które uprzednio były ciemne. To napewno okna jadalni!

Te były również parterowe... Ale mieściły się od strony innego zaułka, gdzie bruk położony był niżej murowanego obszycia domu... Zaułek był ślepy — były tu nagromadzone jakieś beczki i skrzynie, należące widocznie do właściciela sąsiedniego składu, którego wrota były zamknięte. Beczki i skrzynie były puste...

Szyling wyszukał jakąś większą skrzynię... Przyniósł ją pod okno jadalni... Stanął na niej—i obserwował... Nie było łatwo stąd podglądać...

Rankiem wichura zaśnieżyła okno — szyba częściowo zamarzła... Teraz znowu zerwała się śnieżyca — biła w szyby i zasypywała mokremi płatkami oczy Szylinga...

Zziębłemi palcami, przecie górując radosną ciekawością nad cierpieniem z powodu zimna, przeniósł skrzynkę pod okno sąsiednie... Tu szyba była zaśnieżona tylko na spodzie półkręgiem...

I ojcowskie serce zabiło rozkoszą udziału w wieczerzy rodzinnej — przez szkło i śnieżycę.

August Karol stał u wyższego brzegu stołu — jakoby na tem miejscu, które on zwykł zajmować z przywileju głowy rodziny — trzymał w ręku Biblję ojcowską... (widz za oknem wiedział, że to jest, być musi ta sama Biblja) — pani Augustowa zwyczajem swoim pochyliła głowę i złożyła ręce—reszta dzieci (ach! było ich teraz tylko troje prócz czytającego) miała twarze skupione, pobożne...

Puls rodziny, którą stworzył i którą kierował, nie zatrzymał się tedy i bił równo — tak, jak on chciał — uczciwie i szczęśliwie... Czegóż więcej było mu trzeba?! Zatem swoje zadanie życiowe ongi „potrzebny człowiek“ wypełnił według najlepszego swego rozumienia... Teraz mógł odejść, jako „niepotrzebny“...

. . . . . .

Wtem gwizd przeciągły!...

To policjant, obchodząc uliczki z obowiązku warty, zauważył włóczęgę, podglądającego tajniki cudzego domu... Może złodziej, badający sekrety zasobnego lokalu w nadziei skorzystania z cudzej własności?

Takiego ptaszka należało pojmać.

W obawie, że ucieknie przez sąsiedni otwarty dziedziniec i płoty, policjant gwizdnął, powołując na wszelki wypadek pomocnika.

August Szyling zrozumiał niebezpieczeństwo. Zeskoczył ze swego stanowiska... W trwodze szukał dróg ucieczki pomiędzy zatorami z beczek i pudeł... umykał...

Policjant pognał za nim...

. . . . . .

W domu Szylinga usłyszano gwizdek policyjny.

Zrozumiano, że zaszło coś osobliwego.

W mgnieniu oka cała rodzina znalazła się na progu otwartych drzwi mieszkania...

Policjant przeprowadzał schwytanego z triumfem za kołnierz...

— Co on zrobił? — spytał Karol August.

— Ba! włóczęga... Kręci się koło domu i zagląda w okna...

Spojrzenie starca zabłądziło wstydliwie w stronę starszego syna.

Nic nie mówił... Ale w jego poczciwych wielkich oczach, w jasnych białkach, w błyszczących źrenicach — była żałość tak bezmowna, że serce Karola-Augusta wypełniło się po brzegi litością...

Nie poznał oczywiście człowieka, który wpił oczy weń przez szyby samochodu w St. Paul. Moment był tak przelotny, na ulicy było wówczas tak ciemno — że owo wrażenie z przed kilku miesięcy oczywiście zatarło się w pamięci Augusta...

Ale ten starzec włóczęga — bezdomny w wieczór wigilijny — bezmowny w poniżeniu, gdy ręka policjanta dzierżyła go za kołnierz — wymagał obrony.

Pełnym słodyczy głosem zwrócił się młody człowiek do służbisty-policjanta. Wiedział, że sprawa nie jest łatwa, gdy chodzi w Stanach Zjednoczonych o ominięcie surowych względem włóczęgów przepisów policyjnych. Nadto w tej chwili zjawił się już drugi policjant, przywołany gwizdkiem kolegi.

— Panowie! proszę was... dziś jest wieczór Bożego Narodzenia... Dzieciątko Jezus zwiastuje radość wszystkim bez wyjątku... Puśćcie wolno tego człowieka, który przecież nic złego nie uczynił ani wam, ani nam... Podglądał?... Czy to jest kradzież?... Czy najmniejsze, czem człowiek dzieli się z innymi, nie jest to widok szczęścia?!... Za cóż go chcecie uwięzić?

To przemówienie i głos pełny słodyczy, powołujący się na wielkość święta — wzruszyły policjantów; bo-ć należy w imię wiary w ludzkość uwierzyć, że nie chęć pozbycia się obowiązku, który gotowi byli już podjąć, lecz właśnie wzruszenie, otwierające źródła miłosierdzia pod skorupą surowości — sprawiło, że obaj słudzy prawa spojrzeli po sobie, porozumieli się i jeden z nich orzekł:

— A no!... niech idzie z Panem Bogiem!...

I odstąpili...

Od progu zawołała pani Augustowa:

— Może ten biedak jest głodny?

I starca zdjął lęk... Był niewątpliwie głodny — i to bardzo głodny — przypomniał na dźwięk tego znajomego głosu, jak bardzo chce mu się jeść... Ileż razy ongi lękała się, że jest głodny, podając mu jadło! Ale rozważył, że jeżeli da się złamać... i przestąpi progi tego domu — to nie dochowa tajemnicy...

I cześć domu runie wówczas w gruzy pod ciosem hańby!

Tak on to czuł...

Nie odezwał się — tylko trwożnie pokiwał głową, przecząc, iżby mógł być głodny.

W tej chwili August Szyling urósł na bohatera!

— W każdym razie ten drobiazg wam się przyda! — odezwał się młody człowiek — wyszedł za próg sieni, po za osłoną brzegów dachu — poprzez zamieć śnieżną zbliżył się do niskiego płotu, dzielącego teren willi od ulicy — i wcisnął w rękę włóczęgi jakiś datek...

A na to twarz starca — jakkolwiek sina z mrozu i zbiedzona — uśmiechnęła się. Biorąc datek — nieubliżającą daninę syna dla ojca-nędzarza — może nie tyle myślał o tem, że jest głodny, ile uradował się, że mógł dotknąć ręki syna. I biorąc ofiarę, uścisnął tę rękę mocno, mocno — i pochylił się ku niej i ucałował ją... Był szczęśliwy, że przywilejem

wdzięczności żebraka może pokryć czułość niegodnego ojca!...

A kiedy po pocałowaniu podniósł oczy, świeciły one takim niepojętym wyrazem czułości, że miękki Karol-August nie czuł się dość mocnym, aby wyrwać obcesowo rękę temu dziwacznemu włóczędze...

Nie wyzwalał dłoni — patrzał nań litościwie — jakkolwiek od progu zaniepokojona matka, brat i siostry wołały, aby wracał:

— Zaziębisz się!... Chodź-że, Karolek!...

— Zaraz, mamo, zaraz!... Za chwilkę... Proszę was... wrócę niebawem...

W lęku, że córki się zaziębią, pani Augustowa odsuwała je od drzwi, a Fryc przed dmącą w oczy śnieżycą zamknął wrota, rzuciwszy jeszcze bratu:

— August, nie marudź!

. . . . . ,

Syn patrzył ojcu w oczy... Może to był moment, kiedy tajny instynkt chciał wydobyć się z mroku podświadomości i krzyknąć:

— Nie poznajesz?!... Toć-że to twój ojciec!...

Ale instynkt ów nie miał dość mocy, by przebić ślepotę świadomości — wyraził się tylko w tkliwem pytaniu:

— Starcze! czy ty masz swój dom... rodzinę?

I w tej chwili August Szyling podniósł się ponownie na szczyt bohaterstwa:

— O, tak, tak, synu... Mam dom... i jestem szczęśliwy... bardzo szczęśliwy...

I sam wyzwolił z uścisku rękę tego, którego na-

zwał „synem“. Ta możność pieszczoty, ukryta w jednem słowie, była najwyższą rozkoszą ojca!

Jeszcze słówko:

— Dziękuję ci... Niechaj-że wszystkim twoim powodzi się dobrze!... Niech Bóg błogosławi... wszystkim twoim...

I cofnął się...

. . . . . .

Jeszcze przez chwilę oczy Karola-Augusta szły za odchodzącym i odwracającym się dziwnym żebrakiem. Chwytały zagadkę swojego żalu, większego, niż zwykłe współczucie dla nędzy, którą spotykał na drogach życia i koił wedle swojej mocy...

Ale nie mogły jej rozwiązać...

Zawrócił wolno ku domowi...

. . . . . .

A starzec oglądał się długo — długo — długo — choć dawno nikogo nie było w progach...

Majaczyły mu się miłe postaci drogich mu osób w drzwiach i oknach szczęśliwej willi...

I w mroku ulicy — i w kurzawie wirujących płatków śniegu, obelżywie ślepiących głębokie, smutne, starcze oczy, twarz posiwiałego na mrozie Augusta Szylinga, idącego na drogi poniewierki, na nieoznaczony czas męki zapomnienia ludzkiego, na tułactwo nieludzkie — uśmiechała się jeszcze...

KONIEC.

Biblioteka Główna Kielce

Wiemy, że wiesz o pisarzu, który się zowie

ANTONI MARCZYŃSKI

Wiemy, że czytałeś jego powieści:

CZARNA PANI
W PODZIEMIACH KARTAGINY
ŚWIAT W PŁOMIENIACH

Ale nie wiemy, czy już czytałeś:

PIECZEŃ Z ANTYLOPY

I nie wiemy, czy już cię poinformowano, że tegoż pisarza ukaże się:

ALOHA
Wspaniała powieść kryminalno-egzotyczna
z Haiti

oraz następne:

NIEWOLNICE Z LONG ISLAND
SIOSTRA CARMEN
ROK 1947
ARTAYNTA

LONDON W DOMU

TO HART MŁODEGO POKOLENIA

Biały kieł	2.50
Pogarda kobiet	—.95
Miłość życia	—.95
Szczerozłoty wąwóz	—.95
Arcybestja	1.25
Kaftan bezpieczeństwa, 3 t.	à —.95
Wierność mężczyzny (wyczerp.)	—.95
Martin Eden (w druku)	
Przygoda (w druku)	
Czerwony bóg	1.25
Żółwie Tasmana	1.25
Mik	3.75
Jerry z wysp	3.50
Opowiadania pogromcy	1.20
Szkarłatna dżuma	1.25
Wyga (wyczerp.)	
John Barleycorn, 2 tomy	à —.95
Gra	1.25
Córka śniegów	3.90
Maleńka pani wielkiego domu	3.90
Dolina księżyca (w tłum.)	

Nie nudzić — ucząc.
Nie kłamać — bawiąc.

BIBLJOTECZKA HIST.-GEOGR. (ŻÓŁTA) „ROJU"

TOMIK PO 30 GR.

Sło kilkadziesiąt tomików w handlu!

CYKLE:

Słynni kochankowie. Rosja na rubieży. Władcy. Pioruny i błyskawice Wschodu. Jak umierali wielcy ludzie. Cykl obyczajowy. Wielkie procesy. Ekran i scena. Zmierzch Habsburgów. Cykl morski. Polacy na szlakach świata. Zdobywcy i odkrywcy świata. Cykl myśliwski. Cykl szpiegowski. Cykl kryminalny. Cykl lotniczy. Wolą i pracą. Polski cykl obyczajowy. Świat dziwów. Walki o niepodległość.

DO NABYCIA NA KOLEJACH I WSZĘDZIE.

PROSPEKTY GRATIS WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.

T-wo Wydawnicze „Rój"

Warszawa, Kredytowa 1.

Skrzynka pocztowa 568. Konto P. K. O. 9880.

317/1111
45-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
83924

Biblioteka WSP Kielce
0171788